

Bianka Minte-Konig

"Komórkowa Miłość"

eBook by: Alice_Cullen_xDD

ROZDZIAŁ PIERWSZY - KOMÓRKA DLA HANNY

- Ci faceci są po prostu bezczelni! To całe podrywanie zaczyna mnie wkurzać!

Naprawdę się rozgadałam. Teraz tylko przełożyłam słuchawkę do lewej ręki, żeby między dwoma zdaniem na gorący temat napić się szybko łyk czegoś chłodnego. Na drugim końcu kabla wisiała moja przyjaciółka Mila. Mowa była o, jak mogłoby być inaczej, chłopakach z naszej klasy. Absolutna okazja do śmiechu podczas naszej pogawędki telefonicznej pod tytułem *Co się dzisiaj wydarzyło w szkole*. Pełna zadumy rozmowa o codziennym obłędzie naszego życia.

- Nic już z tego wszystkiego nie rozumiem - westchnęłam teatralnie i nie była to żadna przesada, wręcz przeciwnie, bo odkąd przeszliśmy do ósmej klasy, w naszych relacjach z chłopakami zaczęło się piekło. Było tak, jakby wszyscy chłopcy podczas wakacji nie robili nic innego, tylko sączyli przy barze w południowym słońcu gęste koktajle hormonalne. W każdym razie, widząc każdą żeńską istotę, wykonywali zboczony gesty.

- Odbiło im - powiedziała właśnie Mila. - Hormony kompletnie nimi zawładnęły.

- Ale wszystkimi naraz? - Myślałam o małym Kiwi, który sięgał mi ledwo ponad ramię i od wielu dni krążył wokół Vanessy, przymilając się do niej jak gruchający gołąb. A przecież dopiero co wyrósł z pampresów.

- To jest jak fala grypy - strasznie zaraźliwe!

To było to!

Chłopców musiała dopaść jakaś epidemia. W każdym razie ich zachowanie było chore.

Zamiast, tak jak kiedyś, kopać na szkolnym podwórku puszki po coli, od wakacji stali w grupkach, gapili się na przechodzące dziewczyny i rzucali za nimi głupimi tekstami. Szczególnie krótkowłose rude, jak ja, i długowłose blondynki, jak moja druga najlepsza przyjaciółka Kati, podsycali ten ich niepochoamowany samczy instynkt.

- Mila, jak oni wkrótce znowu nie znormalieją, to dostanę szalu - westchnęłam.

Naprawdę wystarczająco nieprzyjemne było przeciskanie się po długiej przerwie do klasy przez tłum facetów blokujących dojsście do drzwi i napalonych na ciebie.

Mila zachowała spokój.

- Jak patrzę na mojego kuzyna, może to jeszcze potrwać. - Dała mi trochę nadziei na koniec tej uciążliwej sytuacji. - Jemu wrócił rozum dopiero, jak w jedenastej klasie znalazł sobie w końcu dziewczynę. Wcześniej też latał po okolicy jak pawian w porze godowej!

Zaczęłam chichotać. Mila trafnie to ujęła. W końcu ja także miałam w polu widzenia taki egzemplarz w postaci brata. Odkąd był z Carmen, rzeczywiście dał sobie na wstrzymanie, co było bardziej korzystne dla życia rodzinnego. Na przykład nie blokował już ciągle telefonu, dzięki czemu mogłam z niego od czasu do czasu korzystać i nie musiałam się przedtem na mojego brata wydzierać.

- Hm - wyciągnęłam wniosek z doświadczeń Mili i swoich - to by znaczyło, że jeśli chcemy mieć spokój, musimy się postarać, żeby ci faceci też znaleźli sobie dziewczyny!

- Dokładnie tak, to byłoby to! - zachichotała jakoś głupio Mila.

- To jednak brzmi jak rozkaz popełnienia samobójstwa - rzuciłam. - Dziewczyna, która zadaje się z takim typem, musi mieć dosyć życia. Oni są przecież za bardzo zajęci swoimi hormonami. Brakuje im koniecznej w związku wrażliwości.

Mila przestała się śmiać. Była pod wrażeniem mojej nowej teorii i westchnęła:

- No tak, to była tylko piękna myśl, ale raczej niemożliwa do zastosowania - I chwając mnie dodała: - Ale twoja teoria... wyrazi szcunku, Hanno! Powinnaś udzielać porad sercowych.

Teraz ja nie mogłam powstrzymać śmiechu.

- Porad sercowych?

- Tak, urządz w szkole stoisko "Analiza partnerska i porady sercowe". Zapotrzebowanie jest wystarczające.

- Masz na myśli swatanie?

- Nie wyrażaj się jak laik.

Jeszcze bardziej chichotałam, bo spodobała mi się ta myśl.

- Flirt shop! To przecież super pomysł na imprezę gimnazjalną. Zrobimy stoisko ze wskazówkami, jak flirować i... eee... tą tam analizą. Kati na pewno nam pomoże. Ty będziesz udzielała porad partnerskich "Kto najlepiej pasuje do mojego typu", a Kati doda do tego szczyptę ezoteryki: "Horoskopy partnerskie, analiza pisma i wróżenie z fusów".

Teraz śmiech Mili zadudnił mi w uchu.

- To jest to. Będziemy świetnie się bawić, a przy okazji rozwiążemy nasz problem z chłopakami.

- Myślisz, że naprawdę ktoś do nas przyjdzie? - spytałam, bo nagle ogarnęły mnie wątpliwości.

- Będą walić tłumy. Mówię przecież, że jest olbrzymie zapotrzebowanie!

- No tak, mogłybyśmy to jakoś z Kati przetawić.

Ucieszyłam się, że rozmowa dotyczyła spraw ogólnych. Bolało mnie, że moja najlepsza przyjaciółka miała brzydki zwyczaj grzebania przy każdej okazji w moim nieistniejącym życiu uczuciowym. Chłopcy z naszej klasy oczywiście nie byli zainteresowani pakowaniem się w związki. To całe gadanie Mili o romansowaniu wydawało mi się nie całkiem bezinteresowne... Jakoś nie mogłam się pozbyć podejrzeń, że prowadziła określoną grę. Jakby myślała, że ja...

Nie - nigdy w życiu! Naprawdę nie pociągały mnie te pokryte pryszczami twarze z mojej klasy! W zasadzie nie miałabym nic przeciwko posiadaniu chłopaka. Ale to musiałby być ten

właściwy. A taki jeszcze nie stanął na mojej drodze.

- Jesteś po prostu zbyt wybredna i za bardzo staromodna. Na księcia z bajki możesz czekać, aż pokryjesz się pleśnią. - Mila jednak zdążyła poruszyć temat mojego nieistniejącego życia uczuciowego. - Ciesz się chwilą! W dzisiejszych czasach wszystko dzieje się wcześniej, szybciej, mocniej! Romantyczność! To już niemodne!

Żeby odwrócić uwagę od siebie, jeszcze raz zesłam na temat tego swatania: - A więc widac jak na dłoni, że chłopcy potrzebują dziewczyn. Ale to przecież nie musimy być my. Najlepsze byłyby dziewczyny ze strszych kals, które mają doświadczenie i mogłyby ich trochę prowadzić za rękę.

Teraz Mila dostała ataku śmiechu.

- Ale z ciebie numer! Myślisz, że któraś z nich ma apetyt na takich zielonych? Te łosie mają jeszcze puch pod nosem!

O kurczę, ale ta dziewczyna się wyraża! Ja też aż się wzdrygnęłam, jak to sobie wyobraziłam, tylko nie wiem czy ze śmiechu, czy z przerażenia.

Ale miała rację. Z tymi głupkami z naszej klasy nie zadałaby się żadna rozsądna dziewczyna. Chyba że... Wpadłam na pewien pomysł. Właśnie chciałam powiedzieć o tym Mili, kiedy usłyszałam jakiś hałas na klatce schodowej...

- Doprowadzasz mnie już do szału! - Mama zamknęła za sobą drzwi do mieszkania nogą i rzuciła z hukiem przepełnione siatki z zakupami na ławę w przedpokoju.

Nie przeszkadzało jej ani trochę, że na niej siedziałam. Ani to, że zawartość jednej torby w połowie wylądowała na moich kolanach. Doprowadzałam ją do szału tylko tym, że rozmawiałam przez telefon.

- Od piętnastu minut próbuję się dodzwonić do twojego ojca, żeby odebrał mnie z miasta. Tylko dlatego, że łaskawa panienska znowu prowadzi niekończące się rozmowy, muszę brać drogą taksówkę. Ale bądź pewna, moje dziecko, że odejmę ci to z kieszonkowego! - Powiesiła płaszcz na wieszaku.

- Poczekaj chwilę - powiedziałam do Mili. - mama wysypała mi właśnie zakupy na kolana. - Wsadziłam sobie słuchawkę między ramię a ucho. Wolnymi rękami pozbierałam pomidory, sałatę, opakowania makaronu, tarty ser i upchałam z powrotem w siatce.

Właśnie skończyłam to robić, kiedy mama wystrzeliła jak błyskawica z kuchni i wyrwała mi z ręki świeżo napełnioną torbę, mówiąc:

- Nie myśl sobie, że dłużej będę to znosić!

Siatka nie wytrzymała tak brutalnego traktowania po raz drugi, pękła w szwach i cała jej zawartość wysypała się na podłogę w przedpokoju.

Dłszy ciąg rozmowy z Milą stał się niemożliwy wobec zaistniałej katastrofy. Histeryczny okrzyk mamy poderwał mnie na równe nogi. Mogłam tylko zakryć ręką słuchawkę, że by krzyk nie dotarł do Mili z całą swą mocą.

- Hej, Mila, mama się wkurzyła. Zadzwoń do ciebie później. Cześć!

Ledwo skończyłam zdanie, mama wyrwała mi z ręki słuchawkę z całej siły rzuciła ją na aparat.

- Skończ wreszcie z tym telefonowaniem! Nie widzisz, że potrzebuję pomocy!

Pewnie, że widziałam. Ale czy mogłam jej pomóc? To wyglądało raczej na przypadek dla specjalisty.

Jakby czytała w moich myślach, syknęła:

- Nie patrz na mnie, jakbym potrzebowała psychitry!

- Ale, mamó, przecież nie patrzę.

- Patrzysz! - zapiszczała.

Potem opadła na ławę w przedpokoju i wetchnęła:

- Czasami wydaje mi się, że tylko psychiatra może mi pomóc, skoro mam taką rodzinę!

Musiałam w tym miejscu przyznać jej całkowitą rację. Często i ja czułam się podobnie. Kto jak nie ja musiał się borykać z taką pokreconą rodziną?! Posiadanie tak nietolerancyjnych rodziców było dla mojej wrażliwej duszy czasami nie do zniesienia. Było dla mnie niekiedy niezrozumiałe, dlaczego tych dwoje musiało mieć dzieci, skoro, jak widać, nie mieli siły do ich wychowywania. Ale już się stało i mania rozmnażania dopadła ich aż trzykrotnie. Wynikiem tego był mój szesnastoletni brat, Martin, któremu wszystko było wolno, który wszystko potrafił i wszystko lepiej wiedział, oraz moja młodsza siostra, Motte, której nic nie było wolno, która niczego nie umiała i we wszystko wtykała nos. No i ja. Typowe średnie dziecko! Pod każdym względem. Martin co cała mama, Motte - cały tata, a ja... ja byłam wybuchową mieszanką ich objga. powiedzmy, tym, co stanowiło urok ich małżeństwa - udane połączenie sprzeczności. Brązowe oczy mamy, rude włosy taty, zadarty nos mamy, wielkie stopy taty, jej niewyparzona buzia i jego miękkie serce. Absolutna genetyczna mieszanka wybuchowa!

Uklękałam, żeby pozbierać rozsypane zakupy. Jeszcze raz pomidory, makaron, tarty ser. Ułożyłam wszystko starannie na kupkę.

- Gdzie mam to zanieść? - spytałam.

- Do kuchni, wszystko jedno, połóż tam, gdzie jest miejsce. - w głosie mamy zabrzmiała rezygnacja.

- Mamo, chcesz się czegoś napić? Przyniosę ci wody. - Podałam jej szklanekę wody, którą wypila łapczywie.

Sprawiała naprawdę wrażenie wykończonej, kiedy mówiła z wściekłością:

- Mam już serdecznie dość faktu, że blokujesz nasz telefon swoimi rozmowami z gadatliwymi przyjaciółkami. Od dziś masz zakaz telefonowania!

Ze jak? Chyba źle usłyszałam. Czy wylądowałam w mrocznym średniowieczu? Pewnie nawet inkwizycja tak nie szalała. Zakaz telefonowania oznaczał dla mnie odcięcie od istotnych kanałów informacyjnych i komunikacyjnych. Życie będzie po prostu pulsować gdzieś obok. Będąc wyłączona z wieczornej rundy rozmów paczki moich przyjaciół, nie będę wogóle na bieżąco śledzić przebiegu wydarzeń. Jak to było: kto nie telefonuje, ten przegapia życie. Co za kszmarna wizja! Równie dobrze mogłabym zbijać bąki, siedząc zamknięta w pudle!

Moja reakcja była odpowiednia do sytuacji.

- Nie mówisz tego poważnie! Nie możesz mi tego zrobić! - wrzasnęłam zrozpaczona.

- Mogę i to zrobię! Nie dotkniesz już telefonu!

- Powiem tacie! To jest sprzeczne z prawami człowieka! A przynajmniej z konstytucją! - Tak zakładałam. Prawo do wyrażania poglądów, komunikacji i informacji musiało się gdzieś tam znajdować.

Mamie wydawało się to obojętne.

- Pisz listy, jeśli masz coś do powiedzenia, albo wyślij faks. Nasz telefon od tej chwili przestaje być do twojej dyspozycji.

A żeby za słowami poszły od razu czyny, wyciągnęła wtyczkę telefonu z gniazdka w ścianie, zwinęła kabel wokół aparatu i zabrała do swojego pokoju.

- Co to ma właściwie znaczyć! - zawołałam za nią. - Teraz nawet nie mogę odbierać telefonu! I ty też nie i nikt z całej rodziny! Powinnaś się chyba naprawdę wybrać do psychiatry!

Nie mogłam się opanować. To, co wyprawiała moja mama, to był prawdziwy terror. Tylko dlatego, że się trochę zagadałam!

Ale to jej się nie uda! Nie mogła odciąć całej rodziny od telefonu! Wyśmiej ją. Mój starszy brat, młodsza siostra i oczywiście tata będą po mojej stronie.

Z tą pewnością mogłam całkiem spokojnie stanąć oko w oko z mamą, kiedy wyszła z sypialni.

- Nie denerwuj mnie - prosiłam ją. - Omówmy to z całą rodziną.

Zrobiła bardzo zdziwioną minę i wybałuszyła na mnie oczy.

- I ty to mówisz? - spytała.

- Tak, dlaczego nie? - odparłam, nie spodziewając się niczego złego.

Chyba żeczywiście byłam naiwna. Bo kiedy podczas kolacji poruszyłam ten temat, musiałam stwierdzić, że reszta rodziny w żadnym razie mnie nie poparła, jak tego oczekiwałam.

- Dawno trzeba było to zrobić! - powiedział mój brat Martin z dziką radością. - Od tygodni blokujesz telefon. Nikt się nie może dodzwonić.

- Właśnie - zgodziła się z nim Motte. - Hanna przez cały czas jest zajęta telefonowaniem. Ngdy się ze mną nie bawi!

A sam tata, od którego naprawdę oczekiwałam wsparcia, powiedział:

- Wiesz przecież, że potrzebuję telefonu do rozmów służbowych. Gdy blokujesz linię, nikt się do mnie nie dodzwania i prawdopodobnie tracę zlecenia.

- ale z tego powodu nie możecie mnie przecież odcinać od świata! - Mówiłam znowu głośniej, niż właściwie zamierzałam.

- Nie krzycz mi tu! - mama zareagowała gwałtownie.

- Nie krzycz! Tylko się denerwuję! - zawołałam.

- No to się uspokój - powiedział ostro Martin.

- Niech Hanna nie krzyczy - marudziła Motte. - Nie lubię, jak ktoś krzyczy!

- Teraz nie strasz mi tu jeszcze dziecka! - zrzędziła mama.

Mała rozpieszczona koza! Rzuciłam siostrze złośliwe spojrzenie.

- Ale potrzebny mi telefon! - żaliłam się. - Muszę być dostępna.

- My też! - Moje duchowe cierpienie nie zrobiło na mamie najmniejszego wrażenia.

Ale jakoś chyba poruszyłam miękkie serce taty.

- No tak - powiedział rozważnie i pogłaskał się przy tym po rudej brodzie. - Mogę zrozumieć Hannę. W okresie dojrzewania na pewno ma się wiele do powiedzenia swoim przyjaciółkom.

- Niemożliwe! - oburzył się Martin. - A kto się interesował moim dojrzewaniem?

- U chłopców inaczej się to objawia - odparował mu tato.

Ach tak? Nieźle się zdziwiłam. Dobrze sobie przypomiinałam, jak Martin dwa lata temu cały czas wisiał na słychawce.

Tato mówił dalej.

Chwileczkę. Czy ja dobrze słyszałam? Co on właśnie powiedział?

- ... powinniśmy się zastanowić czy nie podarować Hannie na urodziny komórki.

Komórka dla Hanny? To znaczyło: komórka dla mnie! Ależ tak, ależ oczywiście, no przecież jasne! Dlaczego sama na to nie wpadłam? Komórka dla mnie rto przecież było *to!* Problem rozwiązany! Byłabym wolna, niezależna, zawsze i wszędzie osiągalna, mogłabym telefonować z każdego miejsca na ziemi, dodzwonić się do Mili, Kati i wszystkich ważnych dla mnie osób a świecie, i to dwadzieścia cztery godziny na dobę! Komórka! Absolutna wolność rozmowy! Byłoby superodjazdowo!

- A kto ma za to zapłacić? - pytanie mamy ściągnęło mnie na ziemię z Olimpu telekomunikacji.

- Taryfy są dość wyśrubowane - Marin wtrącił swoje trzy grosze, a zazdrość po prostu dała się

odczuć w każdym jego słowie.

- Ale komórka jest bombowa. - Przynajmniej Motte mnie wspierała.

- Musiałbym się zorientować - powiedział tata. - Na pewno można znaleźć jakiś korzystny wariant dla nastolatków.

Proszę! Supertaryfa na rozmowy bez przerwy po promocyjnej minucie, łącznie z ładnym aparatem.

Na pewno gdzieś się znajdzie.

- Tato - stwierdziłam absolutnie happy. - to fantastycznie z twojej strony! Naprawdę jesteś moim idolem!

A żeby mama nie poczuła się dyskryminowana, powiedziałam do niej:

- Ach, proszę, mamó, to świetny pomysł. Proszę, подарujcie mi na urodziny komórkę.

Mama westchnęła głęboko.

- Właściwie moim zdaniem popieranie twojej manii telefonowania to nie jest dobry pomysł...
- Zauważyła moje rozczarowane spojrzenie. - Ale jeśli tata znajdzie jakąś korzystną ofertę, to niech ci już będzie.

Podskoczyłam w górę, bo chciałam ją po prostu uściskać, tacie też rzuciałam się na szyję jak burza.

- Jesteście najlepsi na świecie - rozczuliłam się, wpadłam do przedpokoju i zawołałam: - Muszę to od razu powiedzieć Mili!

Ale w przedpokoju zobaczyłam tylko przygnębiająco puste gniazdko telefoniczne. O kurczę, na śmierć zapomniałam, że mama zabrała telefon do sypialni.

- Czy mogę przynieść telefon z sypialni? - zawołałam.

- Ma zostać tam, gdzie jest! - mama nie ustępowała. - Chyba, że będziesz się trzymała zakazu telefonowania.

Sapałam ze złości. Rzeczywiście mówiła poważnie.

Przyniosłam telefon z pokoju rodziców i włączyłam do gniazdka. Chociaż bardzo swędziały mnie palce, pozostałam nieugięta. Będę się trzymać zakazu mamy.

W końcu do moich urodzin pozostało kilka dni, a potem, tak, potem już nikt nie zabroni mi telefonować. Bo wtedy ja, Hanna Pfefferkorn, będę posiadaczką własnej komórki!

Jakoś to napięcie wywołało we mnie nagłą potrzebę ruchu. Złapałam smycz i Hansa-Hermann, naszego lekko posiwiatego jamnika szorstkowłosego, żeby się przejść wokół bloku.

Nasz dom stał w alei kasztanowców. To była niekończąca się ulica, która zaczynała się w centrum miasta i biegła przez obwodnicę do parku miejskiego, gdzie lubiłam uprawiać jogging. Na środku była rozdzielona pasem zieleni, na którym rosły stare ogromne kasztanowce. To od nich pochodziła jej nazwa.

Usiadłam na chwilę na ławce między kasztanowcami i zamyślona przyglądałam się małemu oknu wystawowemu w księgarni mamy - w ostatnim roku mama przejęła ją od dziadka, kiedy zachorował, a potem nagle zmarł. Spędziłam tam z nim wiele miłych godzin i również teraz spotykałam się tam często z moimi przyjaciółkami, Milą i Kati, żeby napić się herbaty albo poczytać jakieś romansidło.

Wstałam i pozwoliłam szarpać się Hansowi-Hermannowi wzdłuż alei od drzewa do drzewa. Ale tu musiało fajnie pachnieć suczkami, które miały cieczkę!

Zachowywał się jak faceci z mojej klasy, którzy też ciągle węszyli za każdą żeńską istotą.

Lubiłam mieszkać w tej okolicy. Pamiętam jeszcze, jak szczęśliwi byli moi rodzice, kiedy mogli przejąć mieszkanie dziadka i podpisywali umowę najmu.

Pośpiesznym krokiem, ciągnąc za sobą Hansa-Hermanna, weszłam po kamiennych schodach do mieszkania, mijając jasnożółte kafelki w korytarzu.

Myśląc o komórce, która wkrótce miała do mnie należeć, wprawiła mnie w nadzwyczaj pogodny nastrój! Jak to jutro opowiem moim przyjaciółkom, zzielenieją z zazdrości.

- To genialnie! - Mila była poruszona tą wiadomością. - Masz naprawdę nowoczesnych rodziców.

Kati westchnęła z zazdrością.

- U mnie nie ma o tym mowy. Rodzice nie kupili nawet telefonu z klawiaturą. Naszym aparatem można sobie poranić palce, wykręcając numer. Postęp techniczny to dla nich dzieło szatana!

Zaczęłyśmy z Milą chichotać. Rodzice Kati byli naprawdę trochę dziwni.

- Ale macie chociaż telewizor!

- Też taki stary gruchot! Gdyby wspólnota mieszkaniowa nie założyła kabłówek, nie mogłabym nawet oglądać Vivy ani MTV.

- To by była strata! - kpiła sobie Mila.

- W każdym razie cieszę się - powiedziałam - że moja rodzina nie będzie mi już ciągle przeszkadzać w rozmowach telefonicznych. Człowiek się pakuje w niezręczne sytuacje. - A zwracając się do Mili, dodałam: - Przykro mi, że wczoraj tak po prostu się wyłączyłam, ale mama naprawdę dostała szału.

- Słyszałam - powiedziała ze zrozumieniem Mila. - Twoja mama zachowywała się jak wariatka.

- Przecież mówię, po prostu robi mi obciach. Zachowaj to dla siebie.

- No jasne, co ty sobie myślisz. Twoim zdaniem powieszę na tablicy ogłoszeń kartkę "Mama Hanny to chodząca porażka!" ?

Znowu zaczęłyśmy chichotać i powlokłyśmy się przez szkolne podwórko do sali gimnastycznej.

Przed wejściem czał się już Mark ze swoimi kumplami. To dopiero było towarzyscho.

- Wszyscy odjazdowi na zawołanie - powiedziała Mila z właściwą sobie bezpośredniością. Jako córka kobiety biznesu samotnie wychowującej dziecko wnosila w nasze życie swoją wyzwoloną kobiecość i żadnemu facetowi nie pozwoliła zbliżyć się do tropu!

A Kati i mnie zapaliła się czerwona lampka.

- O kurczę blade - jęknęłam. - czemu oni znowu zastawiają wejście do sali gimnastycznej?

Chcieli tylko, żebyśmy musiały się przeciskać między ich klatami. To po prostu odrażające. Skoro sprawy zaszły tak daleko, mogliśmy się przygotować na wielkie obmacywanie podczas gry w kosza.

Byłam wściekła. Co oni sobie właściwie wyobrażali? Moje rozwścieczone spojrzenie zatrzymało się na Kartoflu. W rzeczywistości miał na imię Karl, ale nikt nie mówił do niego po imieniu, odkąd Mark stwierdził, że jego nos wygląda jak kartofel. I tak otrzymał przydomek.

Rozwścieczona przyglądałam się jego kartoflanemu nosowi. Niech się ten typ tylko do mnie nie zbliża!

- Odsuń się! - syknęłam.

Instynktownie wyczułam, że Kartofel był najsłabszym członkiem tej całej bandy chłopaków.

Pośpiesznie wcisnął się do środka, ale tam go popchnęli i jak z procy uderzył dokładnie we mnie. Straciłam przez to równowagę i potknęłam się, wpadając prosto w otwarte ramiona Marka. Brr! Ci podstępni faceci! Przypuszczałam, że tak będzie.

- Hej, Hanno - odezwał się od razu Mark i mocniej zacisnął wokół mnie ramiona. - Coś się dzisiaj niepewnie trzymasz na nogach?
- Zabierz te łapy - warknęłam na niego i próbowałam uwolnić się do jego uścisku.
- Co się tak rzucasz? - powiedział z głupim uśmiechem, nie puszczając ani odrobiny. - Chcę ci przecież tylko pomóc.
- Obędzie się bez tego! - byłam już zupełnie wkurzona. - Natychmiast mnie puść albo zacznę krzyczeć!

Zadziało. Puścił mnie z resztą tak szybko, że pozbawiona jakiegokolwiek punktu podparcia zatoczyłam się do tyłu i upadłabym na ziemię, gdyby Mila i Kati mnie nie złapały.

- Gnojek! - klęłam, usiłując się pozbierać.
- Leci na ciebie - powiedziała Kati. - To była jednoznaczna próba poderwania cię.
- Naprawdę myślisz, że Makr do mnie startuje? - spytałam wstrząśnięta.
Kati wzruszyła ramionami.

- No tak, kto to wie? Tak mołoby być. Nie jesteś przecież najbrzydsza.

A Mila z całą swą niewinnością dorzuciła jeszcze:

- To powinno dać ci do myślenia, on chodzi zwykle tylko ze starszymi dziewczynami!

No to super, pomyślałam sobie, zobaczymy, czego jego łapska będą częściej dotykać, piłki do kosza czy mnie?

Oczywiście piłka wcale go nie interesowała. Ciągle mnie krył. Mało brakowało, żeby mnie wyprowadził z równowagi, kiedy nasz nauczyciel wuefu Sprinter też zauważył:

- Mark, mógłbyś bardziej zainteresować się grą! Gdybyś miał wolne ręce, ktoś mógłby podać ci piłkę!

Ogólny śmiech. Potem miałam chwilę spokoju i kiedy Sprinter zawołał "Zmiana!", opadłam na ławeczkę.

- Dlaczego właściwe musimy uprawiać sporty drużynowe z tymi głupkami? - jęczałam. - Czy nie można by zorganizować dla nas żeńskiej grupy na wuefie?

- Tak, gimnastyka przy muzyce jazzowej albo coś takiego, z nauczycielką wuefu. Nie mam nic przeciwko Sprinterowi, ale jest mi strasznie głupio, kiedy czasami nie mogę ćwiczyć, a on mruczy coś dwuznacznie o "chorobie kobiecej".

Chichotałyśmy, bo Mila naśladowała tak trafnie głos Sprintera. No tak, starsze roczniki nauczycieli miały pewne zachamowania.

- To, że właśnie Sprinter prowadzi fakultet z wuefu, jest moim zdaniem wystarczająco koszmarnie - powiedziałam. - Mam nadzieję, że przynajmniej ten trening nam coś da. Ale zrobię wszystko, żeby wziąć udział w biegu nocnym!

Kati się roześmiała.

- A my zrobimy wszystko dla ciebie! Pozwolimy, żeby Sprinter wycisnął z nas wszystko na fakultecie, chociaż nie jesteśmy w stanie wygrać nawet doniczki! - Kati rzuciła Mili cierpiące spojrzenie, które miało znaczyć: czy nie jesteśmy prawdziwymi, ofiarnymi przyjaciółkami?

Nocny bieg był czymś w rodzaju biegu powszechnego i tym samym stanowił największe wydarzenie w mieście. Skrycie marzyłam o tym, żeby pobiec w szkolnej drużynie, w tym celu z zapalem trenowałam i pogodziłam się nawet z istnieniem Sprintera.

- Ale masz duże szanse - powiedziała do mnie Mila. - Sprinter na pewno dostrzeże twój talent.

No, miejmy nadzieję!

W dusznej przebieralni tematem rozmowy był nadal Mark. Oczywiście wszystkie moje koleżanki z klasy były poinformowane o tym, jak Mark się do mnie podwał. Vanessa też. Ta boska, wystrzałowno wystylizowana Vanessa, u której stóp leżeli wszyscy chłopcy z naszego rocznika. Poza jednym, którego właśnie miała na oku. I był to Mark. Jasne, że nie spodobało jej się to, co właśnie zobaczyła.

- Wyglądziła superbciśły top, przesuwając dłońmi po swoich kobiecych krągłościach, i stanęła przede mną.

- Z Markiem lepiej nie zaczynaj.

- A co, może mi zabronisz?

- Mark się tobą nie interesuje. - W ogóle nie odpowiedziała na moje pytanie.

- A tobą niby tak? - Miła wtrąciła się do rozmowy.

- Z tobą nie rozmawiam - syknęła Vanessa.

Wzięłam torbę i pociągnęłam Milę w stronę drzwi.

- Zostaw ją - powiedziałam. - nie opłaca się z nią kłócić. Niech ją pochowają z tym jej Markiem w jednej trumnie. Brzydzę się obojgiem.

A to stwierdzenie było wystarczająco jasne i prawdziwe, dalszy komentarz był zbędny.

Po południu spotkałam się w mieście z tatą. Chcieliśmy razem poszukać aparatu i taniej taryfy.

- Żebyśmy przez ciebie nie zbiednieli! - powiedział tato z szelmowskim uśmiechem.

Myśląc, że musimy pójść do domu towarowego i poszukać ładnego aparatu w dziale elektronicznym, bardzo się myliłam.

Po pierwszej rozmowie z wykwalifikowaną sprzedawczynią mogłam powiedzieć tylko jedno:

- Nic z tego nie rozumiem!

Poszliśmy więc najpierw na kawę.

- No i co o tym myślisz? - spytałam. - Weźmiemy tani aparat z drogim abonamentem czy drogi z tanim? A może lepszy jest telefon na kertę?

Tato spojrzał na mnie niezdecydowany i powoli mieszał kawę.

- A jakiego operatora wybierzemy? - spytał w końcu.

- Nie mam pojęcia. Podjedźmy jeszcze do innego punktu. Może ta sprzedawczyni nie była wystarczająco dobrze przeszkolona.

- Gdyby miała jakieś pojęcie o swojej pracy, nie wypuściłaby nas na pewno bez komórki.

A więc podjeliśmy następną próbę. Tym razem trafiliśmy do doradcy telekomunikacyjnego. Ten człowiek był przynajmniej w stanie wyliczyć zalety danego operatora i zaoferował nam specjalną taryfę dla młodych ludzi, jaką miałam nadzieję znaleźć.

Swoją najlpeszą przynętę zostawił jednak na sam koniec. Była to nieskończona liczba fantastycznych modeli telefonów, jakie tylko można było sobie wyobrazić. Naturalnie każdy miał inne zalety. Z jednego można było dzwonić szczególnie tanoi pod wybrany ulubiony numer albo prowadzić rozmowy miejscowe po korzystnych cenach, wykorzystywać taryfę nocną za pół ceny albo wysyłać krótkie wiadomości tekstowe - cokolwiek by to było.

Pozostał jeszcze problem wybory. Nadszedł czas na następną przewę na kawę.

- Jeśli mogę dzwonić taniej tylko pod jeden ulubiony numer, to nic nie daje - powiedziałam tacie. - Mam przecież w końcu dwie najlepsze przyjaciółki.

Tato uśmiechnął się filuternie.

- A jak do tego dojadzie jeszcze chłopak...! To wtedy będzie ci potrzebna taryfa nocna.

- Ach, tato - westchnęłam. - Ale to jest trudne.

Kiedy wreszcie już się zdecydowaliśmy i pobiegliśmy do doradcy telekomunikacyjnego, facet już skończył pracę. Kolega, który go zastępował, nie krył się z tym, że uważał na za analfabetów i technologiczne beztalencia. W każdym razie zaczął zrezygnowanym tonem wysuszonej katarynki odklepywać swój standardowy tekst. W końcu miałam dość.

- Chcę ten żarówiastozielony! - powiedziałam. Niestety nie pasował do umowy, którą chciał podpisać tato.

- Mogę panu zaproponować do tego pakiet specjalny - powiedział na pocieszenie sprzedawca.

- No dobrze, jeśli to nie jest żadne oszukaństwo - ostrzegłam tatę.

- Jeszcze jedna kawa? - spytał.

Pokręciłam głową. Moje krążenie było na tak wysokich obrotach, że już bym się na to nie odważyła.

- Może pociągniemy zapalki? - zaproponował tato.

Młody doradca zmarł w bezruchu.

- OK - powiedziałam. - pod warunkiem, że dostanę ten żarówiastozielony aparat.

Facet się poddał. Zniknął na chwilę, a potem wrócił z magazynu z kartonikiem.

Wypakował zielony telefon.

Właściwie nie jest zawarty w tym pakiecie, ale dostanie go pan za darmo przy zawarciu umowy na dwa lata.

Mówiąc te słowa, uśmiechnął się do mnie, jakby chciał, żebym zaprogramowała jego numer jako mój ulubiony albo korzystała z nim z taryfy nocnej.

Poirytowana odgarnęłam sobie włosy z czoła i próbowałam pozostać rzeczowa, mimo że policzki coraz bardziej mi czerwieniały.

- Czy to nie jest żaden chwyt? - spytałam, wiedziałam jednak, że stoję się właścicielką słodkiego, małego, żarówiastozielonego aparatu.

Facet od telekomunikacji jeszcze raz wyliczył wszystkie zalety umowy, podkreślił liczne funkcje aparatu i jego piękny kształt, zaakcentował, jak ważne jest to, że telefon jest szczególnie mały i lekki, i tak się rozkręcił w udzielaniu porad, że tato był już całkowicie przekonany o jego kompetencji i podpisał umowę.

- Decydują liczby! - powiedział przy tym, żeby nie dać po sobie poznać, że polecał na gadanie tego młodego faceta,

Potem nadszedł czas na kolejną kawę, bo aparat trzeba było zaprogramować i uruchomić, zanim mogliśmy go zabrać.

- Wtedy ta młoda dama będzie mogła od razu zadzwonić pod swój ulubiony numer - powiedział młody mężczyzna i spojrzał na mnie jak jamnik.

Ale tato rzucił tylko zimno:

- Nie wydaje mi się. Ta młoda dama musi najpierw poczekać do swoich urodzin.

W końcu nadeszły. Wyczekiwane z utęsknieniem czternaste urodziny.

- Wszystkiego najlepszego - powiedziała mama. Tato i Motte także złożyli mi serdeczne życzenia.

Tylko Martin musiał znowu dać upust swojej skłonności do tego, co makabryczne.

- No to teraz uważaj. Od dzisiaj można cię karać i jadąc tramwajem na gapę, jesteś jedną nogą w więzieniu!

- Przestań, Martin! - mama wcale nie uważała, że to jest śmieszne.

Jednak Martin uśmiechnął się tylko beczelnie i powiedział:

- Ale to prawda!

Najpiękniejszym prezentem była oczywiście komórka.

Kiedy tylko przyjechałam wszystkie życzenia urodzinowe, złapałam aparat i zaszyłam się z nim w swoim pokoju. Szybko go włączyłam, wprowadziłam numer PIN i wybrałam numer Mili.

Kiedy się zgłosiła, powiedziałam z radością:

- Hej, Mila! To my - Hanna i jej komórka!

ROZDZIAŁ DRUGI - FLIRT Z TAJEMNYMI MOCAMI

Komórka stała się moim prawdziwym kumplem. W dzień nosiłam ją przypiętą klipsem do spodni albo w kieszeni kurtki, a wieczorem kładłam obok poduszki, żeby sobie odpoczęła.

- Śpij dobrze - mówiłam ciepło, zanim ją wyłączałam, żeby oszczędzać baterię. Czasami musiałam ją podładować. Ładowarkę postawiłam na stoliczku obok kanapy.

- No to się porządnie najedz - mówiłam do niej troskliwie - żebyś jutro była w formie i Hanna mogła się nagadać ze swoimi przyjaciółkami.

Adużo było do obgadania, bo impreza gimnazjalna zbliżała się i ta cała sprawa flirt shopu z szalonego pomysłu stawała się konkretnym projektem.

A kiedy nasza nauczycielka, pani Kempinski - "niespokrewniona ze znaną siecią hotelarską" - pewnego ranka zapytała, kto i co przygotowuje na wielką imprezę, śmiało się zgłosiliśmy.

- Tak, Hanno, co chciałabyś zrobić? Sałatkę makaronową, jak w ubiegłym roku?

Sałatkę makaronową?! Nie, ale obciach! Jak ja mam teraz przejść do tematu flirt shopu?

Ale Mila, chichocząc, wtrąciła się już w moje niedokończone myśli:

- Nieee, nie makaronową. Raczej towarzyską!

Teraz otworzyło się nagle ze zdziwieniem wiele zamkniętych oczu i uszu, a pani Kempinski powtórzyła:

- Sałatka towarzyska? Czy możesz to trochę bliżej wyjaśnić, Milu?

- Hanna, Kati i ja pomyślałyśmy, że zbudujemy stoisko. Stoisko porad towarzyskich.

A że poirytowanie nie chciało zniknąć z twarzy pani Kempinski, dodałam:

- Flirt shop. Porady partnerskie. Radzimy, kto do kogo pasuje i pośredniczymy w nawiązaniu kontaktu podczas imprezy. Randka w ciemno. Nie za darmo, ale bez gwarancji. Wpływy przełożymy na pomoc Afryce.

- Nie zbierzecie ani grosza - Vanessa od razu obrzydziła nam pomysł. Obłudna koza, pomyślałam. Na pewno pojawi się u nas jako pierwsza, żebyśmy jej znalazły jakiegoś faceta. Ale mogła być pewna, że ją odpowiednio obsłużymy. Gdzieś w środku już zaczęłam chichotać ze złośliwą satysfakcją. U boku Marka nie wylądował, dopóki tylko będziemy mogły jakoś temu zapobiec.

Tymczasem pani Kempinski, jak również większość uczniów, zaczęła powoli rozumieć, o co chodzi. Jasne, że zdania były podzielone. Chłopcy przyjęli nasz pomysł z wielkim aplauzem, podczas gdy większość dziewczyn miało wątpliwości i wyrażało się o nim z rezerwą.

Na długiej przerwie musiałyśmy więc najpierw uspokoić nasze klasowe koleżanki.

- Będzie całkiem serio - powiedziałam. - Kati będzie stawiała karty i czytała z ręki. Zupełnie profesjonalnie. Tego wszystkiego nauczyła się od mamy.

- Ona jest znaną w całym mieście czarownicą! - czepiała się znowu Vanessa. Oczywiście była wściekła, bo to nie ona wpadła na tak znakomity pomysł.

- Bzdura - powiedziała Kati. - Moja mama prowadzi tylko sklep ezoteryczny, ale wcale nie jest żadną czarownicą. - I nawiązując do sklepu mięsnego rodziców Vanessy, dodała: - Twój ojciec też w końcu nie jest kotлетem mielonym.

Tym samym miałyśmy wszystkich śmiejących się po naszej stronie i Vanessa poszła sobie obrażona.

Po południu siedziałam nad zadaniami domowymi i gapiłam się na komórkę. Dlaczego nie dzwoniła? Po głowie chodził mi przebój... *Nikt do mnie nie dzwoni, nikt się mną nie interesuje...* Po co mi była komórka, skoro nikt nie czuł potrzeby, żeby ze mną rozmawiać? A może ja powinnam? Neeee, lepiej nie, to na dłuższą metę byłoby za drogie, nawet gdybym dzwoniła pod wybrany numer albo wkorzystywała darmowe rozmowy lokalne i taryfę nocną. Grzebałam w zaniadaniach z matmy i miałam wrażenie, że nic mi z tego nie wyjdzie.

Następnego ranka wstałam z łóżka bardzo ciekawa, czy pani Kempinski pozwoli nam na prowadzenie flirt shopu.

- Dziecko, pośpiesz się trochę! - Zawołała mama przed drzwiami łazienki. - W nocy wyłączyli prąd, stanęły wszystkie zegarki. Jest już późno!

O kurczę, fajnie się zaczął dzień!

Ale, spoglądając na zegarek, stwierdziłam, że jeśli się postaram, zdążę jeszcze na autobus. Zrezygnowałam więc ze śniadania, napiłam się tylko łyk herbaty, założyłam kurtkę, złapałam najpotrzebniejsze rzeczy i pośpiesznie wybiegłam z domu.

Dokładnie tak samo szybko wbiegłam do autobusu. Jakaś dobra dusza widziała, jak pędzę, i jeszcze raz nacisnęła przycisk otwierający drzwi. Potknęłam się o stopień i rzuciłam torbę na drugi koniec autobusu, bo musiałam złapać się obiema rękami poręczy, żeby wyhamować swobodne spadanie. Zawartość torby rozsypała się po całym autobusie wzdłuż przejścia aż do ostatniego rzędu siedzeń. Zawstydzona przykucnęłam i usiłowałam wszystko pozbierać. Spojrzenia współpasażerów czułam jak laser na karku.

Powoli poczłapałam w kucki jak kaczka do tyłu autobusu. Właśnie złapałam swój piórniki i spoglądałam z podłogi w górę.

Ech! Nieomalże zderzyłabym się z cudzą głową. Poczułam się jak porażona piorunem, kiedy spojrzałam nagle w dwoje intensywnie niebieskich oczu. Przez chwilę nie mogłam się wcale od nich oderwać i zamarłam. Potem jakoś wróciłam do pionu i stwierdziłam, że te magiczne oczy należały do chłopaka, który był bardzo podobny do znanego i uwielbianego aktora.

Odetchnęłam głęboko. Chłopka uśmiechnął się do mnie przyjaźnie i wcisnął mi do rąk bez słowa kilka zeszytów i książkę do angielskiego. O nie, jaki miły! Naprawdę pozbierał moje manele z podłogi. W odpowiedzi na okazaną życzliwość moja głowa - już chyba wystarczająco czerwona - poczerwiniła jeszcze bardziej.

Ojej, jaki przystojny facet! Skąd on się wziął? Nie mogłam sobie przypomnieć, że bym go przedtem kiedykolwiek widziała w tym autobusie.

- Dziękuję, dziękuję - wyjąkałam jeszcze ciągle całkiem zdezorientowana i ze wszystkimi pozbieranymi rzeczami opadłam na najbliższe siedzenie. Tam wepchnęłam wszystko z powrotem do torby. Od czasu do czasu rzucałam ukradkowe spojrzenie na rząd, w którym z powrotem usiał ten gość.

Odetchnęłam głęboko. Co się ze mną działo? Trzymaj się, Hanno, dodawałam sobie otuchy. Kto się tak zachwyca przypadkowo poznanym chłopakiem! Westchnęłam głęboko.

A kiedy musiałam już wysiąść koło szkoły, jeszcze raz rzuciłam mu przelotne spojrzenie i poczułam dziwne ściskanie w żołądku. Co mi tak ścisnęło wnętrzności?

Pani Kempinski przespała się jedną noc z naszym pomysłem i okazało się, że jej się podobał.
- To rzeczywiście coś nowego - powiedziała nam na lekcji niemieckiego. - Bez wątplenia służy komunikacji. Zgłóście się do mnie, jak będziecie potrzebować pomocy.

Podziękowałyśmy, ale byliśmy pewne, że nie będziemy musiały się do niej zwracać, w końcu miałyśmy dobre źródła.

Naszym źródłem był sklep ezoteryczny mamy Kati. Znajdował się obok gabinetu terapeutycznego jej ojca w podwórzu trochę zaniedbanej willi z okresu grynderskiego w dzielnicy muzyków.

Odtąd spotykałyśmy się regularnie u Kati na herbacie, aby przygotować nasze stoisko na imprezę. Otoczone zapachem świeżo zaparzonej herbaty Yogi siedziałyśmy na grubych poduszkach położonych na podłodze w pokoju Kati.

- Cukier? - Mila trzymała przed Kati puszkę.

- O nie! Jestem jeszcze na diecie!

Znowu, pomyślałam i nie mogłam zrozumieć, co nie podobało się Kati we własnej figurze. Ja tam nie uważałam, że jest za gruba. W każdym razie miała już przynajmniej prawdziwy biust. W porównaniu do niej wyglądałam na niedokończoną - i tak się też niestety często czułam.

Patrzyłam, jak Mila mocno słodzi swoją herbatę. Ona to już wogóle nie miała problemów z figurą i dzięki jedwabiście ciemnej karnacji zawsze sprawiała wrażenie, jakby wczoraj wróciła z Majorki. W przeciwieństwie do niej wyglądałam jak pokryty piegami ser pleśniowy! Wzdychając, odstawiłam miseczkę z herbatą.

- Najpierw musimy zbudować stoisko - stwierdziła Mila.

- Mogłybyśmy postawić namiot - zaproponowałam. - Mamy jeszcze w domu taki stary namiot. - Musiałybyśmy go tylko trochę tajemniczo udekorować.

- To nie jest żaden problem. - Kati od razu zaangażowała się w sprawę. - Zajrzyj do skrzyni. Mam tam całą masę indyjskich chustek.

Z zapalem zaczęłyśmy grzebać w skarbach Kati i odkładałyśmy na jedną kupkę wszystko, co nadawało się do stylowego upiększenia naszego stoiska.

- Będzie super - powiedziałam z radością - prawdziwie mistycznie. A jak Kati postawi jeszcze swoje horoskopy... naprawdę genialnie!

- Czy ty nie mogłabyś przejąć horoskopów, Hanno? - spytała Kati.

- Jjjjjaaa? - zawałam całkowicie zaskoczona. Ale ja przecież nie mam o tym zielonego pojęcia!

- Ach, to wcale nie jest trudne. Musisz tylko zapytać o datę urodzenia i znak zodiaku, a potem sprawdzasz w książce o astrologii, jakie znaki do siebie pasują, a jakie nie.

- I myślisz, że uda mi się to wiarygodnie zrobić? - wątpiłam w swoje uzdolnienia w tym zakresie.

- Absolutnie tak. Dasz sobie radę. Wyluzuj!

Także Mila była optymistką.

- Jak chcesz, możesz też zaproponować horoskop chiński i celtycki. Oczywiście za dopłatą. To brzmiało interesująco. Pozatym przypomniałam sobie, że mama ma w swojej księgarni taki kącik, w którym stoją książki o astrologii i naukach tajemnych.

- No to najpierw tam zajrzyj - poradziła Kati. - Jak niczego nie znajdziesz, mogę jeszcze

zahaczyć o to moją mamę.

Tym samym została podjęta decyzja, że ja będę odpowiedzialna za horoskopy partnerskie.
Witaj, mistyko!

- A ty, czym się zajmiesz? - chciałam się dowiedzieć od Kati.

Sięgnęła za siebie i wyjęła zza pleców małą, bogato rzeźbioną indyjską skrzyneczkę z drzewa sandałowego. Znajdowała się w niej cała masa kart i kilka grubych książek.

- *Voilà!* - roześmiała się Kati. - To moja kolekcja wszelkiego rodzaju przesądów!

- Ale odjazd! - wykrzyknęła Mila.

- Wypakowałam kilka kart i z lekkim dreszczykiem przyjrzałam się symbolicznym obrazkom: Wisielec, Śmierć, Płonąca Wieża, Koło Fortuny...

- Słuchaj, czy to nie jest trochę dziwne hobby? - spytałam i nie mogłam ukryć lekkiego niepokoju.

- Nie, jeśli się ma matkę czarownicę - śmiała się Kati.

- A co się dokładnie tym robi? - chciała się dowiedzieć Mila.

- Przepowiada przyszłość! - rzuciła sucho Kati. - Karty tarota to karty do wróżenia.

- To niemożliwe! - jednak się tym zainteresowałam. - I ty coś takiego potrafisz?

- No, właściwie... wiem w każdym razie, jak się je stawia i jak się zadaje pytania.

- Ale nie traktujesz tego poważnie, no nie? - spytałam z niedowierzaniem. Wróżenie, przepowiadanie przyszłości... brrr!

Ale Mili nie dało się już powstrzymać. Też wyciągnęła ze skrzynki talię kart tarota i przyglądała się im przy świetle świecy.

- Tarot miłości - przeczytała z zachwytem na głos. - Dokładnie to, czego potrzebujemy!

Na pierwszej karcie były dwa ostroczerwone serca. Jakie to romantyczne. To na pewno będzie hit.

- Weźmiemy je? - spytałam.

- Też chciałam to zaproponować - przytaknęła Kati. - To co prawda tylko dwadzieścia dwie karty, czyli Wielkie Arkana, ale to wystarczy do naszych celów.

- Dwadzieścia dwa co? - Gapiłam się na Kati, niczego nie rozumiejąc.

- Wielkie Arkana to karty losu. Nimi stawia się Krzyż Celtycki.

- Ach tak. - Powoli zaczynałam rozumieć, dlaczego to wszystko nosiło nazwę nauki tajemnej. To była wiedza tylko dla wtajemniczonych!

- Pokaż, jak to działa - powiedziała żądna wiedzy Mila, a zwracając się do mnie, dodała: - Chyba nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy to od razu wypróbowały na tobie? Chciałabym się dowiedzieć, jak będzie w przyszłości wyglądać twoje życie uczuciowe!

- Odbiło ci? - bronilam się oburzona. Nie mogłam jednak zapobiec temu, że natychmiast przed moimi oczami pojawił się obraz tego chłopaka z autobusu. Sama chciałabym już wiedzieć, czy między mną a nim coś się wydarzy.

Mila nie dawała za wygraną.

- Dalej, Kati, postaw Hannie karty!

Kati roześmiała się i zaczęła tasować karty tarota. Nic nie pomagało - obie były zgodne i nadeszła moja kolej.

- W każdym razie musimy spróbować. Choćby tylko po to, żeby zobaczyć, jak długo trwa taka sesja. A więc nie wygłupiaj się.

Kati rozłożyła na swoim pięknym indyjskim dywanie czarną chustę i zaczęła wykladać na niej zakryte karty.

Kiedy je potem po kolei odkrywała, nie mogłam opanować zdenerwowania.

Nie wydawało się, żeby miało mnie spotkać coś złego, bo karty sprawiały wrażenie względnie przyjaznych. Żadnego Wisielca, Śmierci ani Diabła.

- Popatrz, popatrz - powiedziała Kati i diabelnie się ucieszyła. - Nasza Hanna! Co my tu mamy? Wielkiego Kapłana i Kochanków, a potem jeszcze Słońce w przyszłości. To mi wygląda na burzliwy romans.

Chociaż nie wierzyłam w te rzeczy, ogarnął mnie dreszczyk oczekiwania i od razu musiałam znowu pomyśleć o tym przystojnym chłopaku z autobusu. Mimo to odparłam, broniąc się:

- Niczego takiego nie zauważyłam.

Kati popatrzyła jeszcze raz na karty i wskazała na leżącą na środku odwróconą kartę.

- Ta karta oznacza przeszkody. Pokazuje, co utrudnia rozwój tego romansu.

Ach tak, od razu wiedziałam, był pewien problem. Na początku wszystko zabrzmiało zbyt optymistycznie! Karta pokazywała mnicha z laską. Na dle był napis - Pustelnik.

- Co to znaczy? - spytałam cała spięta.

- Hm, odwrócona oznacza sekrety, zmyłki i udawanie. Powiedziałabym, że kocha cię ktoś, kto nie chce się ujawnić, kto się z tobą bawi w chowanego.

Zebrała karty lekkim ruchem ręki.

- Ale możesz się tym nie przejmować. Na końcu słońce opromieni waszą miłość. I tylko to się liczy.

- No i jak, ty też, Milu? - zaczęła tasować karty.

Mila odmówiła spoglądając na zegarek.

- Nieee, muszę zaraz lecieć. Ale w każdym razie na pewno zrobimy to w naszym flirt shopie. Tarot miłości całkiem dobrze wychodzi. A jeśli uda ci się troszeczkę pokręcić w wypadku naszych specjalnych przyjaciół to będzie świetna zabawa.

Chichotałyśmy jak trzy chytre czarownice.

- Myślę, że uda się to zorganizować. - stwierdziła Kati.

Leżałam już w łóżku, kiedy zadzwoniła moja komórka.

To była Mila. Tak bardzo ją zachwycił nasz flirt shpo, że musiała koniecznie jeszcze trochę o tym pogadać.

- A ty, czym się zajmiesz, Milu?- chciałam się w końcu dowiedzieć.

- Analizą stylistyczną w doradztwie partnerskim.

- A na czym to będzie polegać?

- Przygotuję ankietę. Zapytam w niej o to, co kto lubi, a czego nie. Każę ludziom wymienić na przykład ulubione kolory, ciuchy i muzykę. Im więcej zgodności wykażąankiety, tym lepiej ludzie pasują do siebie.

- A jak skojarzymy te parki? - nie do końca łąpałam.

- To żaden problem - powiedziała Mila. - Każdemu, komu udzielimy porady, na życzenie dobierzemy odpowiedniego partnera i zorganizujemy podczas trwania imprezy randkę w ciemno.

- No dobrze, ale jak znajdziemy partnera? Przecież nasi klienci muszą pozostać anonimowi.

- To całkiem proste. Po oddaniu ankiety chłopcy dostaną niebieskie, a dziewczyny czerwone serduszko-nalepkę z kodem. A jak skończę analizę ankiet, na wielkim plakacie napiszę, jakie numery serduszek do siebie pasują. I w twoim przypadku też tak zrobimy - stawiając horoskop, wręczysz ludziom srebrne i złote gwiazdki. A poem urządzimy godzinę prawdy, wszyscy się zbiorą w dyskotecę i będą musieli odnaleźć swojego partnera.

Musiałam się roześmiać, kiedy wyobraziłam sobie to całe zamieszanie.

- Super, to będzie prawdziwy hit!

Następnego dnia poszłam prosto ze szkoły do księgarni mamy.

- Hej - powiedziałam - czy masz jakąś książkę o astrologii z horoskopami partnerskimi?

Spojrzała na mnie zdziwiona.

- Jasne, że mam, ale od kiedy się tym interesujesz?

Ooo, teraz jeszcze na jej twarzy pojawiło się to zatroskane spojrzenie, którym spoglądają matki, kiedy przypuszczają, że córka ma chłopaka. To taka miszanka

O-Boże-jesteś-na-to-jeszcze-za-młoda i

Możesz-mi-o-tym-opowiedzieć-jestem-przecież-twoją-najlepszą-przyjaciółką.

- Mylisz się - powiedziałam. - Nie mam chłopaka. Chodzi o stoisko, które chcemy zorganizować na imprezie gimnazjalnej.

Oczywiście była strasznie ciekawa i nie dała się tak łatwo zbyć. A więc opowiedziałam jej, jakie mamy plany, a ona od razu zrewanżowała się za to zaufanie, wypożyczając mi przystępnie napisaną i ponoć ostatnio modną książkę o horoskopach. Nosiła tytuł *Nowa astrologia* i zawierała sto czterdzieści cztery znaki zodiaku Wschodu i Zachodu. Była to więc specyficzna miszanka zachodniej i chińskiej sztuki wróżenia z gwiazd.

Wieczorami wskakiwałam do ciepłego łóżka z książką i tabliczką czekolady i chłonełam jedno i drugie.

Naprawdę była to bardzo interesująca lektura. Przy okazji dowiedziałam się też dużo o sobie.

Na przykład odkryłam, że według chińskiego horoskopu jestem Tygrysem. Przyłożyłam głowę do mego starego pluszaka i szepnęłam mu delikatnie do ucha:

- Słyszysz, kolego, też jestem w klubie. Wrrr!

Tygrysy to ludzie otwarci, przeczytałam. Jasne, byłam uosobieniem otwartości.

- Nie masz w sobie ani odrobiny dyplomatycznego wyczucia - mówiła zawsze mama. - Ty i ta twoja bezpośredniość! - *Czasami okoliczności zmuszą ich do popełnienia drobnych przestępstw*. Aha, za tym kryły się moje szkolne oszustwa. *Tygrysy szukają sobie najdziwniejszych partnerów i nierzadko przestają z lekko stukniętymi*. No też coś! Mocny tekst! *Tygrysy mają płynne, odważne ruchy, ramiona luźno opadają, a łopatki są ściągnięte*. Coś takiego! Nigdy dotąd nie zwróciłam na to uwagi. Od razu musiałam sprawdzić to w lustrze. Hm, stojąc tak przed lustrem w wyciągniętej piźamie, nie mogłam dostrzec w moim lustrzanym odbiciu wymienionych cech. Muszę chyba trochę nad sobą popracować. Ale to była dobra wskazówka. Z powrotem wskoczyłam do łóżka. *Tygrysy są gorące i namiętne*. Bomba! Niesamowite, co też gdzieś we mnie tkwiło! Naraz ogarnęły mnie jednak wątpliwości, czy to wszystko może być zapisane w gwiazdach.

Chwyciłam komórkę i wybrałam numer Mili.

- Wiesz, to naprawdę niepokojące. Charakter człowieka nie może przecież być tak dokładnie określony przez układ gwiazd w momencie jego narodzin. A co z wolnością?!

Mila chrząknęła zaspą.

- Ale z ciebie żartowniś - westchnęła. - Czy nie uważasz, że jest trochę za późno na takie pytnia?

Jednym spojrzeniem na budzik stwierdziłam zaskoczona, że jest grubo po północy.

- O, sorry - powiedziałam. - przykro mi, Milu. Czy możesz jeszcze raz mi wybaczyć?

Mila ziewnęła przeciągle.

- Ciesz się, że jestem Wagą. My, Wagi, nie jesteśmy pamiętliwe.

W końcu nadszedł dzień imprezy gimnazjalnej. Już przed południem nie było lekcji, żebyśmy mogli zbudować w auli i na korytarzach stoiska, sceny i udekorować pomieszczenia.

W sali gimnastycznej zainstalowano oświetlenie dyskotekowe i zbudowano małe podium dla szkolnego zespołu. Tutaj wieczorem będzie się kręcić całe towarzystwo i tutaj skojarzymy pary. Byłam tak bardzo podniecona, że czułam ściskanie w środku, jakby to miał być program na żywo w telewizji. A nawet nie wiedziałyśmy, czy ktoś podejdzie do naszego stoiska.

Udekorowałyśmy tajemniczo nasz namiot i przekształciłyśmy go w prawdziwy salon wróżb. Obwiesiłyśmy go indyjskimi chustkami w przepięknych kolorach. Były na nich motywy księżycy, słońca, znaków zodiaku i gwiazdozbiorów, wywołujące bardzo mistyczne wrażenie. Na niskim stolyczku paliły się małe pachnące świeczki, które rzucały tajemnicze cienie na ściany. Na małym cokole w głębi spoczywała biała trupia czaszka z naszej pracowni biologicznej. Świeczka do podgrzewacza umieszczona w jej wnętrzu sprawiała, że z oczodołów wydobywało się drżące światło, co wywoływało przerażający nastrój przyprowadzający o dreszcze.

A potem przyszli. Najpierw było ich niewielu, ale później, kiedy się rozniosło, co jest celem naszego "rzemiosła", napłynęła prawdziwa fala ludzi.

Namalowałam sobie przejrzystą tabelę - na jej podstawie mogłam szybko stwierdzić, jakie znaki zodiaku do siebie pasują. Kiedy pojawił się facet spod znaku Strzelca, widziałam od razu, że mogłam mu zaproponować dziewczynę spod Byka, ale do dziewczyny spod znaku Lwa za żadne skarby nie pasował Rak.

Wszyscy, którzy nie chcieli tylko ustnych informacji, ale oczekiwali również znalezienia partnera, wypełniali kartkę z kodem i otrzymywali nalepkę - gwiazdkę z numerem, którą mieli sobie przypiąć do ubrania.

Szło mi świetnie, Mili i jej serduszkom też. Wkrótce naokoło kręciły się nieamowite ilości ludzi opatrzonych nalepkami z serduszkami i gwiazdkami. Niektórzy mieli nawet jedno i drugie. O kurczę! To mogło skomplikować sprawę.

- Sytuacja będzie krytyczna tylko wtedy - powiedziała Milla uspokajającym tonem - gdy okaże się, że serduszka i gwiazdki się nie pokrywają.

- No właśnie. Wyobraź sobie, że dziewczyna ma serduszko i gwiazdkę i pasuje do dwóch różnych chłopaków, a facet od gwiazdki i facet od serduszka chcą ją jednocześnie porwać na parkiet!

- To potworne! Zlinczują nas!

- Bzdura, panienka będzie musiała się zdecydować na jednego albo zatańczyć najpierw z jednym, a potem z drugim! To nie powinien być nasz problem. To tylko nasza propozycja, i to niezobowiązująca, bez gwarancji. A więc bez paniki. To przecież zabawa!

Nadal miałam wątpliwości, powiedziałam więc:

- No, jeśli tak twierdzisz.

Kati zrobiła tymczasem z karcianych wróżb wielki show i ludzie stali do niej w kolejce.

Ze względu na tłum oczekujących przeszła do skróconej formuły tyllko z trzema kartami, która nosiła nazwę Strzala Czasu i ponoć dość szybko pokazywała, czy w przyszłości są widoki na układ partnerski.

Nagle weszła Vanessa. Byłyśmy pewne, że jej tylko Mark w głowie, kiedy ironicznym tonem powiedziała:

- No to ja bym też się z czegoś pośmiała.

Kati skasowała dwa euro, zanim rozłożyła karty. Byłam ciekawa, czy będzie ściemniać, tak jak się umówiłyśmy.

Potasowała pokazowo karty i kazała Vanessie przełożyć dwa razy. Potem wyciągnęła trzy

karty ze stosu i położyła je na przykrytym czarną chustką stoliku. Obok stała czarodziejska kula tajemniczo oświetlona od spodu. Powoli odkryła pierwszą kartę. Była to Kapłanka, co wywołało na tarzy Vanessy arogancki uśmiech.

- To ty - powiedziała Kati neutralnym tonem. Ale odkrywając drugą kartę, zaczęła już jęczeć:
- O, to wcale nie wygląda dobrze.

Wskazała na środkową kartę. Zobaczyłam dwa splecione ze sobą pnącza, wyglądające na trujące, które wyrastały z płonącego serca. Pod spodem był napis Splecanie.

Kati wzięła książkę z komentarzem i przeczytała:

- *Związek utknął w miejscu. To i tak neurotycznie wyolbrzymiona więź!* - Jej głos był śmiertelnie poważny.

Musiałam się pilnować, żeby nie parsknąć śmiechem. W napięciu przyglądałyśmy się, jak Kati odkrywa trzecią kartę; to był Mag.

- *To oznacza - czytała dalej - miłość w przyszłości. Ale ponieważ karta leży odwrotnie, wskazuje na przesadnie wysoką samoocenę i złudzenia.*

Podniosła wzrok znad książki i spojrzała na Vanessę. Potem powiedziała bez zmrużenia oka:

- Krótko i węzłowato: twój wymarzony chłopak się tobą nie interesuje. Tylko to sobie wmawiasz!

To było brutalne.

Vanessa zrobiła się czerwona jak burak, podskoczyła, mało nie przewracając całego stolika, i wydarła się:

- Sama mogę wciskać sobie taki kit!

Potem obrażona wyszła z namiotu.

- Ale odjazd! - powiedziała Milla z uznaniem do Kati. - To było dokładnie to, czego potrzebowała ta przemądrzała koza! Gdybym była chłopakiem, omijałabym ją szerokim łukiem!

Tymczasem razem z Millą zebrałyśmy po sporym stosiku wypełnionych ankiet i kart z horoskopem.

Chwilowo interes przestał się kręcić, więc zabrałyśmy nasze papiery i chichocząc, poszłyśmy do herbaciarni, którą urządziła z uczniami z naszej klasy pani Kempinski. Tam w spokojnym kąciku zaczęłyśmy kojarzyć pary. U mnie poszło całkiem łatwo. Nieporównywalnie trudniejsze było zadanie Mili. Jej podstawowy problem polegała na tym, że większość ludzi nie różniła się od siebie w znacznym stopniu.

Milla była całkiem rozczarowana.

- Zapomnijmy o tym! W rubryce "muzyka" większość podała latino-pop, w rubryce "ciuchy" - lumpeks i markowe ubrania pół na pół, a najczęściej wymieniane kolory to czerwony i szary.

To, co jest modne. Potrzeba nam czegoś indywidualnego! - Milla wydawała się bliska rozpacz.

- Zobaczmy - powiedziałam i wzięłam kilka ankiet ze stosiku dziewczyn i chłopców. Wyglądało, ajkby przepisali najmodniejsze rubryki znanego czasopisma młodzieżowego.

- Mogłaś jeszcze zapytać, jaki dezodorant wolą - ziołowy, orzeźwiający czy egzotyczny! - zaproponowałam.

Dla Mili to wcale nie było śmieszne.

- Nigdy bym nie pomyślała, że ludzie w tak małym stopniu się od siebie różnią - powiedziała zrezygnowana. - Na tej zasadzie każdy może się zadawać z każdą!

Przy przeglądaniu ankiet natrafiłam na jedną, której odpowiedzi znacznie odbiegały od pozostałych.

- Spójrz! - powiedziałam do Mili. - Tutaj jest facet dla ciebie. Lubi piosenki o miłości i wiersze, ciuchy go nie interesują, podobają mu się romantyczne dziewczyny z rudymi włosami.

Zatkało mnie. Spojrzałyśmy na siebie zdziwione.

- Czy on nie jest przypadkiem tym, którego szukałaś? - spytała z cynicznym uśmiechem. - Wydaje się opisywać ciebie!

Chociaż miałam to samo wrażenie, pokręciłam głową.

- Zapomniał o okularach - powiedziałam. - Na pewno nie lubi rudych w okularach!

- Ach, bzdura. - Milawydawała się zdecydowana. - Tego faceta zarezerwuję dla ciebie.

I zapisała nasze kody na swojej liście. Na moje wątpliwości i wachanie odpowiedziała sucho:

- Dziewczyno, zrobisz teraz, co mówię albonic już z ciebie nie będzie! Dzisiaj flirtuje się, ile wlezie. Myślisz, że uruchamiałybyśmy wszystkie tajemne moce, gdyby nam miało się przy tym nic nie przytrafić? Mądra kobieta myśli najpierw o sobie! - Uśmiechnęła się chytrze.

Zaczęłam sortować moje znaki zodiaku, co nie było zbyt trudne, a potem dopasowywałam kolejne parki.

Mila wstała i zaciekawiona zajrzała mi przez ramię.

- Mam nadzieję, że zorganizowałaś mi sympatycznego partnera. Moje serce tęskni za pokrewną duszą.

- Strzelec Świnia pasuje do ciebie - powiedziałam ze śmiechem. - Mogłabym ci jeszcze zaproponować Bliźniaka Tygrysa, który umie gotować.

- Hm, pycha, chętnie bym kiedyś skosztowała. Hej, oczywiście tylko jego potraw!

Mila usiadła z powrotem i zrozpaczona grzebała w grubym stosie niemal identycznych ankiet.

- Co ja mam z nimi zrobić? - westchnęła.

- Sama zabaw się w dobrą wróżkę - zaproponowałam i wyciągnęłam jedną kartkę ze stosu chłopców. - Proszę, a teraz ty wyciągnij jedną ze stosu dziewczyn!

Spięłyśmy obie kartki i, myk, myk, przeznaczenie się spełniło. Tak samo zrobiłyśmy z pozostałymi ankietami - rach-ciach i już było po sprawie. Byłam ciekawa, kogo z kim połączyłyśmy!

- Czy Vanessa właściwie wypełniła ankietę? - spytałam Milę.

- Wypełniła. Specially ją zaznaczyłam.

Właśnie to chciałam usłyszeć.

- Dobrze - uśmiechnęłam się złośliwie. - Wyswatamy ją z ostatnią ofertą z naszej szkoły. A może by tak z jakimś siódmoklasistą brzydkim jak kupa?

Mila pokręciła głową.

- Dlaczego sięgać tak daleko? - powiedziała, uśmiechając się delikatnie.

- Czy myślisz o kimś z naszej klasy? - Teraz wywołała moją ciekawość.

Pokiwała głową.

-Ale o kim?

- Poczekaj.

W końcu nadeszła godzina prawdy.

Kiedy wszystkie serduszka i gwiazdki zostały rozdane i zamknęłyśmy stoisko, zebrałyśmy prawie dwieście euro. Zrobiłyśmy naprawdę coś dobrego dla Afryki.

Wypisałyśmy skojarzone pary na wielkim plakacie i powiesiłyśmy w dyskoteci. Po jej otwarciu zaczęło się wielkie szukanie. Wkrótce słychać było wrzaski i krzyki.

- Kto ma gwiazdkę 24?

- Kto ma serduszko 98?

Jakiś wesolek nawet śpiewał:

- Najdroższe serduszko trzy cztery me, czekam na cię!

Wkrótce dyskoteka wypełniła się po brzegi, w roześmianym rozgardiaszu odnalazły się pierwsze parki i ruszyły na parkiet przetestować zapach dezodorantów.

Niektóre pary wydawały się całkiem zadowolone, tańczyły bowiem mocno przytulone. Clara uśmiechnęła się do strasznie przystojnego typka, który był co najmniej w dziesiątej klasie, a dwoje słodkich siódmoklasistów rapowało, by stłumić swoje zażenowanie. Pani Kempinski dobrze się bawiła z Old McDonaldem, naszym czarującym nauczycielem muzyki, a - nie wierzyłam własnym oczom - nauczyciel wuefu Sprinter trzymał w objęciach jedną ze swoich zaufanych uczennic. Ależ zrzędzenie losu!

Właśnie z podniesioną głową przemknęła obok mnie Vanessa. Za nią pędził z czerwoną jak burak twarzą Kartofel.

- Ale jestem pewien, Vanesso! Dobrze widziałem, że masz ten numer. Stój!

- Spadaj - syknęła - zabierz ode mnie te łapy! Cierpisz na manię wielkości! Zostaw mnie w spokoju!

- Miła! - powiedziałam. - Vanessa i Kartofel... Chyba ich nie...?

Miła spojrzała na mnie niewinnym wzrokiem.

- Wiesz przecież, że jestem całkowicie obiektywna i postępowałam zgodnie ze ściśle naukowymi zasadami. Jednak musi ich łączyć coś, o czym nie mają sami pojęcia!

Roześmiałyśmy się głośno i głupio.

- A gdzie jest właściwie *mój* filtr? - spytałam i rozejrzałam się wokoło. - Ten romantyczny miłośnik rudych dziewczyn? Spisałaś przecież nasze kody, Milu?

Ale zanim mogła odpowiedzieć, jak spod ziemi wyrósł przede mną Mark.

- Myślę, że nasze kody do siebie pasują - nie pokazując mi swojego, złapał mnie za rękę i pociągnął na parkiet.

Rzuciałm Mili spojrzenie pełne nienawiści. Jak mogła mi to zrobić!

Kątem oka widziałam, że z żalną miną wzrusza ramionami. Co to miało znaczyć?

Nie miałam czasu, żeby się nad tym długo zastanawiać.

Mark absorbował całkowicie moją uwagę. Mocno mnie obejmował i tak się na mnie rzucił, że zaczęłam się niepokoić.

- Jesteś laska - powiedział. - Lecę na rude włosy. Są naturalne czy farbowane?

- No jasne, że naturalne. Co ty sobie myślisz!

Uśmiechnął się pod nosem.

- Tylko to, co najlepsze.

Nagle zdjął mi okulary.

- Ej, co to ma znaczyć? - powiedziałam przestraszona, ponieważ bez okularów czułam się zupełnie bezradna. - Oddaj mi okulary!

- Co za to dostanę? - spytał beczelnie.

- Wiersz - odpowiedziałam, mając w pamięci jego ankietę, która wydawała mi się tak różna od pozostałych. Jeśli to był ten facet od ankiety, to powinien zaraz zaskoczyć.

Ale nie zaskoczył.

- To bardo romantyczne - powiedział - ale myślałem o czymś konkretniejszym.

- To znaczy?

- A może claus?

Tak sobie myślałam, odjazdowy gość! Ale zo teraz? Chciałam koniecznie odzyskać okulary, ale w żadnym razie nie chciałam całować tego chłopaka. Jeśli on na mnie leciał, to jeszcze nie znaczyło, że ja muszę też lecieć na niego. Poza tym nie przeszedł pomyślnie testu na zapach dezodorantu. Za bardzo intensywny! Co robić?

- Pokaż swój numer - powiedziałam, w nadziei, że będę mogła mu udowodnić pomyłkę. Ale on wcale o tym nie myślał. Jak ja odzyskam swoje okulary?

- Jeden całus i masz masz okulary! - powiedział, jakby czytał w moich myślach.

Rozejrzałam się, szukając pomocy, ale byłam w tłumie moich szkolnych kolegów zdana na samą siebie. No, skoro tak, to musiałam się wyrazić trochę jaśniej.

- Oddaj mi natychmiast okulary! - wrzasnęłam na niego ze złością.

Mark poczuł się dotknięty moją nagłą, głośną reakcją, było mu wstyd, bo oczy tańczących obok par zwróciły się nagle na nas. Bez słowa oddał mi okulary.

Dosłownie wyrwałam mu je z ręki i gwałtownym ruchem wsadziłam sobie na nos.

Trzeba spadać, pomyślałam. Korzystając z sytuacji, powiedziałam:

- Dziękuję za taniec! - i uciekłam stamtąd.

- Jak mogłaś mi to zrobić? - skarżyłam się Mili, kiedy znalazłam ją siedzącą z Kati przy mlecznym barze. - Musiałaś mnie skojarzyć właśnie z tym macho Markusem!

Mila podnosiła ręce na swoją obronę.

- To nie ja! Uwierz mi, nie mam z tym nic wspólnego! On cię po prostu uprowadził. Sama wiesz, że zarezerwowałam dla ciebie tego romantyka. Nie przypominam sobie, żeby Mark był we flirt shopie. Czy miał w ogóle jaki numer? Musiałam przyznać, że mi go nie pokazał.

- Co za typ! - pomstowała Kati. - Rzuca się na ciebie, chociaż wcale nie brał udziału w zabawie. Co za bezczelność!

Cieszyłam się tylko, że Mila nie maczała palców w tej sprawie.

- Ale teraz przegapiłam tego słodkiego faceta od piosenek o miłości, któremu podobają się romantyczne dziewczyny - westchnęłam. Rzuciłam okiem na parkiet i spojrzałam na facetów, którzy stali jeszcze pod ścianami. Większość miała już partnerkę u boku.

Mila też to zauważyła i powiedziała zadowolona:

- Jednak wszystko świetnie się udało. Jak widzę, skojarzyliśmy masę par. Myślę, że w najbliższym czasie życie będzie dla nas trochę łatwiejsze. Chłopcy są teraz zajęci swoimi zdobyczami. Szkoda, że zostałaś z pustymi rękami. - Powiedziawszy to, wzięła pod rękę Bliźniaka Tygrysa, który umie gotować, i zniknęła w tłumie.

Nie ma powodów do obaw, pomyślałam. I bez faceta świetnie mi się powodzi.

W tym momencie moje spojrzenie zatrzymało się na ciemnookim chłopcu z melancholijnym wyrazem twarzy, który opierał się o kolumnę w sali gimnastycznej i spoglądał w moją stronę. Na moment nasze spojrzenia się skrzyżowały.

Potem między nas wpakował się kudłaty blondynek Tobias.

- Zatańczymy? - spytał przyjaźnie.

- OK. - Poszłam za Tobiasem i straciłam tamtego chłopca z oczu. Czy to był ten, który kochał wiersze i romantyczne dziewczyny? Śniesz, Hanno, przywołałam się do rzeczywistości. Ten przystojny facet na pewno nie czekał na rudą małą okularnicę. A jeśli jednak tak? Jeśli to był ten, którego zarezerwowała dla mnie Mila? Jeśli na próżno szukał mojego numeru, kiedy ten głupek Markus uprowadził mnie na parkiet i próbował wymóc na mnie siłą całusa?

Nigdy się tego nie dowiem.

Bo po tym tańcu impreza się skończyła. Tobi podziękował mi grzecznie i odprowadził do koleżanek.

- No i? - spytała zaciekawiona Kati. - Znalazłaś go?

Pokręciłam głową.

- Kati, twoje karty kłamały. Żadnej miłości i żadnej tajemnicy! Facet nawet mnie nie znalazł!

Kati roześmiała się.

- No, jeśli to nie jest tajemnica!

Mila też się uśmiechnęła i powiedziała:

- Poczekaj! Co się nie stało, jeszcze się może wydarzyć.

Dlaczego właśnie przy tych słowach przyszedł mi do głowy ten niebieskooki chłopak z autobusu?

ROZDZIAŁ TRZECI - ANONIMOWE TELEFONY

Następnego ranka odpęzałam się w waniliowej kąpieli. Komrówka leżała sobie na miękkim ręczniku frotowym w zasięgu ręki. Zamknęłam oczy i rozmarzona wspominałam wczorajszy wieczór. Ten ciemnooki typ na skrzy parkietu nie dawał mi spokoju. Czy on był tym, który lubił piosenki o miłości, wiersze i rude dziewczyny?

Nagle ktoś zaczął się dobijać do drzwi łazienki.

To była Motte.

- Hanno! Ktoś do ciebie dzwoni!

- Powiedz, że się kąpię i mogę odebrać tylko komórkę.

Dalej miałam zamknięte oczy i rozkoszowałam się ciepłą wodą, która delikatnie otaczała moje ciało. Kto mógł być przy telefonie? Mila i Kati na pewno nie, bo od razu zadzwoniłyby do mnie na komórkę.

Motte znowu stała przed drzwiami.

- Załatwione, dałam mu twój numer komórki.

- MU? - Podskoczyłam w wannie, jakby mnie ugryzł pająk morski. - Jak to MU? Kto to wogóle był?

- Nie mam pojęcia, nie przedstawił się.

- Cooo? I tak po prostu dałaś mu mój numer?

- Przecież powiedziałaś, że ma zadzwonić na komórkę. Bez numeru to raczej niemożliwe.

- Ale mój numer jest zarezerwowany dla moich specjalnych przyjaciółek. Nie powiedziałaś mi, że to był ON!

- Przecież mnie o to nie pytałaś.

Odetchnęłam głęboko, żeby objechać moją młodszą siostrę. W tym samym momencie zadzwoniła komórka.

Zawahałam się. Jeśli to był ten nieznajomy? Czy powinnam odebrać? Lepiej nie! Prowadzenie rozmów telefonicznych z obcymi ludźmi podczas siedzenia w wannie jest trochę niepoważne. Można sobie było co najwyżej pozwolić na pogaduszki z najlepszą przyjaciółką, człowiek wyciąga nogę z wanny i pozwala, by piana spływała po dużym palcu, a w tym czasie obgaduje innych ludzi. Ale nie można tego robić, rozmawiając przez komórkę z obcym człowiekiem. A może to nie był żaden obcy, tylko Mila? Albo Kati? Czy powinnam jakiemuś anonimowemu gościowi pozwolić odebrać sobie radość rozmowy z jedną z nich? Nie!

Wytarłam ręce i zdecydowanie złapałam komórkę.

- Tak?

To nie była Mila i to nie była Kati. To wogóle nie był nikt z tego świata.

Something's gotten hold of my heart

Takin my soul and my senses apart.

*Something has invaded my night
Painting my life with a colour so bright.
Changing the dark, changing the blue,
Scarlet for me and scarlet for you...*

- śpiewał ktoś w komórce.

Nigdy nie słyszałam tego wykonawcy. Miał jasny, zadziwiająco wysoki, ale bardzo dobitny głos. Nagranie brzmiało trochę staroświecko. Jednak absolutnie do mnie przemawiało. Nacisnęłam przycisk głośnika, zanurzyłam się w wodzie i z zaciekawieniem i ze zdziwieniem wsłuchiwałam się w dźwięki tego muzycznego miłosnego wyznania.

...And feeling unknown took my heart

Makes me want you stay,

All of my life and all of my day...

Chociaż tego nie chciałam, wracała myśl, czy nie był to ten facet z imprezy gimnazjalnej, z którym randkę przegapiłam. Przecież piosenki o miłości były jego hobby! *Scarlet for me!* Szkarłatny! Nie przez przypadek wybrał tę piosenkę, żeby nawiązać kontakt ze mną, dziewczyną o czerwonych włosach.

Wydawało mi się coraz bardziej prawdopodobne, że to był chłopak, którego Mila zarezerwowała dla mnie podczas doboru partnerów. Musiał od kogoś wydębić parę informacji na mój temat.

Zaciekawił mnie ten facet.

- Ej, możesz się przynajmniej przedstawić? - powiedziałam spontanicznie.

Odpowiedzią był cichy, sympatyczny śmiech.

- Czyż tego nie zrobiłem, mała syrenko? Jestem księciem, na którego czekałaś z utęsknieniem.

Kompletnie zepsuł mi nastrój. Zrobił coś, czego właśnie nie należało robić. Schemat: wyglądałam wprawdzie jak żaba, ale jeśli mnie pocałujesz, zmienię się w pięknego księcia. Momentalnie uleciało ze mnie moje romantyczne nastawienie. Ktoś po prostu usiłował sobie ze mnie zakpić.

Zastanawiałam się, czyj to mógł być głos. Marka? Tobiego? To na pewno był chłopak z mojej klasy, który chciał ze mnie pożartować. A więc nie mogę dać się ponieść romantycznemu uniesieni i muszę mieć luz.

- To musi być pomyłka - powiedziałam i próbowałam nadać swojemu głosowi obojętny ton. - Po tej stronie nie ma małej syrenki, tylko Wenus, która rodzi się z morskiej piany. No tak, gdybyś był bogiem - ale... Żałuję, księcia mi nie trzeba.

Delikatny śmiech. No, przynajmniej facet miał poczucie humoru. To właściwie przemawiało przeciwko Markowi, chociaż głos był całkiem podobny. Był z resztą wystarczająco bezczelny, żeby mnie napadać przez komórkę. Ale zanim zaczęłam dalej zgłębiać temat, do moich uszu dotarło nagle *tu, tu* i facet odłożył słuchawkę.

Od razu wybrałam numer Mili, żeby zrelacjonować jej to niezemskie przeżycie i zapytać, czy miała z tym coś wspólnego. Ale nie miała.

- Nie, naprawdę nie dałam nikomu twojego adresu... waszego numeru telefonu... nie, naprawdę nie... Co też ci się zawsze przydarza? - powiedziała i zabrzmiało to trochę tak, jakby mi zazdrościła. - Jak myślisz, kto to był? Mark, Tobiasz czy może ten chłopak od piosenek o miłości z imprezy? To byłoby rozkoszne!

- No tak, piosenki o miłości by tu pasowały. Ale jak zdobył moje nazwisko i tak dalej? Nasza cała akcja na imprezie była przecież anonimowa.

- W końcu napisał w ankiecie, że leci na rude, a przecież nie ma w naszej szkole aż tak wielu rudych dziewczyn. Zresztą myślę, że to jest ktoś, kto cię zna. Na przykład ktoś z naszej klasy.

Nie chciałam w to wierzyć, bo żaden z nich mnie nie pociągał.

- Jeśli chcesz rozwiązać tę zagadkę, musisz się po prostu raz z nim umówić - zaproponowała Mila.

- Ale jak? ON przecież odłożył słuchawkę, a na wyświetlaczu nie było numeru. Jak mam się dowiedzieć, kim jest i jak mam do niego dotrzeć?

Mila też nie umiała mi nic poradzić.

- No to pluskaj się dalej. Może wpadnie ci coś do głowy. Zobaczymy się u ciebie dzisiaj po południu.

Odłożyłam komórkę na bok i znowu zanurzyłam się głębiej w wodzie. Ogarnęło mnie cudowne uczucie całkowitego odprężenia. Ten płyn do kąpieli był naprawdę przyjemny. Zamknęłam oczy i całkowicie poddałam się temu stanowi medytacji.

Nagle miałam wrażenie, że wpatruje się we mnie intensywnie dwoje błękitnych oczu. Ten przystojny facet z autobusu wkradł się w moje myśli. CZY w poniedziałek będzie jechał znowu na tym samym odcinku co ja, i może też we wtorek i w środę... może od teraz już zawsze?

Wystraszona otworzyłam szeroko oczy. Co się ze mną działo? Od kiedy to interesuję się chłopakami? Zawsze omijałam ich szerokim łukiem. Cieszyłam się, kiedy żaden się do mnie nie zbliżał, a teraz?!

Na pewno to była wina Mili, która przy każdej nadarzającej się okazji wmawiała mi, że koniecznie muszę coś zrobić z moim życiem uczuciowym. Wtedy przypominałam sobie, że nawet jej nie spytałam, co wyszło z jej Bliźniaka Tygrysa, który umie gotować. A Kait załatwiłam nadzwyczajnego Lwa Świnie, który obiecywał wieczny żar miłości.

Wybrałam numer Kati. Odebrała jej mama.

- Kati poszła na spacer - powiedziała.

To mnie zdziwiło.

- Co? Tak wcześnie?

- Przyszedł po nią młody mężczyzna.

Mowę mi odjęło. Ale szybko się zabrali do roboty!

- Mam jej coś przekazać, jak wróci?

- E... tak... eee... nieee... eee... może do mnie zadzwonić!

- Dobrze, powiem jej. Co się dzieje? Sprawiasz wrażenie zaniepokojonej.

- I taka też jestem - powiedziałam zgodnie ze spontanicznym charakterem mojego znaku.

Gwiazdy w końcu nie kłamią!

Po południu siedziałyśmy w księgarni i przeglądałyśmy czasopisma dla dziewczyn, które Mila przyniosła z salonu fryzjerskiego swojej mamy.

- Wczoraj świetnie poszło! - powiedziała zadowolona Kati.

- Miała powód do radości. Widać trafiła na faceta swoich marzeń. A na dodatek sama jej go bezinteresownie załatwiłam.

- Jak się nazywa ten szczęśliwy człowiek, który ma prawo cię ze sobą ciągać? - spytałam z delikatną nutą zazdrości w głosie.

- Timo - powiedziała po prostu i zabrzmiało to tak, jakby w jej głosie drżały cymbały i harfy. Jasne, nasza droga przyjaciółka bujała w obłokach. Na razie mogłyśmy ją sobie darować.

Musiałymy nawet. Ledwo wypila filiżankę herbaty, a już zaczęła się żegnać.

- Wybieramy się jeszcze do kina - powiedziała na swoje usprawiedliwienie. - Nie jesteście na

mnie złe, no nie?

Pewnie, że byliśmy złe, ale z drugiej strony nie mogliśmy przeszkadzać jej życiowemu szczęściu.

- Ależ nie - powiedziałyśmy dlatego jednocześnie - dobrej zabawy!

Kiedy już sobie poszła, spojrzaliśmy na siebie przygnębione.

- Ci faceci przynoszą nam same kłopoty. Już pierwszy zaczyna rujnować naszą przyjaźń! - Byłam wściekła.

- Nie pozwolimy jej popsuć - powiedziała Mile zdecydowanym głosem.

Jednak jakoś nie opszczało mnie wrażenie, że mamy przed sobą trudny egzamin.

- No, a jak tobie poszło? Co porabia Bliźniak Tygrys, który umie gotować? - spytałam.

- Możesz o nim zapomnieć - powiedziała Milla. - On nie tylko lubi gotować, ale też jeść. i to bez przerwy. Jeśli z nim zostanę, za kilka tygodni będę jak kulka. Nieee, jest dla mnie za milutki. Podobają mi się raczej wysportowani faceci.

Spojrzała na mnie przenikliwym wzrokiem.

- Na kogo się zdecydowałaś? Na Marka, czy na Tobiasza?

Jak miałam jej wyjaśnić, że żaden z nich mnie nie pociąga, ale za to dwóch zupełnie obcych chłopców naraz wywołało moje zainteresowanie?

W końcu jednak jej to wyznałam, a ona od razu zaczęła się zastanawiać, jak mogłabym najlepiej poderwać tego gościa z autobusu.

Przestała kartkować czasopismo i podstawiała mi je pod nos.

- Zobacz, tu jest coś dla ciebie.

Przeczytałam tytuł. Było tam napisane: *Podrywanie lub spławianie*, a pod spodem znajdowała się cała masa porad, jak zdobyć wymarzonego faceta.

Natychmiast rozpoczęłyśmy testowanie propozycji, przejmując odpowiednie role.

- No to ja jestem teraz tym facetem z autobusu - powiedziała Milla - a ty mnie podrywasz.

Dalej, zaczynaj!

Gapiłam się w czasopismo i szukałam wskazówki w rubryce *Dowcipne podrywanie*.

Podeszłam prosto do Mili.

- Masz pip na nosie - powiedziałam.

- Cooo?

- Pip - powtórzyłam, nacisnęłam palcem wskazującym jej nos i powiedziałam: - Pip!

Potrzebowaliśmy trochę czasu, żeby odpocząć po ataku śmiechu.

- A nie sądzisz, że facet weźmie mnie za wariatkę? - spytałam zasapana.

- Chyba tak - chichotała Milla z właściwą sobie otwartością.

Co też te redaktorki sobie myślą! Również innych wskazówek nie wypróbowano w praktyce. Już podczas samego wypowiedziania tych tekstów skręcało człowieka ze śmiechu.

- *Czyż nie wyglądałibyśmy uroczo jako para marcepanowych figurek na weselnym torcie?* - przeczytałam na głos, a Milla nie mogła uwierzyć, że ten tekst nie pochodzi z kategorii "spławianie", tylko "dowcipne podrywanie".

- No to dużo mi nie pomoże - powiedziałam w końcu. - Prawdopodobnie i tak już nie zobaczę tego chłopaka. Takie fantastyczne zjawisko mogło się tylko raz pojawić w naszym autobusie!

- Zostaje jeszcze pytanie, kim jest ten anonimowy wielbiciel telefoniczny - powiedziała Milla.

- W pierwszej chwili pomyślałam o Marku - przyznałam się. - Głos też brzmiał podobnie. Ale jakoś on mi nie pasuje do tej sprawy.

- Dlaczego? - zapytała Milla. - W gruncie rzeczy niczego o nim nie wiemy. A może pod przykrywką macho kryje się wrzliwa dusza.

W morde jeża, w tym momencie przyszedł mi do głowy tylko tekst Goethego: *Dusza człowieka jest jak woda...*

Mila zaczęła chichotać.

- W wypadku niektórych facetów raczej jak piwo!

- No, tak jak mówi pani Kempinski "niespokrewniona z dynastią hotelarzy"!

Mila ułożyła wiersz:

Jest jak piwo Marka dusza,

Więc jak zwierzę ku nam rusza,

Niczym byk się nagle zrywa,

Wystarczy mu skrzynka piwa...

Czerwona płachta już zbywa...

Wybuchnęliśmy gromkim śmiechem.

Zadowolona napiłam się herbaty i zagryzłam paluszkami.

- Ten gość z autobusu bardziej by mi się podobał - powiedziałam ostrożnie. - Jak jeszcze raz do niego wsiądzie, będę go w każdym razie miała na oku. A jeśli chodzi o anonimowego wielbiciela, kto wie, czy się jeszcze kiedyś odezwie.

ON jednak się odezwał. I to jak! W ciągu kilku dni stał się moim wiernym towarzyszem. Powiedzmy, takim dżinem komórkowym. Manifestował swoją obecność w dziwnych miejscach, o nienormalnych porach, w niemożliwych sytuacjach, poprzez najdziwniejsze wyznania miłosne, jakie kiedykolwiek dziewczyna otrzymała przez komórkę.

Zaczął się od telefonu późnym wieczorem. Uwolniłam się z góry poduszek i złapałam za komórkę.

- Tak? - odezwał się wyczekująco.

Ale z komórki rozbrzmiewała tylko cicha muzyka. Z trudem zrozumiałam niektóre słowa, bo tekst był znowu po angielsku. *Good night, good night... sleep well, and when you dream, dream of me tonight...*

Muzyka cichła powoli, a potem odezwał się głos:

- Śpij słodko, *lovely*.

Zanim mogłam cokolwiek odpowiedzieć, połączenie zostało zakończone. Oczywiście i tym razem postarał się, żeby numer nie został zidentyfikowany.

Następne wieczorne rozmowy przebiegały według tego samego schematu: piosenka o miłości jako kołysanka, a potem krótkie pozdrowienia na dobranoc.

W sumie, raczej miły sposób podrywania, ale w pewien sposób denerwujący, ponieważ przebiegał tak jednostronnie! Uważałam, że to słodkie, ale ja też z chęcią powiedziałabym MU parę czułych słów. Takie odkładanie słuchawki to była po prostu bezczelność!

Pewnej soboty zrobiło się późno i byliśmy jeszcze całą rodziną w restauracji Steakhouse.

Kiedy moja komórka zadzwoniła o zwykłej porze, miałam właśnie między zębami gruby kawałek mięsa i nie chciałam, żeby mi ktoś przeszkadzał w żuciu.

- Jem właśnie gruby stek Ribeye. Jak jem, to jem.

- Czy to znaczy, że przeszkadzam?

- Dokładnie tak.

- No to smacznego. Zresztą lubię cię tak bardzo, że bym cię pożął.

- Tylko mnie całe nie zjedz!

ON zaczął chichotać.

- Czy jestem wielkim kanibalem? - a potem zaśpiewał cicho: - ...a wszystkie dzieci, które w

nocy nie śpią, zabiorę ze sobą i zjem...

Posunął się za daleko.

- Świrujesz - powiedziałam i wyłączyłam go. W samą porę, bo zarówno moi rodzice, jak i ludzie przy sąsiednich stolikach spochmurnieli podczas mojej rozmowy telefonicznej. Komórki nie były w tym lokalu mile widziane.

On jednak dzwonił nie tylko wieczorem.

Bez względu na straty flirtował ze mną o każdej porze dnia. Kiedy nagle komórka zaczęła dzwonić na lekcji WoS-u, bardzo się zmieszałam i zaczęłam usprawiedliwiać, dukając w kierunku stołu nauczyciela:

- ...może to coś bardzo pilnego.

Niestety, наша nauczycielka WoS-u, pani Scheffler, nie miała w sobie społecznej żyłki, bo energicznie wyprosiła sobie przeszkadzanie jej w lekcji.

Zrobiłam się czerwona, szepnęłam do komórki:

- Teraz nie mogę - i skwaszona wyłączyłam ją. No nie, znowu obciach! Czy ten gość nie miał lekcji? Gapiłam się na miejsca Marka i Tobiasa, które były puste. Czy to może jeden z nich...? Nie, to niemożliwe, oni są przecież na szkolnym zebraniu.

- No i co z tego - powiedziała Mila na przerwie. - Tam zawsze panuje totalny zamęt, nikomu nie przeszkadza, że ktoś dzwoni z komórki.

- Tak, a czy oni w ogóle mają komórki? - zapytałam.

Mieli, obaj!

W ogóle wielu moich kolegów było już posiadaczami komórek. Ci, którzy ich nie mieli, stanowili mniejszość.

Mila też była bardzo szczęśliwa, kiedy dostała telefon na urodziny. Tylko rodzice Kati ku jej ubolewaniu nie dali się zmiękczyć.

- A więc jednak telepatia - powiedziała Mila, uśmiechając się złośliwie, co wywołało złowrogie spojrzenie Kati. Mogłam zrozumieć, że nie było jej do śmiechu. Komórka była nam po prostu niezbędna do życia!

Chociaż właśnie po ostatniej rozmowie z NIM miałam wrażenie, że przez komórkę moje życie nie stało się wcale łatwiejsze. Wyprowadzałam Hansa-Hermanna, a kiedy zadzwoniła komórka, stałam z nim pod bardzo straym, grubym kasztanowcem o potężnym pniu.

Wyciągnęłam aparat z kieszeni kurtki i przyłożyłam do ucha. W drugiej ręce miałam smysz Hansa-Hermanna.

ON zapytał:

- Co robisz, *lovely*?

Ale zanim jeszcze cokolwiek zdążyłam odpowiedzieć, poczułam mocne szarpnięcie za smycz i Hans-Hermann, głośno szczekając, ciągnął mnie na drugą stronę pnia. Tam rzucił się z odwagą straceńca na czarno-brązowego mieszańca dobermana z pinczerem; nie zauważyłam, że się zbliża, bo rozmawiałam przez komórkę. Przy tym zwykle omijałam tę bestię szerokim łukiem, był to bowiem znany w mieście zabijaka. Szarpnęłam smych Hansa-Hermanna, przyciągając go mocno do siebie. Ale ponieważ mogłam użyć tylko jednej ręki, nie była to zbyt efektowna akcja. Hans-Hermann tylko się otrząsnął z niechęcią, a potem rzucił się jak błyskawca na tego zabijakę, który czekał już na niego z odsłoniętymi wielkimi kłami, a ślina radośnie kapiała mu z mordy.

Wepchnęłam szybko telefon do kieszeni kurtki i próbowałam szarpaniem, teraz już dwoma rękami, rozdzielić psy. Pan psa-zabijaki robił to samo. Jakoś nam się w końcu udało. I ciągnęłam

za sobą zaślinionego i przeraźliwie skamlącego Hansa-Hermanna do domu, żeby opatrzeć go po tym wypadku.

- ...a wszystko przez to, że oderwała mnie rozmowa przez komórkę - zakończyłam następnego dnia w szkole moją relację o tym koszmarnym zdarzeniu.

- Nie musisz przecież wszędzie zabierać ze sobą komórki - powiedziała Kati-bez-komórki.

- Zabierasz ją ze sobą, jak idziesz do toalety? - spytała Mila bezpośrednio i niedyskretnie.

- Nie przypominaj mi o tym! - Musiałam w tym momencie pomyśleć o przykrej scenie, kiedy siedziałam na muszli klozetowej i czytałam komiks z Myszka Miki, a ON szeptał mi do ucha wiersz. W pewnej chwili akby diabeł we mnie wstąpił. Wzięłam do ręki komórkę, zbliżyłam do zbiornika i nacisnęłam słuchawkę.

A kiedy ON powiedział, że są dzisiaj jakieś szmery na linii, wyjaśniłam MU brutalnie, że te szmery to nie romantyczny wodospad, tylko słuchawka toalecie.

Ale dziwnym trafem nie brał do siebie moich wybryków. W każdym razie nie przestał z tego powodu do mnie dzwonić. A może ON nie traktował tej całej miłosnej historii poważnie, tylko chciał sobie ze mnie zakpić? Jeśli rzeczywiście krył się za tym Mark, to mogła być jego zemsta za to, że nie pocałowałam go na szkolnej imprezie. Chłopcy są czasami próżni i źle znoszą odmowę.

- Tak mogłoby być - zgodziła się ze mną Mila i podejrzliwie spojrzałyśmy na Marka stojącego w kącie z chłopakami.

- Szczerze mówiąc, to byłoby jedyne przekonujące wyjaśnienie. Na pewno on chce cię zdenerwować.

Z czasem te rozmowy naprawdę zaczęły mnie denerwować. Na przykład opanował mnie ciągły niepokój, bo bez przerwy czekałam na niespodziewany telefon od NIEGO. Siedziałam nad lekcjami, a moje myśli gdzieś uciekały. Czytałam książkę, a przewracając kartki, upewniałam się, że moja komórka leży obok mnie i jest włączona. Wieczorami nie mogłam zasnąć, dopóki nie przesłał mi piosenki o miłości jako kołysanki. Niezauważalnie ten obcy człowiek zaczął wpływać na rytm mojego dnia i przenikać do mojego życia jak jeden z tych pozaziemskich ufoludków, które po kryjomu wkradają się pomiędzy ludzi. *Something has invaded my life!* ON wiedział, kiedy wracam ze szkoły, kiedy rano wstaję, kiedy wieczorem kładę się spać, jem obiad, piję herbatę z przyjaciółkami, odrabiam lekcje, idę na zajęcia sportowe albo lekcje gry na pianinie, na próbę chóru i gdziekolwiek indziej, i tak dalej, i tak dalej...

- Tego się nie da wytrzymać - powiedziała Mila pewnego popołudnia, kiedy szłyśmy z Hansem-Hermannem aleją kasztanowców. - To czysty terror! Żaden człowiek nie może aż tak się wpychać w cudze życie. A w dodatku anonimowo! Musisz się temu jakoś przeciwstawić!

Powiedziałam to sobie już więcej niż raz.

Na przykład postanowiłam, że pewnego dnia nie włączę komórki albo przynajmniej nie odbiorę telefonu od nieznanego numeru, ale skończyło się na dobrych chęciach. Musiałam się do tego przyznać: byłam do NIEGO uzależniona, od mojej komórkowej miłości! Kimkolwiek był!

- Czy ty już wcale nie masz własnej woli? - wypominała mi Mila.

- Mam - powiedziałam speszona. - to... to... tylko... jakoś mam wrażenie, że może rzeczywiście ON się we mnie zakochał.

Mila zaczęła się na mnie gapić.

- Tobie się już chyba nie da pomóc - powiedziała. - A nawet gdyby był w tobie zakochany - chyba nie chcesz się zadawać z takim wariatem, takim telefonicznym terrorystą?!

Świadoma swojej winy potrząsnęłam głową.

- Nie... nie... jasne, że nie... - powiedziałam i pomyślałam sobie, a może jednak tak?

Oczywiście możliwie dokładnie przyjrzałam się również temu facetowi w autobusie, który rzeczywiście pojawiał się teraz codziennie. Sprawiał wrażenie wyluzowanego i pewnego siebie, miał na sobie porządne ciuchy i był przynajmniej dwa lata starszy ode mnie. Bez wątpienia najbardziej wyróżniały się jego irytująco błękitne oczy. Chociaż facet wydawał się kompletnie wykończony, te oczy wpatrywały się we mnie z ożywieniem. Momentalnie miękły mi kolana i musiałam opadać na najbliższe siedzenie. Czy to on był moim anonimowym rozmówcą?

Wskazywałyby na to pewnie ślad, który mógłby do niego prowadzić albo przynajmniej pozwalał włączyć go w krąg podejrzanych.

Od pewnego czasu nie miałam karty autobusowej i od pewnego czasu jeździłam na gapę. Teraz przyszło mi do głowy, że może wraz ze wszystkimi rzeczami z torby wylądowała pod jego nogami. Może udało mu się ją ukraść i schować! Byłam taka zakręcona, że na pewno bym tego nie zauważyła. Jakby to zrobił, znalazłby na karcie wszystko, czego potrzebował, żeby się ze mną skontaktować: nawisko, adres, nazwę szkoły. To było naprawdę przekonujące wyjaśnienie! Właściwie kradzież karty autobusowej dziewczynie to już był niezły numer! Pograżona w myślach spoglądałam na niego nieufnie.

Widział to i uśmiechnął się do mnie. Czułam, jak w niekontrolowany sposób kolor mojej twarzy zmienia się na czerwony. *Scarlet for me, scarlet for you!* Pozatym był nieprzyzwoicie przystojny. Nie miałabym nic przeciwko temu, pomyślałam sobie, żeby to on był tym anonimowym rozmówcą. Niestety jeszcze nigdy nie słyszałam jego głosu. Ale nie miałam odwagi, żeby go po prostu zagadnąć. Masz pip na nosie! Brrr! Mógł mi tylko odpowiedzieć:

- A ty masz świra pod grzywką!

W tym czasie w szkole zapowidało się na wielkie wydarzenie brzemienne w skutkach. Naszą szkołę wybrano jako wzorcową na zbliżające się EXPO i szef szkolnego chóru Old MacDonald zgłosił nasz program specjalny. Mieliśmy zaprezentować wielce szanownej publiczności brzmienie *Pieśni miłosnych tysiąclecia i świata*.

Uczyć nastolatków u szczytu dojrzewania, czyli nas, pieśni miłosnych to była bardzo śliska sprawa. Kiedy Old MacDonald wyjechał z tym pierwszy raz, nikt mu nie uwierzył.

- Żarty sobie robi - szepnęła Miła, a Kati była następującego zdania:

- Nie może przecież ćwiczyć z nami czegoś takiego!

A jednak to zrobił. Miały śpiewać wszystkie młodsze klasy. Powiedzmy megachór o jakości na miarę tysiąclecia.

- Ja tam lubię śpiewać - powiedziałam do Kati - i nie mam nic przeciwko pieśniom miłosnym. Ale czy naprawdę musimy śpiewać z tymi wszystkimi gnojkami z naszego rocznika? Oni są przecież tacy durni i w dodatku niemuzycalni.

Old MacDonald zwracał na to uwagę podczas każdej próby i przeklinał ten pomysł i nas, bezradnych wykonawców.

- Tenory - wrzeszczał również dzisiaj - gdzie wasze zaangażowanie? To nie jest śpiew tylko pisk! Co to jest, chór eunuchów? Co z basami? Kiwi, właściwie możesz się zamknąć. Tego piania nawet głuchemu morsowi nie możemy wcisnąć jako śpiewu!

Biedny Kiwi całkowicie zbladł. W końcu naprawdę nie był winien temu, że mutacja zupełnie zmieniła mu głos, u innych z resztą też nie brzmiało to lepiej. W każdym razie próba chóru to zawesze był wielki ubaw.

Old MacDonald tak często walił w A na fortepianie, że po jakimś czasie instrument się

wysłużył i musiał przyjść stroiciel, żeby go znowu doprowadzić do stanu używalności.

- Proszę w przyszłości używać kamertonu - powiedział Direx. - Jeśli będę musiał co dwa tygodnie płacić za strojenie fortepianu, to impreza robi się za droga. Fortepian jest zarezerwowany na występy.

A więc od teraz Old MacDonald uderzał kamertonem o pulpit i osobiście podawał ton A.

Ćwiczyliśmy *Santa Lucia*. Najpierw wszystkie ósme klasy. Później trzysta osób miało to zaśpiewać na cztery głosy. - *Il mare lucia, l'astro d'argente!*

O kurczę, jakie to romantyczne. Wyobrażałam sobie zakochaną parę w gondoli oblanej światłem księżyca pod rozgwieżdżonym nieboskłonem. Samotność we dwoje, czułość. To, co tutaj robiliśmy, sprawiało raczej wrażenie, jakby Romeo całował Julię nie na zacisznym balkonie, ale na stadionie piłkarskim. Tak więc z trudem przychodziło mi poważne traktowanie prób.

Pozatym wykorzystywałam je do rozglądania się za tym facetem z ciemnymi oczami, którego niezatarte wspomnienie zapadło mi w pamięć od szkolnej imprezy. Mogło być przecież tak, że chodził do równoległej klasy.

Ale wkrótce musiałam porzycić tę nadzieję. Kiedy nie pojawił się nawet na trzeciej próbie, Mila powiedziała:

- Zapomnij o całej sprawie. On nie jest w ósmej klasie. Może nawet w dziewiątej albo dziesiątej. Jesteś pewna, że on wogóle jest z naszej szkoły? Na imprezie było dużo uczniów z innych szkół.

To naprawdę było bardzo budujące. Jeśli był z innej szkoły, to nigdy go nie znajdę. W końcu nie mogłam łączyć po wszystkich szkolnych podwórkach ani wywiesić listu gończego: "Szukam słodkiego, ziemnookiego faceta, w którym na śmierć się zakochałam podczas imprezy gimnazjalnej w szkole im. Tomasza Manna. Proszę o natychmiastowe zgłoszenie!".

Nie mogłam tego zrobić. Westchnęłam i zaczęłam śpiewać:

- ...*chodź, nie pozwól mi czekać, uszczęśliwi cię, Santa Lucia, Santa Lucia!!!*

Obok mnie rozległ się cichy chichot. Poirytowana rozejrzałam się wokoło.

W tej samej chwili wydarł się Old MacDonald: - Jeśli chcesz mi w ten sposób przekazać, że z chęcią przejęłabyś partię solową, to proszę bardzo, zrozumiałem twoją aluzję. Teraz byłoby miło, gdybyś śpiewała to samo co reszta.

Spojrzałam na Milę zbaraniała i szepnęłam:

- Co ja takiego zrobiłam?

Pokazała na partyturę.

- Jesteśmy dopiero tutaj, przy włoskim tekście. Niemiecka zwrotka będzie później.

- Ojejku, co za wtopa. Aż tak było mnie słyhać?

- I to jeszcze jak - powiedziała Mila - swiergoliłaś jak słowik. Na pewno myślałaś o swojej komórkowej miłości, prawda?

Na moje nieszczęście Old MacDonald nie żartował.

Mój występ solowy zwrócił jego uwagę na - jak to określił - mój nośny sopran i na koniec próby zapytał, czy mogłabym sobie wyobrazić zaśpiewanie w duecie z... Tobiasem.

Na miłość boską, tylko nie to, pomyślałam sobie i powiedziałam grzecznie:

- Jeśli uważa pan, że mogłabym...

Uważał. Włożył mi w rękę kilka kartek z nutami i powiedział:

- Obejrzyj je sobie!

Nie tylko je sobie obejrzałam, ale wypróbowałam w domu na pianinie. To był fragment z

West Side Story i nosił tytuł *Somewhere*.

Nuciałm go sobie, kiedy rozległ się dźwięk komórki. Oderwałam ręce od klawiszy i zajęłam się telefonem.

- Cześć, *lovely*, co robisz?

- Gram na pianinie.

- Daj posłuchać.

Przełączyłam na głośnik i zagrałam kilka taktów.

ON nucił melodię, a potem przeszedł do delikatnej melorecytacji. *There's palce for us, somewhere a place for us...*

A może to był Tobiasz?

Skończyła się moja cierpliwość.

- Pięknie! - rzuciłam. - Super! Naprawdę moim zdaniem bomba! Ale wydaje mi się, że spotamy się na świętego Dygdy, co nie ma nigdy! Powiedz mi wreszcie, kim jesteś?! Wtedy będziemy mogli się umówić i zobaczymy, czy, jak i gdzie nastąpi ciąg dalszy!

Zero reakcji. Złapałam za komórkę, żeby sprawdzić, dlaczego nie odpowiadał. Kurczę! Jak zawsze, kiedy miał puścić farbę, ON, ten tchórz, po prostu odłożył słuchawkę!

Pierwsza próba z Tobiaszem była porażką. Dlaczego on był taki nieśmiały? Sprawiał wrażenie, jakby przed każdym dźwiękiem, jaki ma zaśpiewać, chciał spytać o pozwolenie, żeby otworzyć usta. I zamiast patrzeć na mnie, gapił się ponad moim lewym ramieniem w miejsce, gdzie stały Mila i Kati. To doprowadziło Old MacDonalda do granicy rozstroju nerwowego - wysłał nas do domu.

- Co się działo z Tobiaszem? - spytałam Milę. - Tak w ogóle jest przecież całkiem OK.

- Kobieto, nie zauważyłaś? Przecież od razu widać, że on jest w w tobie zakochany po uszy! - wtrąciła Kati i znowu, jeszcze raz podkreśliła, że jej zdaniem to Tobiasz jest anonimowym rozmówcą.

- Na pewno przez cały czas musiał o tym myśleć i dlatego tak mu się zaczerwieniła twarz! - powiedziała, śmiejąc się.

W ten sposób mój anonimowy rozmówca prawie codziennie zmieniał tożsamość, w zależności od tego, czy bardziej przekonujące argumenty miała Kati, czy Mila. A kiedy ja pozwalałam sobie mieć własne zdanie, to wtedy albo kierowało mną konkretne spojrzenie przystojnego chłopaka z autobusu, albo ciągle niezaspokojona tęsknota za parą niezidentyfikowanych ciemnych oczu. A do nich wydawał się czasami doskonale pasować sympatyczny głos chłopaka brzmący w komórce.

- Da-da-da-da-da-da-da-da-daaaa...

Od kilku dni zaprogarmowałam sobie w komórce nowy dzwonek - kilka taktów *Dla Elizy*.

- Tak?

- *Where are you going, my lovely?*

- Bawić dzieci - powiedziałam.

- Masz młodsze rodzeństwo?

- Nie, idę do sąsiadów. Muszę trochę zarobić na telefon i nie tylko.

- To nie moja wina. Dotąd to nie przeze mnie ponosiłaś koszty, w końcu to ja zawsze do ciebie dzwonię.

Natychmiast skorzystałam z okazji.

- Jak dasz mi swój numer, to będę mogła do ciebie zadzwonić. Będzie dla ciebie taniej.

- I zrobiłabyś to?

- Co?

- Zadzwońabyś do mnie?

- Jasne, dlaczego nie?

Przerwa.

- No i jak? Dasz mi swój numer?

- Jeszcze nie, może później.

Głupi typ! Już się cieszyłam, bo myślałam, że w końcu go przekonałam, a tu znowu nic.

- Możesz mnie... - powiedziałam rozzłoszczona i urwałam rozmowę.

Wieczorem na próżno czekałam na kołyskanę. Cisza... Pustka... Czekanie. Kartkowałam jakąś książkę, czytałam słowa i zdania, nic z tego nie rozumiejąc. Trzy razy poszłam do lodówki, przyniosłam jogurt, colę i znowu jogurt. Spojrzałam na zegarek. Północ. Zgasiłam światło. Kim właściwie byłam, że nie mogłam zasnąć bez kołysanki tego faceta z komórki? Nie byłam przecież uzależniona od kogoś takiego! To śmieszne! Przewracałam się z boku na bok.

Aaa, spogląda tylko twarz księżycy... Dlaczego do diabła nie dzwonił? Czy naprawdę się obraził, że go tak trochę objechałam? To było przecież naturalne, że po tym jednostronnym flircie telefonicznym, trwającym od tygodni, powoli traciłam cierpliwość i w końcu chciałam się dowiedzieć, kim ON jest. Nie trzeba było się od razu wkurzać. Gapiłam się w okno. Ogarnęła mnie panika. A jeśli już wcale nie zadzwoni? A jak stracił ochotę? A jak nigdy się nie dowiem, kim był?

Zza cienkiej zasłonki przebijała się okrągła tarcza księżycy w pełni.

Jaśniejący księżycu, który królujesz na nieboskłonie, bądź posłańcem mych czułych myśli... - chodziła mi po głowie jedna z miłosnych melodii Old MacDonalda.

A kiedy znowu zamknęłam oczy, błagałam gorąco: proszę, kochany księżycu, spraw, żeby ON zadzwonił!

ON nie zgłaszał się przez trzy nieskończenie długie dni. Po szkole chodziłam jak struta, a Old MacDonald miał podczas próby chóru następny powód do rozpacz, bo każde słowo i każda myśl o miłości sprawiała, że łzy napływały mi do oczu i szloch ścisnął krtań.

- Czy masz problemy w życiu uczuciowym? - trafił w końcu w sedno, kiedy próba z Tobiaszem skończyła się całkowitą porażką. Oczywiście nie mogłam się do tego przyznać w obecności nauczyciela, nie mówiąc już o Tobiasie, więc zaczęłam coś ściemniać o alergii na pyłki i łzawiących z tego powodu oczach.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Pyłki? Jesienią? Co też takiego jeszcze kwitnie?

- Jesienny... eee... Zimowit jesienny - wydukałam. - Mam uczulenie na zimowit jesienny.

Jeśli - jak przypuszczała Kati - to Tobiasz był moim anonimowym wielbicielem, po tej scenie musiała go ogarnąć litość. ON znowu do mnie zadzwonił.

Właśnie kładłam dzieciom sąsiadów spaghetti z sosem pomidorowym na talerze, kiedy zadzwoniła komórka.

- Tak? - odezwałam się, ale w tym samym momencie rzuciłam mój piękny aparat na stół i wrzasnęłam:

- Nie, nie, dzidzia, natychmiast odłóż spaghetti z powrotem na talerz!

Dzidzia wzięła w obie ręce całą swoją porcję spaghetti łącznie z kapiącym sosem pomidorowym i podawała je psu, który stał oparty przednimi łapami o jej krzesło. Obrzydlistwo!

Obiegłam stół naokoło, szarpnęłam bestię za obrozę, wrzuciłam górę makaronu dzidzi na przewidziany do tego celu talerz i starłam papierowym ręcznikiem sos z palców, stołu i podłogi kuchni. Ledwo wróciłam na swoje miejsce, rączki dzidzi znowu powędrowały do góry spaghetti.

- Zabierz ręce z talerza, dzidzia! - wrzasnęłam.

- Ale ja nie mam rąk w talerzu! - z komórki dobiegał rozbawiony głos. Z jakiegoś powodu włączony był głośnik. To musiało się stać, jak aparat upadł. No tak, było nieźle. I tak w tej chwili nie miałam wolnej ręki, żeby rozmawiać przez komórkę.

- Przecież to nie do ciebie - powiedziałam i mimo całego zamieszania musiałam się roześmiać. - A może jesteś dzidzia?

- Tego ci nie zdradzę.

- Obrzydlistwo! Nie! - próbowałam powstrzymać nie mniej kreatywną siostrę dzidzi, która miała na imię Pia.

- Uwielbiam spaghetti - powiedział właśnie ON, kiedy dzidza swoim pełnym ładunkiem zakopała telefon.

- Nie! - wrzasnęłam. - Moja śliczna komórka! - A kiedy już ją wydobyłam, westchnęłam: - Nienawidzę spaghetti! - Potem na wszelki wypadek ją wyłączyłam.

Kto wie, jak delikatne urządzenie elektroniczne zareaguje na sos pomidorowy? W domu wyczyściłam aparat i podczas testowej rozmowy z Milą stwierdziłam, że dzięki etui przeżył ten makaronowy zamach bez szwanku.

Kiedy właśnie czule układałam moją komórkę do snu obok poduszki, zgłosił się jeszcze raz mój anonimowy wielbiciel.

- Wysłaś ze wszystkiego cało? - spytał.

- Jako tako.

- Wszystkie nitki spaghetti są na swoim miejscu?

- Jeśli masz na myśli brzuch dzieci, nie! Większość wylądowała gdzieś w kuchni. Kiedy urocze maleństwa były w łóżkach, mogłam zeszkrobywać makaron ze ścian i mebli!

- Biedactwo - powiedział ze współczuciem. - Jaką mamy nauczkę?

- Już nigdy nie gotuj małym dzieciom spaghetti!

- Dokładnie tak! Jesteś mądrą dziewczynką! Śpij dobrze i niech ci się nie śnią góry spaghetti!

I jak każdego wieczoru puścił mi kołysankę, dzisiaj pasowała do włoskiej potrawy narodowej:

- *Ti amo, ti amo, ti amo...*

Zanim zdążyłam go zapytać, dlaczego przez trzy dni się nie odzywał, skończyła się piosenka i rozmowa.

ROZDZIAŁ CZWARTY - WIADOMOŚCI

Stres nie miał końca.

Teraz była temu winna Mila. Stwierdziła, że nie może dłużej patrzeć na to, jak ten typ od komórki robi ze mnie wariatkę. Zejdę na psy, jeśli niezwłocznie nie uwolnię się od tego psychicznego uzależnienia. Jako moja przyjaciółka jest oczywiście gotowa przyczynić się do tego, żeby tożsamość tego tchórza została w końcu ujawniona.

- a więc najpierw zajmiemy się podejrzanymi z naszej klasy. Przyprę Marka do muru!

- Na miłość boską, nie! - powstrzymałam ją. - Coś takiego wymaga absolutnego, słyszysz, absolutnego wyczucia.

- A ty nie uważasz, że bym była do tego zdolna, czy jak? - kłapała dziobem obrażona.

- Ależ tak, jasne, nikt nie ma tyle wyczucia, co ty... ale... więc...

- Nie jękać się. Postanowiłam zdjąć z ciebie tę kłętwe losu i zrobię to! Z twoim pozwoleniem albo bez.

- Ale to moje życie!

Teraz jednak do sprawy włączyła się również Kati.

- Pomyśl o tym, co mówiły karty tarota. Na drodze twojej miłości mają się pojawić sekrety. Mila ma rację. Musimy skończyć z tymi sekretami! Ten facet musi się do ciebie otwarcie przyznać. Wtedy będziesz szczęśliwa!

To zabrzmiało przekonująco. Ale jak patrzyłam na Milę, to nie miałam dobrych przeczuć. Dlaczego obie musiały się właściwie znowu tak zajmować moim życiem uczuciowym? Czy nie miały własnego?

- Słuchaj, Kati, jak wyszło z twoim fascynującym Lwem Świnia? Z tym Timo?

- Nie zmieniaj tematu, to nie jest teraz przedmiotem rozważań!

- A może jednak? Zaufanie w zamian za zaufanie. Wszystko wam powiedziałam o to samo chciałabym usłyszeć od was! Co z nim?

Kati zrobiła trochę nieszczęśliwą minę.

- Facet był za bardzo fascynujący. Uważał się za takiego odjazdowego gościa, że będąc obok niego, czułam się jak ostatnia szara myszka. Przystojny to on był, ale kiedy w kinie nie pozwoliłam mu dobrać się do mojej bielizny, chciał mnie kompletnie poniżyć. Nie jestem w końcu w szkole klasztornej i nie chcę chyba zachować dziewictw do ślubu, i takie tam teksty. W końcu chlusnęłam mu w twarz colą, którą mi zafundował. To by było na tyle.

Widać było, że ta cała sprawa bardzo nieprzyjemnie ją dotknęła. Mnie też, bo przecież w pewien sposób byłam temu winna - w końcu to ja wynalazłam jej tego faceta na podstawie horoskopu.

- A więc też kłapa - powiedziałam. - Jak widać, gwiazdy czasami mijają się z prawdą.

- To nie jest jeszcze tragedia - podnosiła ją na duchu Mila. Ten typ wcale na ciebie nie zasługiwał. Ten właściwy jeszcze się zjawi. Najwyżej jeszcze raz zorganizujemy flirt shop! Ale teraz musimy się najpierw zająć Hanną!

Powiedziawszy to, ruszyła w stronę Marka, który stał obok kosza na śmieci i ostrzył ołówek.

- Mark - powiedziała - wiem, że jesteś na śmierć zakochany w pewnej dziewczynie. Dlaczego się do tego otwarcie nie przyznasz?

Spojrzałyśmy z Kati na siebie. Nagle zabrakło mi śliny i język przysechł jak futerko do podniebienia. Czy Mila miała całkiem po kolei w głowie?

Mark był również zaskoczony, w każdym razie nie wydał z siebie chwilowo ani słowa. Potem przemówił nie on, tylko Kartofel, który usłyszał niezbyt cicho zadane pytanie Mili:

- Naprawdę, Mark? Kim jest ta szczęśliwa wybranka, w której jesteś zakochany?

A Kiwi, ten głupek, oczywiście nie miał nic innego do roboty, jak wrzeszczeć po całej klasie:

- Hej, ludzie, Mark jest na śmierć zakochany!

Gdybym była Markiem, to bym się zapadła pod ziemię. Ale on wydawał się gruboskórny i rozglądał się z uśmiechem dookoła.

Dopiero kiedy tanecznym krokiem podesza do niego Vanessa i uwodzicielsko wygładziła sobie top na biuście, zrozumiał powagę chwili:

- No jak tam, Mark, nie masz mi nic do powiedzenia? - szepnęła mu te słowa w twarz niemalże na odległość pocałunku.

Mark pokręcił nosem, jakby Vanessa właśnie przed chwilą spożyła ząbek surowego czosnku, i powiedział absolutnie nieelegancko:

- Dziewczyno, masz chyba w mózgu szmbo, które śmierdzi już na odległość!

Nie cierpiałam Vanessy, ale teraz było mi jej żal. Zrobiła się biała i stanęła jak wryta, jak żona Lota, która spjrzała w otchłań Sodomy.

Obudziła się we mnie kobieca solidarność. Żadnemu facetowi nie wolno było się tak zachowywać!

Spontanicznie zrobiłam krok w kierunku Marka i trzasnęłam go w twarz.

Złapał się za policzek. I spojrzął na mnie niezmiernie zaskoczony. Ale żeby udawać wyluzowanego i nie skompromitować się, powiedział:

- Do diabła, lecę na rude z temperamentem!

A zanim mogłam się zacząć bronić, wziął mnie już w ramiona i przed całą klasą wpił się w moje usta. Obrzydlistwo!

O, nie! - pomyślałam, kiedy obudziłam się następnego dnia rano. Po tym, co się wydarzyło, nie mogłam się już pokazać w szkole!

Wprawdzie Mila, Kati i w ogóle wszystkie dziewczyny uznały spoliczkowanie Markusa za zupełnie słuszne, ale fakt, że temu facetowi udało się mnie tak po prostu napaść znienacka, sprawiał, że to wszystko stawało się raczej wątpliwym chwilowym zwycięstwem.

Dobrze przynajmniej, że nauczyciele mieli szkolenie i nie było lekcji. W ten sposób miłam okres ochronny, żeby jakoś odzyskać nadwyreżoną pewność siebie. Najlepszym rozwiązaniem był bieg. To orzeźwiało duch i ciało i wzmacniało kondycję do biegu nocnego.

W ubraniu do joggingu usiadłam obok mamy przy stole kuchennym.

To była dobra okazja, żeby ją zagadnąć o wyjazd na narty podczas zbliżających się zimowych ferii i wyrwać z niej zezwolenie na udział w imprezie.

- Mamo, czy narciarstwo zjazdowe właściwie sprawia frajdę? - zaczęłam dyplomatycznie.

- Mnie sprawiało.

- Czy nie odmówiłabyś tej przyjemności swojej córce?

- Nie odmówiła przyjemności czy ją zafundowała? - Spojrzała na mnie podejrzliwie znad brzegu gazety. To okropne, mama po prostu nie dała się zaskoczyć.

- No, właściwie jedno i drugie. Szokła organizuje przed świętami Bożego Narodzenia wyjazd grupowy na narty w Alpy francuskie. Bardzo bym chciała jechać. Mogę? - patrzyłam na mamę wyczekująco.

Najpierw nic nie powiedziała, wydawało się, że się zastanawia.

Szybko musiałam dorzucić kilka argumentów.

- Pan Sprinter po biegu nocnym zaplanował kurs przygotowawczy z gimnastyką dla narciarzy. Musiałabym się teraz zgłosić, jeśli chcę jechać.

- Nie wystarczy, że w górach Harzu uprawiasz narciarstwo biegowe? Nie mamy w tej chwili pieniędzy na narciarstwo alpejskie. Cały sprzęt jest za drogi.

Czy ja dobrze słyszałam? To brzmiało jak "nie"!

- Ale, mamo, wszyscy jadą!

- Wszyscy? Naprawdę?

- No tak, wszyscy ważni ludzie.

- A kto to są ważni ludzie?

- No, Kati, Mila, połowa mojej klasy, ludzie z fakultetu sportowego...

Motte usiadła do śniadania i przysuchiwała się nam z zainteresowaniem.

- Czy Hanna jedzie w góry? - spytała.

- Nie - powiedziała mama.

- Tak - odpowiedziałam sama.

Spojrzałyśmy na siebie.

- no to jak? Tak czy nie? - Motte zdziwiona spoglądała raz na jedną, raz na drugą z nas.

Musiałymy się roześmiać.

- Proszę, mamó, pozwól mi jechać - błagałam. - Możemy prawie wszystko wypożyczyć. Buty, narty, kijki, mogę też wziąć coś z waszych rzeczy. wtedy nie będzie tak drogo. A jak się nauczę jeździć, to będziemy mogli wszyscy jechać na ferie. Tobie i tacie na pewno to jeszcze sprawia frajdę.

Widziałam, jak mama zaczyna mięknąć, a gdy Motte dodała jeszcze, wyrażając swoje poczucie sprawiedliwości: - Martinowi też pozwoliliście - wiedziałam, że zgodę mam prawie w kieszeni. Załatwienie taty było już tylko kwestią formalną.

Totalnie happy wstałam od stołu, dałam Motte całusa wdzięczności w policzek i pobiegłam w swoją stronę.

Uff! Wykończona po długim biegu opadłam na ławkę na skraju parku. Tchu mi brakowało. Że też człowiek musi się tak męczyć. Tylko dlatego, że wbiłam sobie do głowy zakwalifikowanie się w tym roku do drużyny, startującej w nocnym biegu! Sześć kilometrów wokół centrum! Załamie się już po trzech kilometrach, jeśli nie zrobię czegoś dla poprawienia kondycji.

Wakacje spędzone leniwie na Majorce przy basenie niewiele zdziałały pod tym względem. Powinnam była uprawić wspinaczkę w Himalajach. W gruncie rzeczy nie byłam pozbawiona sportowych ambicji i zawsze dobrze biegałam. Ale chwilowo mocno wyszłam z wprawy! Z mojego gardła wydobywał się lekko astmatyczny kaszelek. Zrobiłam głęboki wdech, żeby znowu się rozpędzić, kiedy zadzwoniła komórka.

Ach, diabelski sprzęt! Właściwie dlaczego nie zostawiłam jej w domu? Przynajmniej podczas biegu mogłam sobie pozwolić na chwilę przerwy. Czy musiałam właściwie rzeczywiście być zawsze i wszędzie dostępna dla tego... tego terrorysty telefonicznego, który wkraść się w moje życie na bezprzewodowych podszwach?

Ale to dziwne, dzisiaj moja komórka wydała z siebie krótki, zupełnie nieznanymi mi ciąg dźwięków. Jak jajko tamagothi na krótko przed śmiertelnym zejściem. Czy była chora?

Szybko odpięłam ją od paska spodni i przyjrzałam się jej zaniepokojona. Co to było? Na wyświetlaczu pokazały się nagle wyrazy, jakby napisane ręką ducha.

JESTEM W TOBIE TOTALNIE ZAKOCHANY - było tam napisane. Co to był za nowy numer? Jeszcze raz zadzwoniła komórka. Znany dzwonek: *Dla Elizy Beethowena*.

Nacisnęłam klawisz odbioru.

- Tak?

To był ON.

- Przeczytałaś już?

- Co?

- Mojego SMS-a.

- Ach, to jest od ciebie - udałam zdziwioną. - Jak się robi coś takiego?

- Wypatruje się odpowiednią dziewczynę i wpisuje tekst najłepszego podrywku. Nie chcesz spróbować?

Ej, pojawiła się szansa, żeby trochę rozszyfrować jego tajemnicę.

- No to najpierw daj mi swój numer - powiedziałam.

- Później - ON od razu odmówił. - Co teraz robisz?

- Uprawiam jogging. Muszę trenować do biegu nocnego. - Ledwo to powiedziałam, zganiłam się za głupotę. Naprawdę nie musiałam mu wszystkiego opowiadać. Dość nagle bągnęłam do telefonu nijakie "ciao" i tym samym skończyłam rozmowę. Przypięłam ją spowrotem do paska spodni, zrobiłam kilka ćwiczeń rozciągających i pobiegłam dalej. SMS! Co też temu facetowi

ciągle przychodziło do głowy!

- Co się z tobą dzieje? - spytała Kati następnego ranka, kiedy spotkałyśmy się przed bramą szkoły. - Latasz po okolicy jak zombi!

Mila też się zdziwiła.

- Czemu cały czas gapisz się w komórkę jak zauroczona?

- SMS!

- Co to, jakaś nowa odmiana choroby szalonych krów? - typowała Kati.

- Można tak powiedzieć - Uważałam, że ta nowa zabawa może rozprzestrzenić się na obszarze telekomunikacji i czymś podobnym do tej choroby.

- Bzdura - powiedziała Mila. - To się nazywa SadoMaSo!

Chciała zakpić sobie z Kati zacofanej w temacie komórki.

Kati zaświeciła się dioda alarmowa.

- Robisz takie świństwa przez telefon?

Chciałam zachować powagę, ale śmiech tak bulgotał mi w gardle, że po prostu musiałam parsknąć.

- Fajne macie o mnie zdanie! - usiłowałam głęboko zaczerpnąć powietrza. - Dzwonicie po kryjomu pod numery 0-700, no nie?

Kati potrząsnęła głową.

- Nie da rady, moi rodzice je zablokowali!

- A z twojej komórki można? - spytała Mila jakoś za bardzo zainteresowana.

- Chcesz spróbować? - kusiałm ją i przypomniałam sobie, jak podczas wakacji byliśmy na czacie telefonicznym i wylądowałyśmy w kompletnie świńskim chatroomie. Mila też sobie widocznie to przypomniała, bo podziękowała odrzucając propozycję.

Tymczasem weszłyśmy do budynku szkolnego i wchodziłyśmy po szerokich kamiennych schodach, prowadzących do naszej klasy.

Mila zrobiła się niecierpliwa.

- No gadaj już, co jest w tym SMS-ie.

- Tajemnica! Nie zdradzę jej.

- No wiesz co, myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami?

- No dobrze. Krótkie milutkie wiadomości. Tutaj, są na wyświetlaczu.

- Ale odjazd! Zobaczmy!

Podstawiłam Mili komórkę pod nos, al Kati ją wyrwała, mówiąc:

- Pokaż!

- Ej, oddaj mi ją - zawołałam i wyszarpnęłam telefon.

- Człowieku, nie wygłupiaj się. Chcę tylko zobaczyć! - Zajrzała mi przez ramię na wyświetlacz i zaczęła czytać na głos: - LOVE U. . .

- Nie!!! - wrzasnęłyśmy z Milą jednocześnie. Ona żądna sensacji, a ja ze wstydu.

Wsadziłam telefon do kieszeni kurtki. Ku niezadowoleniu moich przyjaciółek.

- Patrząc, niczego ci nie zabierzemy! - powiedziała Kati. - Nie musisz się tak wygłupiać.

- Kto wie - odpowiedziałam.

- Czyżby nasza przyjaciółka stała się troszeczkę arogancka? - docinała mi Mila.

Ale Kati nagle powiedziała ze zrozumieniem"

- A jak naprawdę właśnie dostaje wiadomość? Może najpierw chce ją sama przeczytać. Ty też nie chcesz, żeby ktoś ci przeszkadzał, jak czytasz list miłosny.

- Dziękuję. - Zastanawiałam się od kogo Mila miałaby dostawać listy miłosne. Może od

obzartucha Bliźniaka Tygrysa?

Powiesiłam kurtkę na wieszaku i wepchnęłam komórkę do plecaka.

- Teraz nie chciałam dalej czytać. Dobrze, że taka maszynka zapisywała wiadomości. Przeczytałam szybko do końca w ubikacji na krótkiej przerwie. Byłam pewna, że to była wiadomość od NIEGO. Kto inny mógłby mi wyznawać miłość przez komórkę?

Mila pomyślała chyba to samo, bo kiedy wsunęliśmy się za nasz stół, spytała:

- Czy yo wiadomość od NIEGO?

- Gdybyś dała mi do końca przeczytać!

Na dużej przerwie musiałam jednak obu wszystko dokładniej opowiedzieć.

- To była dla mnie wielka niespodzianka. Wczoraj podczas joggingu nagle na wyświetlaczu pojawiła się pierwsza wiadomość. To był prawdziwy szok.

- O nie, jakie to romantyczne! - zaśmiewała się Mila.

Nie chciało mi się już reagować na jej zachowanie. Zupełnie bez emocji wyjaśniałam dalej:

- Nie wiedziałam, że moja komórka jest ustawiona na odbiór SMS-ów. Oczywiście od razu przeczytałam instrukcję obsługi, bo chętnie bym MU wysłała odpowiedź. Niestety nie mogę tego zrobić, jeśli on ukrywa swój numer.

- Ten się tylko przez cały czas zasłania tajemnicami! - marudziła Mila, w której obudziła się dusza detektywa. - Ale to przecież jest strasznie ciekawe. Przede wszystkim to znacznie zawęży krąg podejrzanych. Twój nieznany wielbiciel jest w każdym razie obeznany, jeśli chodzi o komórki. Mimo tego niewłaściwego romantycznego połączenia w mózgu!

- Dlaczego ktoś, kto jest we mnie zakochany, musi mieć niewłaściwe romantyczne połączenie w mózgu? - spytałam dotknięta.

Mila westchnęła.

- Ale ty masz dzisiaj dziwny humor!

Nie mogłyśmy się zagłębiać w dyskusji, bo nauczyciel od matmy o ksywie Karzełek Titelitury (postać z baśni braci Grimm) wszedł do klasy.

Najpierw walnął swoją aktówką o stół nauczycielski, potem zaczął podejrzanie wytrwale zacierać ręce. Łagodny, niemal podstępny uśmiech nie zdradził niczego dobrego. mogłam sobie łatwo wyobrazić, jak w duchu tańczy wokół ognia i śpiewa:

- Ach, jak dobrze, że nikt nie wie, że wciąż wynajduję jakiś paskudny sposób, żeby zestresować uczniów!

Tak było również dzisiaj. Zadania, którymi zasypał nas w ciągu godziny były absolutnie wstrętne.

Zezowałam do Marka, naszego asa matematycznego.

Mark od tego "incydentu" omijał mnie szerokim łukiem, pewnie odzywało się jego nieczyste sumienie. Mógł być spokojny. Był dla mnie najsympatyczniejszy, kiedy był między nami dystans! I to duży!

Przed chórem mieliśmy okienko. Poszłyśmy do baru i kupiłyśmy przegryzkę na wynos. Nie trwało długo, gdy między jedzeniem pizzy a picciem coli rozmowa znowu zesłała na NIEGO.

- Facet jest naprawdę bezczelny - stwierdziła Mila z uznaniem. - Jak się tak zastanowię, to mógłby być chyba jednak Mark. Jest wystarczająco bezczelny i znany z umiejętności komputerowych. Pasowałby do niego.

- Tylko nie wspominaj mi o Marku - uniosłam się gniewem, słysząc jego imię.

- Ale to, że on czegoś od ciebie chce, jest teraz chyba jasne jak słońce. Nie całowałby cię przed całą klasą, gdyby nie miał poważnych zamiarów!

- Jego zamiary niekoniecznie muszą się pokrywać z moimi - stwierdziłam, dając jej do

myślenia.

- Wszystko jedno. - Mila nadal była uparta. - Ten SMS jest w każdym razie nową wskazówką, którą musimy dokładnie prześledzić. Na próbie chóru jeszcze raz przycisnę Marka.

- Ale trochę ostrożniej niż ostatnio! - ostrzegłam ją. Szczerze mówiąc, wcale mi nie pasowało, żeby Mila tak ofiarnie zajmowała się moimi związkami. W tym wypadku było mi to nie na rękę. Wcale nie zależało mi na tym, żeby odkryć tajemnicę i ujawnić JEGO tożsamość, przynajmniej nie, jeśli ta tajemnica miała na imię Mark.

Kati natomiast nadal obstawiała przy swojej ulubionej teorii.

- Tobias - powiedziała. - To może być tylko Tobias. W końcu wysłanie takiego SMS-a nie jest zbyt skomplikowane pod względem technicznym. Trzeba sobie zadać pytanie, kto jest wystarczająco romantyczny, żeby zrobić coś takiego? No? To przecież jasne jak słońce: czy nie mówiłam od początku, że tobie się w tobie potajemnie kocha?!

- Ty mówisz, że to Tobias, a Mila stawia na Marka.

- Nigdy! - Kati wydawała się wyraźnie podniecona. - Brakuje mu do tego wrażliwości. Pomyśl o tym, jak się na ciebie przedwczoraj rzuciła, a jak słodko Tobi śpiewał z tobą pieśń miłosną w duecie. Tak reaguje tylko ktoś, kto jest zakochany po uszy.

Przy ostatnim zdaniu jej głos stał się tak dziwnie aksamitny, że przyglądałam jej się zaskoczona. Czy to nie ona sama miała na oku tego słodkiego, wrażliwego Tobiasa? Tego misiaczka? Ach, Boże! Jakie to komplikacje znowu się pojawiały!

- No to - zaproponowałam w końcu zdenerwowana - ty najlepiej wybadaj Tobiasa.

Skoro akcja szpiegowska polegająca na "badaniach" miała się odbyć podczas próby chóru, mogła się właściwie już zaczynać. Mila będzie wiercić dziurę w brzuchu Markowi, a Kati - Tobiasowi. Przypuszczałam jednak, że nic - pomijając krzyk bólu, wszystko jedno czyj - z tego nie wyjdzie.

Aula pękała w szwach. Jasne, dzisiaj mieliśmy mieć pierwszą próbę z zespołem.

Ludzie z zespołu siedzieli już na scenie i stroili instrumenty. Dyrygentka orkiestry, pani Wagner, robiła tak jak Old MacDonald i waliła przez cały czas w A na fortepianie. Kilka dziewczyn z chóru, siedzących na brzegu sceny, podśpiewywało już sobie na próbę. Zezowałam na chłopaków z zespołu. Facet z wiolnczellą by mi się podobał, pomyślałam. Miał w sobie pewną melancholię. Długie włosy, które opadały mu na czoło, i ... serce mi zamarło... te ciemne oczy. To niemożliwe, pomyślałam, a z wrażenia zabrakło mi tchu. To był ten chłopak, na którego się zapatrzyłam na szkolnej imprezie. Znalazłam go! Naprawdę! Ręce mi zwilgotniały, a oczy o mało mi nie wyszły z orbit. Musiałam szybko schować się w jakimś kącie, żeby móc go ukradkiem obserwować.

Przykucnęłam w jednej z bocznych nisz okiennych i zezowałam w kierunku sceny. Jakże on miał piękne dłonie. I z jakim uczuciem ciągnął smyczkiem po strunach. Jaki on był wrażliwy! No tak, ale był na pewno co najmniej w dziesiątej klasie i na pewno zupełnie się nie interesował ósmoklasistką!

W tym czasie moje przyjaciółki konsekwentnie kierowały swój wyostrzony zmysł węchu na nasz rocznik.

Najpierw Mila zabrała się za Marka.

- Słuchaj, Mark - powiedziała prosto z mostu - czy wysyłałeś już listy miłosne przez komórkę? O kurczę! To już nie był słoń, tylko dinozaur pustoszący skład porcelany!

Czy nie mogła po prostu zapytać o widomość? Czy musiała od razu mówić o liście miłośnym? Nie! Jaki obciach!

Mark spojrział na nią niepewnym wzrokiem.

- Eee, co masz na myśli?

Mila sama zauważyła swoją gafę.

- Czysto teoretycznie, naprawdę tylko teoretycznie - powiedziała, żeby stłumić potencjalną spekulację w zarodku. - Masz przecież zainteresowania techniczne i pomyślałam sobie, że w dzisiejszych czasach, w wieku telekomunikacji, chłopcy wysłaliby raczej SMS-a niż list pocztą z wyznaniem miłości. Robię sondę dla gazetki szkolnej i chcę wiedzieć, jakie jest twoje zdanie?

- Hm. - Wydawał się trochę spokojniejszy. - Jasne, że zrobiłbym to SMS-em. Ale tak naprawdę nie zastanawiałem się nad tym poważnie.

- Czy napisałbyś w SMS-ie *Kocham cię*?

Myślałam, że niedobrze usłyszałam. Ona naprawdę nie miała po kolei.

Mark wydawał się wyluzowany.

- Jasne, dlaczego nie. Ale w SMS-ach najlepiej używać skrótów. No... - Wyjął swoją komórkę i wstukał coś.

- KC? - spytała Mila. - Co to znaczy?

- Nie umiesz zgadnąć?

- Nieee. Przetłumacz!

Mark zaczął chichotać.

- To znaczy "Kocham cię". A KCNNS znaczy "Kocham cię najbardziej na świecie". Używając kilku znaków, można właściwie napisać wszystko. Od obelgi po wyznanie miłości. Od angielskich słówek po równania matematyczne.

Mila jeszcze wszystkiego nie rozumiała, ale nagle zapaliło mi się światełko: te SMS-y mogą się okazać pomocne podczas różnych testów. Trzeba by było spróbować. W końcu w gwiazdach jest zapisane, że od czasu do czasu trochę kręcę. Wiedziałam już też, kiedy i gdzie. Karzelek musiał w to uwierzyć! A Marki mi w tym pomoże. Jeśli naprawdę był we mnie zakochany, mógł to udowodnić, wyświadczając mi małą miłosną przysługę, która dobrze zrobi mojej ocenie z matmy!

Najpierw jednak była próba chóru... Pani Wagner i Old MacDonald to była istna mieszanka wybuchowa. Oboje chyba za dużo na siebie wzięli i dlatego zachowywali się jak w gorączce.

Po *Santa Lucia* ćwiczyliśmy *Dat du min Levsten büst*, co znowu stanowiło dla chłopców doskonały materiał do świńskich żartów. Zwłaszcza ten kawałekz potajemnym zaproszeniem do sypilni cieszył się szczególną popularnością. Pani Wagner nie rzuciła jeszcze zdenerwowana batutą, a to tylko dla tego, że jej nie używała, dyrygowała szerokimi ruchami ramion.

Staliśmy na scenie podzieleni na głosy. Los popchnął mnie w pobliże tego melancholijnego wiolonczelisty. Niestety Kartofel stał mi na drodze.

Próbowałam ukradkiem przesunąć go trochę na bok i wcisnąć się w powstałą lukę, ale Old MacDonald natychmiast ubiegł mój manewr.

- Hanno, pozostań w członie! - zawołał w moim kierunku.

Reakcją był dwuznaczny pomruk wśród chłopców. Uszy mi się zaczerwieniły i wróciłam z powrotem na miejsce obok Kati. Kartofel uśmiechnął się nieprzyzwoicie.

Po południu zmęczeni po próbie udłaiśmy się do autobusu.

- No i - spytała Mila - jak sądzisz? Myślę, że Mark jest tajemniczym rozmówcą. Słyszałaś, że bez problemu wyznałby miłość, wysyłając SMS-a. Trochę się tylko wygłupiał, żebyśmy go nie podejrzywały.

Mój zachwyt miał swoje granice, bo wolałam wyobrazić sobie coś pięknego jak marzenie i

poczułam ulgę, kiedy usłyszałam od Kati, że ona była zupełnie innego zdania. Niestety dzisiaj nie udało się jej dotrzeć do Tobiasa, ale jutro...

Na przystanku nasze drogi się rozeszły. Mój autobus był o tej porze raczej pusty. Usiadłam na wolnym siedzeniu i wyjęłam moją ukochaną komórkę. Pokazywała, że czeka już na mnie nowa wiadomość. Z bijącym sercem przeczytałam: **HI, LOVELY. KCNNS.**

Ach, ty kropkowana salamandro! To wyglądało już na sprawkę Marka, dokładnie to samo pokazał przecież wcześniej Mili! Kiedy wstrząśnięta podniosłam głowę, zobaczyłam rozbawiony uśmiech typa z autobusu. Co on tu teraz robił? Przecież zwykle jeździł ze mną tylko rano. Całkowicie zbita z tropu odpowiedziałam uśmiechem.

Następnego dnia na pierwszej lekcji mieliśmy historię z doktorem Würflem (Würfel - niem. kostka). Właściwie nazywa się Wülfer, ale ponieważ od wielu lat utrzymywała się plotka, że przed postawieniem ocen rzuca kostką, to przezwisko do niego przyłgnęło i było przekazywane z pokolenia na pokolenie nowych uczniów.

Sama też zaliczałam się do ofiar jego kostki; choćbym robiła, co tylko mogłam, z jego przedmiotów ledwo trzymałam się przy życiu. Cokolwiek powiedziałam, zawsze uśmiechał się ze złośliwą satysfakcją i informował mnie, że nie orientuję się w temacie. Ale jak miałam to robić, biorąc pod uwagę jego styl nauczania! Totalna nuda! od czasu do czasu musiałam się rozmarzyć i uciec dokądś myślami, żeby to wytrzymać.

Ale właśnie do tego miał niesamowitego nosa. Jak tu szybko wrócić na lekcję historii, skoro w mślach spacerujesz właśnie po kolorowym jesiennym lesie, jeśli to możliwe z jakimś supefacetem, jak na przykład tym gościem z autobusu, u twojego boku.

- Hanno... - No bomba, znowu mnie przyłapał.

- Tak - odparłam, ociągając się i szukając jakiegoś ogólnego wprowadzenia, żeby się najpierw zebrać w sobie. - ... Z dzisiejszej perspektywy...

Brutalnie mi przerwał i nie dał mi czasu na zebranie myśli.

- Nie pytam o dzisiejszą perspektywę, tylko o powody zasiedlania Ameryki Północnej przez Europejczyków. Jeszcze coś wymyślisz, czy mogę zapytać kogoś innego?

To byłoby najlepsze wyjście, pomyślałam, ale nie mogłam sobie pozwolić na jeszcze jedną całkowitą przerwę w odbiorze, więc zaczęłam ściemniać:

- A więc... hm... Ameryka Północna została zasiedlona przez Europejczyków.

- To właśnie powiedziałem - znowu mi przerwał. - Pytanie brzmiało, dlaczego została zasiedlona.

Tak właściwie dlaczego? Co takiego było w Ameryce, czego nie było w Europie? Ameryka była krajem nieograniczonych możliwości, musiało tam być coś, co by się spodobało naszemu Würfelowi. Jasne, to było to!

- Z powodu nieograniczonych możliwości - wypaliłam i powtórzyłam dumnie: - Zasiedlili ją z powodu nieograniczonych możliwości!

Zamiast coś dwa razy powiedzieć, lepiej było dwa razy pomyśleć.

Würfel uśmiechnął się ironicznie, demonstrując swoją wyższość.

- Odpowiedź świadczy o tym, że twoje możliwości w zakresie tego przedmiotu są ograniczone. Jedyńka!

Znowu kości zostały rzucone. Jeśli tak dalej pójdzie, to sytuacja stanie się krytyczna.

- Czarno widzę moją ocenę z historii - powiedziałam na przerwie. Ale Mili i Kati były zainteresowane czymś innym.

- Dasz sobie radę - stwierdziła Kati. - Idę teraz przesłuchać Tobiasa.

I już maszerowała na drugą stronę do kącika chłopców, gdzie Tobiasz kopał puszkę po coli. Jakoś miałam nieokreślone wrażenie, że szuka jego bliskości nie tylko z mojego powodu. Zamieniła z nim kilka słów, których na odległość nie mogłam zrozumieć. W każdym razie nie przestawał maltretować puszek po coli, objając ją o listwę przypodłogową. Wynioskowałam z tego, że nie przywiązywał zbytnej wagi do pytań Kati.

Kiedy wróciła, wszystko brzmiało oczywiście inaczej.

- To on. Mówię ci, że to on. Wymienił nawet pięć skrótów do szybkich SMS-ów. Tak po prostu. Z głowy. Założę się, że wysłał ci te wiadomości.

Spojrzałam na szczupłego, kopiającego puszkę chłopca. Przynajmniej nie reprezentował typu macho. Był całkiem dowcipny i lubiany w klasie. W sumie należał raczej do spokojniejszych. Ale cicha woda brzegi rwie. Kto wie, jakie myśli chodziły po głowie pokrytej jasnymi lokami.

Kiedy zadzwonił dzwonek, Tobiasz podniósł puszkę po coli i wyrzucił do kosza na śmieci. Jakimś sposobem sprawiał na mnie wrażenie maminsynka.

- Ale on śpiewa jeszcze w chórze chłopięcym - powiedziałam do Kati. - Ten gość w komórce ma już głos mężczyzny!

- Może udaje - odparła Kati.

- Jasne, jak wielki zły wilk. A zamiast kredy zeżarł węgle! - zaczęła się z niej nabijać Mila. - Tylko tak mówisz, bo nie chcesz przyznać Hannie racji i mylisz się co do Tobiasza. Mark w każdym razie tak nie piszczy!

Zanim rzuciły się na siebie, Karzełek wszedł do klasy z ćwiczeniami. Mogło to tylko oznaczać, że zbliża się następny test z matmy. Po lekcji zapanowała ogólna bezradność. Poza dwoma czy trzema asami matematycznymi nikt nie rozumiał tłumaczenia Karzełka.

Teraz nadszedł moment, żeby wypróbować mój pomysł z SMS-ami. I zaangażować do tego Marka. Był mi jeszcze winien zadośćuczynienie za ten napad z całowaniem! A to, czy był tym anonimowym wielbicielem, nie miało żadnego znaczenia, miałam do niego inny interes.

Wystarczyło mi, że był bezkonkurencyjny z matmy.

- Słuchaj, Mark - wyciągałam z niego - jak dobry jesteś w wysyłaniu SMS-ów?

Spojrzał na mnie przenikliwie.

- Czy to jakiś spisek? Mila już mnie o to pytała.

- Nie, nie. Robię to na własny rachunek. - Rachunek - dobry tekst, pomyślałam i roześmiałam się z niezamierzonej gry słów.

- Aha... - Mark wydawał się nieufny wobec tej sprawy.

- No to mów - podjęłam drugą próbę. - Sprawnie ci to idzie?

- Jasne, to nic trudnego.

- Czy zrobiłbyś coś dla mnie?

Popatrzył na mnie jak obcy z odległej planety. Dotąd traktowałam go dosyć ostro, a teraz prosiłam o przysługę. Jakoś nie mógł tego wszystkiego pojąć.

- Wiesz przecież, że jestem cienka z matmy. Muszę koniecznie napisać porządnie test. I pomyślałam sobie, że mógłbyś mi w tym pomóc.

- Korepetycje? - spytał z nadzieją w głosie.

- Eee, raczej nie, to znaczy nie w tej chwili - powiedziałam, żeby go całkiem nie zniechęcać. - Przydałoby mi się, żebyś podczas testu przysyłał mi kolejne działania SMS-em.

Roześmiał się bezczynie.

- Ach, nowa technologia oszukiwania.

- To nie dokońca oszustwo. Chcę tylko kolejne przejścia, a nie wyniki.

- No tak, to rzeczywiście subtelna różnica. To się nazywa szachrajstwo.

- No i nawet gdyby. Zrobisz to? Karzełek sam jest sobie winien. Dlaczego nie tłumaczy matmy tak, żeby każdy zrozumiał?

Mark patrzył na mnie przyczajony.

- A dlaczego miałbym ponieść dla ciebie takie ryzyko? Co będę z tego miał?

Ojej, mogłam przewidzieć, że nie zrobi czegoś takiego z poczucia czystej ludzkiej solidarności.

- Wymień cenę - powiedziałam wyniośle. Zobaczymy, czy można ją zapłacić.

- OK, jeśli to zrobię, przyjdiesz w poniedziałek do "Harlekina".

O kurczę, czy on zwariował? Do "Harlekina"? Wpuszczają tam conajmniej od szesnastu lat. Brakowało mi tylko tych marnych dwóch latek.

Kiedy mu to powiedziałam, tylko się ironicznie uśmiechnął.

- Na pewno ci się uda wejść. To *Bizarre Monday* (Dziwaczny Poniedziałek), jak się odpowiednio ucharakteryzujesz, będziesz wyglądała jak własna babcia.

Czy warto było się postarać? No dobrze, mogłam to jeszcze omówić z Milą i Kati. Warto było spróbować. Skoro nie chciał niczego więcej.

- OK - powiedziałam energicznie.

- No to daj mi numer swojej komórki.

Kiedy pisałam mu swój numer na kartce, pomyślałam, że naprawdę go nie zna albo jest całkiem sprytny!

- Ale wyłącz dzwonek - ostrzegł mnie jeszcze.

Uśmiechnął się i był taki z siebie zadowolony, że mało mnie krew nie zalała. Chyba naprawdę myślał, że zrobił na mnie wrażenie tym atakiem całowania.

Kati i Mila nie zauważyły wzrostu mojego zainteresowania Markiem. Musiałm im więc wszystko szczegółowo opowiedzieć w drodze do autobusu.

- Ale jednego jestem teraz całkiem pewna - powiedziałam na zakończenie. - On nie jest moim tajemniczym wielbicielem. Nie miał mojego numeru komórkowego.

- Jesteś naiwna - powiedziała Mila z uśmiechem. - Myślisz, że jest tak głupi, żeby zdradzić się w tak prymitywny sposób? Powinnaś go uważać za sprytniejszego.

Tym razem Kati także się z tym zgodziła.

- On naprawdę nie ma powodu, żeby dla ciebie oszukiwać, chyba że ma w stosunku do ciebie poważne zamiary.

- Tego się dowiemy w "Harlekinie" - powiedziałam. - A może lepiej będzie, jak nie pójdziemy?

Chyba nie wiedziałam, jak bardzo imprezowe są moje przyjaciółki. Jednogłośnie zawołały:

- Ale przecież to jasne, że idziemy!

A kiedy Mila zaproponowała, żeby wykorzystać w tym celu możliwości salonu fryzjerskiego swojej mamy, sprawa była przesądzona.

Dwa dni później odbył się test z matmy. Wszystko poszło jak po maśle. Kiedy dostaliśmy testy, Mark zaczął mi przysyłać kolejne przejścia i obliczenia. Moja komórka leżała oficjalnie na stole, Marka też. Jego i tak wygląda jak kalkulator. A że mogliśmy go używać, wcale nie zwracał na siebie uwagi, ciągle coś na niej wystukując.

Poza tym zakładałam, że Karzełek nie jest zaznajomiony z nowoczesną technologią i w związku z tym ni wyobraża sobie, żeby komórka mogła służyć do czegoś innego poza telefonowaniem.

Na początku przechadzał się między rzędami i wodził swoim kontrolującym wzrokiem, nie zatrzymał się jednak na komórkach. Kiedy później usiadł za swoim biurkiem, żeby schować mądrą głowę za odpowiednią gazetą, Mark od razu zaczął nadawać. ponieważ był tak miły i przesyłał mi od razu całe rozwiązania, musiałam tylko przepisywać z wyświetlacza. To była naprawdę bajka. Każdy test z matmy powinien być taki łatwy. Karzełkowi oczy wyjdą na wierzch, jak zobaczy mój test. Tym samym znajdę się znowu nad poprzeczką.

Gdybym przypuszczała, jakiego sobie piwa nawarzyłam, omijałabym Marka i SMS-y szerokim łukiem i tak jak moi przyjaciele wołałabym napisać test na uczciwy mierny.

Już następnego dnia w szkole Mark uznał, że może sobie pozwolić na prostą poufałość w stosunku do mnie. Przyłazł do naszej grupki i zagadał do mnie po prostu z boku, chociaż rozmawiałam właśnie z Milą i Kati.

- No i jak, wszystko w porządku? Dobrze poszło, no nie?

Rozejrzałam się dookoła. Nie wszyscy musieli się od razu dowiedzieć, że cos razem kombinowaliśmy.

- Ale to zostanie między nami - powiedziałam. Dopiero teraz boleśnie uświadomiłam sobie, że przez tę akcję miał mnie w garści. Gdyby chciał, mógł mnie tym szantażować. I już trochę to robił.

- Jeśli przyjdiesz w poniedziałek do "Harlekina".

- Przyjdę - powiedziałam chłodno, chcąc się go pozbyć, ale Mila i Kati napaliły się, żeby się dowiedzieć czegoś o dyskotecę. Dlatego że miał już szesnaście lat - wyrazy szacunku! - był stałym bywalcem dyskotek i miał świetną orientację w tym środowisku.

- A kontroli nie musicie się obawiać. Jeśli przy wejściu będziecie przekonujące i przejdziecie, do północy już nikt nikogo nie sprawdza. Potem może się to zdarzyć, bo wtedy muszą wyjść wszyscy poniżej osiemnastu lat. Takie jest prawo.

Kiedy duża przerwa się skończyła, głód informacji został nasycony, a Mila i Kati ustaliły, że przeszmygłowanie się na *Bizarre Monday* do "Harlekina" to będzie imponujący wyczyn. Z Markiem czy bez.

Co ja dobrego narobiłam.

Karzełek przeszedł samego siebie. Potrzebował tylko weekendu, żeby poprawić nasze testy.

Od razu w poniedziałek rano walnął stos na biurko. Gdy rozdawał prace, zawahał się przy moim nazwisku.

- Pfefferkorn - powiedział zamyślnym tonem - Hanna Pfefferkorn. Nieodkryty geniusz matematyczny.

Całkiem dobrze poszło, już się cieszyłam. Ale kiedy podeszłam do jego biurka, żeby odebrać mój test, on nieoczekiwanie skoczył na równe nogi i rzucił mi mroczne spojrzenie. Przy tym wysyczał z całą złośliwością, jaka mogła się zawrzeć w jego głosie:

- Nie wiem, jak to srobiłaś, ale wiem, że odpisałaś od Marka. Ostrzegam cię. Jeszcze raz napiszesz tak dobrą pracę, a zawlokę cię do dyrektora!

Czułam spojrzenia kolegów wbite w mój kark. Ale obciach.

A i bez ostrzeżenia Karzełka doszłabym do wniosku, że nie narażę się już na taką sytuację. Ale żal przeszedł troszeczkę za późno.

Kiedy w południe przechodziłyśmy przez bramę szkoły, stał tam Mark ze swoimi kumplami i przypominał mi o spłacie długów.

- Nie zapomnij o dzisiejszym wieczorze, myszko - powiedział z ironicznym uśmiechem.

- Zobaczymy się w "Harlekinie". Ciao.

Kiwnęłam głową bez słowa, podczas gdy moje przyjaciółki odpowiedziały za mnie, a energia wydawała się je rozsadzać.

I jeszcze siedząc w autobusie, zadawałam sobie pytanie, dlaczego to zawsze ja muszę się pakować w kłopoty: *How bizarre!*

ROZDZIAŁ PIĄTY - BIZARRE MONDAY

Spotkałyśmy się u Mili. Jej mama miała przecież salon fryzjerski, a pozatym całkowicie odbiegała od mormy. Zajmowała się nie tylko włosami, ale również upiększaniem ciała, robiła tatuaże henną, piercing... Krótko mówiąc, w jej salonie pojawiało się określone towarzystwo. Jasne, że przy każdej okazji chętnie przebywałyśmy u Mili.

O ósmej mama najczęściej zamykała salon. Potem Mila dostawała dziesięć euro i zabierała się za sprzątanie. Zamiatła włosy, czyściła szczotki i grzebienie, chowała suszarki, wrzucała ręczniki do pralki, klamerki do włosów i podobne przybory wkładała do roztwory dezynfekującego i tak dalej. Dla nas pomaganie jej to była superzabawa, bo mogłyśmy przy tym wypróbować parę modnych fryzur. Jak ja zazdrościłam Mili. Dobrze, że była moją najlepszą przyjaciółką. U niej w każdym razie znajdowałyśmy wszystko, co było nam potrzebne, żeby się odpowiednio wystylizować na Dziwaczny Poniedziałek w "Harlekinie".

Ubrałam się cała na czarno i zabrałam ze sobą filoetowe boa z frędzelków należące kiedyś do mojej babci.

Kiedy je wyjęłam, Mila dostała ataku śmiechu.

- Jakie to okropne! - sapła ze złości. - Z twoimi rydymi włosami tworzy połączenie przyprawiające o zgon!

Trochę się obraziłam. Kto daje sobie powiedzieć, że ma zły gust?

- No, to chyba jest dość dziwaczne - powiedziałam napuszona.

- Dziwactwo to nie bezguście - Mila zaczęła się powtarzać.

Wystarczająco rozwścieczona wpakowałam boa z powrotem do reklamówki.

Kati próbowała złagodzić sytuację.

- Ja uważam, że boa jest totalnie odłotowe. Naprawdę ostra jazda. Uważaj, to będzie świetna stylizacja.

Nie czekała na moją zgodę, tylko pobiegła do magazynu poszukać odpowiedniego koloryzującego spreju.

- Hej, stop! - zawołałam. - Nie możecie tego ze mną zrobić!

- Jasne, że możemy - zachichotała Kati.

- A ty? - spytałam ją. - Chcesz pójść tak, jak wyglądasz, jak blondyneczka, podczas gdy ja mam wyglądać jak błazen? Musimy jakoś do siebie pasować. - Spojrzałam na nią z trochę nienawistnym uśnieszkiem. - A może tak ostrozielony sprej?

- Obrzydlistwo! - Pokręciła głową ze wstrętem.

- A dla mnie fiolet jest niby OK, co?

Mila wróciła i opanowała sytuację. Na stoliku fryzjerskim ustawiła całą masę sprejów koloryzujących. Fioletowy, zielony, niebieski. Czarny i ciemnobrązowy.

- Nie chodzi o to, żebyśmy się przebrały jak na bal karnawałowy - przerwała naszą dyskusję. - O wiele ważniejszy jest teraz nasz ogólny wygląd - mamy wyglądać wystarczająco staro, żeby

nas wpuścili do środka.

- Z moją puciołowatą bladą buźką na pewno już na wejściu nie przejdę kontroli twarzy - powiedziała Kati ogarnięta nagłym pesymizmem. Ja też nie byłam przekonana, że tak łatwo się nam uda wejść.

- Ach, ztusujemy makijażem te niemowłące policzki. Parę ciemnych trupich cieni i będziesz wyglądać jak własna babcia - stwierdziła Mila.

- Dzięki - powiedziała Kati, a w jej fiołkowych oczach widać było poważne wątpliwości i niewypowiedziane pytanie, czy nie byłoby lepiej porzucić akcję "Harlekin". Widocznie jej zdaniem wystylizowana na własną babcie nie miała szans u chłopców.

- OK - powiedziała Mila i potrząsnęła sprejami. - Proponuję, żebyśmy obcięły włosy Kati o jakieś piętnaście centymetrów i po prostu zafarbowały na czarno. Czarny postarza i... - przerwa - wyszczupła.

- Ani się waż! - Kati wystrzeliła z fotela fryzjerskiego jak ugryziona przez tarantulę.

Mila roześmiała się trochę wrednie.

- No, nie denerwuj się, to tylko mały żart. Ale, już poważnie, poleciłabym ci zmywalną czerń.

- A czy ona szybko zejdzie? - spytała Kati z powątpiewaniem. - W końcu jutro musimy iść do szkoły.

- Tutaj mam takie coś, co schodzi po jednym myciu.

- Ale jeszcze tego nie wypróbowałaś, no nie?

- jeśli tak jest napisane na opakowaniu, to musi tak być. Jeśli zaraz się nie zabierzemy do dzieła, to możemy sobie darować to wyjście.

Mila miała rację. Było już wpół do dziewiątej. Najwyższy czas na rozpoczęcie stylizacji i udanie się w kierunku "Harlekina".

- No dobrze - powiedziałam - moje włosy szybko się zafarbują. Możesz mnie zrobić na czarno, byle nie na fioletowo.

- Szkoda, może jednak fioletowe pasemko na grzywce?

Pokręciłam przecząco głową.

Ale znając sztukę przekonywania Mili, było jasne, że w końcu będzie górą. W ten sposób niała na głowie czarną, nastroszoną szpoę z grubym, fioletowym paskiem na na czole.

- Czy zastanawiałaś się już nad tym, że Mark może nas w ogóle nie rozpoznać? - spytałam zaskoczona własnym widokiem.

- Tym lepiej, wtedy będziesz wolna i sama będziesz mogła zdecydować, czy i kiedy się ujawnisz.

Spojrzałam w lustro i zaczęłam sobie pudrować twarz na białą. Wkrótce wyglądałam jak siostra Drakuli we własnej osobie. Teraz jeszcze fioletowa szmika i kreska wokół oczu, antracytowy cień do powiek i czarny tusz do rzęs.

- Pasuje do twojego typu urody - zachichotała Mila.

- Eeee - powiedziałam do swego lustrzanego odbicia - czy my się skądś znamy?

Nagle zadzwoniła komórka. Moje przyjaciółki szybko przerwały rozmowę. Jasne, że myślały to samo, co ja: czy to był ON?

- Mam odebrać? - spytałam niezdecydowana, bo chciałyśmy właściwie skończyć przygotowania.

- Jasne - Kati i Mila odpowiedziały jednocześnie, a oczy błyszczyły im z ciekawości.

Nacisnęłam klawisz odbioru.

- Tak?

- Mów do mnie, o ukochana. Pozwól mi usłyszeć swój głos. Wyczaruj uśmiech na twej

słodkiej twarzy.

Słodka twarz? Spojrzałam w lustro. Gdyby mógł mnie teraz zobaczyć!

- Twarz moja niczym księżyc blada - zaczęłam świrować do słuchawki.

- O - jakby go zatkało. Potem się pozbierał.

- Dlaczego jest taka blada? Jaki ból to sprawił?

Ty pusty łbie.

- Żaden ból - powiedziałam ostro. - Jest blada, bo zaraz idę na imprezę metali. Do

"Harlekina"! Jak chcesz mnie zobaczyć, też możesz przyjść. Ciao!

Bez uczucia ucięłam rozmowę. Były teraz ważniejsze rzeczy niż wciskanie kitu.

Mila zafarbowała tymczasem Kati włosy na czarno. Robiła przez to wrażenie dużo starszej i dość ostrej. Kiedy nałożyła sobie jeszcze czerwoną szminkę, wyglądała dość zalotnie.

Znowu naszły mnie skrupuły. Nie mogłyśmy tak pójść między ludzi. Jeśli ktoś nas rozpozna!

Mila właśnie oblewała swoje niesamowicie natapirowane czarne włosy litrami lakieru.

Poskubała je palcami, tak że okalały całą głowę. Potem dodała jeszcze porcję lakieru dla "utrwalenia". Ona też upudrowała sobie twarz na białą, obrysowała oczy na czarno, a na swoje pełne wargi położyła prawie czarną szminkę.

Potem wyruszyliśmy do dyskoteki.

"Harlekin" to była po prostu *ta* dyskoteka. Była największa i najładniejsza w naszej miejscowości, miała najlepszy program i najfajniejszą publiczność. Obok różnych stałych punktów programu, jak piwo gratis albo *Bizarre Monday*, były tam różne sale, w których didżeje grali różnorodną muzykę. Hip-hop i rap, latino-pop albo hity z listy przebojów. Czasami były też imprezy ze starymi przebojami albo muzyka taneczna z lat osiemdziesiątych. W każdym razie dla każdego coś odpowiedniego.

Oczywiście Martin opowiadał o tym, bo bywał tu prawie w każdy weekend, odkąd skończył szesnaście lat i znalazł swoją Carmen. Pewnie, byłam trochę zazdrosna o niego i chętnie już sama zajchałabym do tej budy. Ale on twierdził, że kontrole są bardzo ostre i w żadnym razie nie może mnie zabrać ze sobą. Myślę jednak, że po prostu nie chciał, bo nie mógłby już imponować mi swoją tajemną wiedzą. Te dwa latka, które był ode mnie starszy, były dla niego nie wiadomo czym. Ale niech mu będzie! Teraz ja też mogłam wejść do tego świętego gaju.

Jakoś nie przeszkadzało mi wcale, że Mila wystylizowała mnie tak, że nikt nie mógł mnie rozpoznać. Było tak, jakbym przechadzała się z czapką-niewidką na głowie, zapewniającą mi ochronę i bezpieczeństwo. Przypuszczalnie moje przyjaciółki miały takie samo wrażenie. Raczej pewne siebie wzięłyśmy kurs na "Harlekina".

Kiedy później zobaczyłam jasno oświetlone wejście, ścisnęła mnie jakoś dziwnie w żołądku.

Co będzie, jak mnie jednak skontrolują? Czy mam powiedzieć, że zapomniałam legitymacji?

Zanim mogłam dokończyć rozmyślenia na ten temat, stanęłyśmy już u bram szczęśliwości.

Jeszcze tylko dwa kroki dzieliły nas od odjazdowej dyskoteki. Małe kroki dla szesnastolatków, ale ogromny krok dla mnie! Przede mną szła Mila, za mną Kati.

Nagle zrobił się korek. Przed Milą stały dwie dziewczyny, które nawet ostro umalowane wyglądały maksymalnie na dwanaście lat.

Oczywiście zauważyła to również kasjerka.

- Mogę zobaczyć wasze legitymacje? - spytała.

- Niby dlaczego? jestem tu każdego wieczoru! - zdenerwowała się mała, wyglądająca jak lalka Barbie.

- No to na pewno masz już szesnaście lat i bez problemu możesz mi pokazać legitymację!

- Głupia sprawa, założyłam dzisiaj inną kurtkę. Zapomniałam przełożyć legitymację - speszyła się lalka.

- No to szkoda - odparła kasjerka. - Ale jest jeszcze wcześniej, możesz szybko pojechać po nią do domu.

Mała się wkurzyła:

- Co to ma znaczyć? Szykanujesz mnie! Zawsze mnie wpuszczają. Musisz mnie znać. Nie denerwuj mnie, stara!

Jak myślała, że ten numer przejdzie, to się mocno pomyliła.

Tu wmieszał się bramkarz i nie był już uprzejmy.

- Spadaj - powiedział. - Jak wyrośniesz z pieluch, to możesz tu wrócić! Teraz znikaj, wstrzymuj ruch! - I delikatnie jej dotykając, odsunął ją na bok, tak że mogliśmy swobodnie przejść. Byłyśmy w środku!

- Ale numer! - szepnęła Mila. - To zamieszanie z małą odwróciło jej uwagę.

Teraz musiałyśmy obie wszystko dokładnie obejrzeć. Zobaczymy, czy zgadzają się opowieści Martina. Zamówiłyśmy coca-cole, a potem, chichocząc, pałętałyśmy się po dyskotecę.

Na środku był duży parkiet do tańca, który teraz był zajęty mniej więcej w połowie. Jakiś didżej grał hity z list przebojów i techno. Posłuchałyśmy ich przez chwilę i przyjrzałyśmy się facetom, którzy się tam wyginali. Między nimi tańczyli zatopieni w sobie reprezentanci pokolenia hippisów. Potem poszłyśmy dalej - tam, gdzie grali Rolling Stonesów.

Nie, żebym nie zauważyła. Kati, która lepiej się znała, wyjaśniała mi to.

- Tylko ci odjazdowi na to lecą - powiedziała, i można było to zaobserwować. W stosunku do nich ci na parkiecie byli całkiem normalni.

Nie zobaczyłam dotąd żadnej znanej twarzy, teraz odkryłam Martina z Carmen. Do jasnej ciasnej! Jak on mnie zobaczy tak wystrojoną, to jutro w domu będzie piekło. I mama nakłoni tatę, żeby wymyślił dla mnie jakąś drakońską karę. Tego nie chciałam ryzykować.

- Chodźmy gdzie indziej - szepnęłam do Mili i Kati. - Jest tam mój brat, nie może mnie w żadnym razie zobaczyć.

Ale moje zmartwienie było bezpodstawne. Bo chociaż patrzył dokładnie w naszym kierunku, w jego oczach nie pojawił się błysk oznaczający, że mnie rozpoznał. W duchu zacierałam ręce. Jak widać, zamaskowanie było perfekcyjne.

Było już po dziesiątej i "Harlekin" stopniowo się wypełniał. Wydawało się, że przesiadują tu wszystkie nocne marki. Wzięłyśmy kurs na owiany legendą ogród zimowy.

Było tam zimno i unosiła się mgła. W tych oparach siedziało, paląc, całe metalowe towarzystwo naszego miasta. Z głośników unosiły się dźwięki wydawane przez jakąś metalową kapelę odwalającą chałturę. Kilka osób tańczyło.

- O kurczę - szepnęłam - wyglądają odłotowo!

Rzeczywiście nie widziałam dotąd takiej elegancji. Wszyscy byli w czerni. Dziewczyny miały na sobie sukienki z aksamitu albo koronki. Niektóre miały głębokie dekolty i wielowarstwowe spódnice jak Cyganki albo tancerki flamenco. Inne były ubrane jak członkinie rodziny Addamsów. Na rączkach zimnych ak lód miały grube metalowe bransoletki, a na białych szyjach - obroże z kolcami albo grube metalowe krzyże lub pentagramy. Dziewczyny były w większości umalowane mniej więcej jak my. No fajnie, pomyślałam, wcale się tu nie rzycamy w oczy.

Ale szbko zauważyłam, że to była tragiczna w skutkach pomyłka. Miałam wprawdzie całkowitą rację, jeśli chodzi o stylizację, ale dokładnie tak jak Mila i Kati nie wzięłam pod uwagę faktu, że metale to mała, zamknięta grupa, w której każdy zna każdego. Trzy nowe twrze

musiały się rzucać w oczy.

- Jesteście tu nowe? - zagadnęła do nas od razu przy wejściu do ogrodu zimowego blada dziewczyna. Kiwnęłyśmy głowami bez słowa.

- No to chodźcie za mną - powiedziała, wzięła mnie za rękę i pociągnęła za sobą w zimną mgłę. Szukając pomocy, spojrzałam na Milę i Kati. Wysłałam im sygnał - tylko ze mną zostańcie.

Na widok tych mrocznych postaci wpadłam w panikę. Co, do diabła, nas podkusiło, żeby się tu wpakować? Tylko dlatego, że Mark pomógł mi raz na teście z matmy? Gdzie on się wogóle podziewał? Jeszcze go nigdzie nie zlokalizowałam. Byłoby mi miło, gdyby się teraz pojawił, pomyślałam. Szczerze mówiąc, naprawdę się bałam, a ta mocna muzyka zrobiła swoje, wprawiając w drżenie moje wnętrzności.

A potem stanęłam przed nim. Najwyższym guru metali. Takim ojcem chrzestnym. Już o nim słyszałam. Był stary jak świat. Wyglądał na zniszczonego życiem, miał podkrążone oczy i zmarszczki wokół ust. Na pewno nie były wynikiem charakteryzacji. Życie je wymalowało.

Jego głos był dziwnie cieniutki i pasował do jego przerzedzonych włosów. Ciągnął jointa i wymamrotał:

- Zabłądziłyście?

- Eee, nie, dlaczego? - odpowiedziałam pytaniem.

- Tu nie przedszkole - powiedział cicho, ale w jego głosie słychać było ostry ton.

Od razu stało się dla mnie jasne, że przejrzał naszą maskaradę i odkrył trzy małe, zielone ośmiolalki. Facet za dobrze znał się na rzeczy, żeby dać się zmylić odrobiną kosmetyków.

Było tak, jakby czytał w moich myślach.

- Bramkarzy możecie zmylić, ale nie Wronę.

Teraz przypomniało mi się jego przez wisko: *The Crow*, Wrona. Niektórzy nazywali go też Grabarzem. Zrobiło mi się zimno w ręce i poczułam, że zaczynają się pocić.

- Czego tutaj chcecie?

- Eee... nic... tylko zobaczyć... właśnie miałyśmy już iść... - jękałam się.

- Tak będzie najlepiej - powiedział i zaczął pokastywać. - Nie zakłócajcie wewnętrznego kręgu!

O kurczę, pomyślałam, oni tu właśnie mają jakieś tajne zebranie. Dlatego wszyscy się tak wystroili. Ale głupio, że musiałyśmy się tu teraz pojawić.

- Ale my... my naprawdę nie chcemy przeszkadzać - teraz zaczęła kręcić Mila. Widać było, że ona też w tej całej sytuacji czuła się nieswojo.

- Tutaj rzeczywiście przeszkadzacie - powiedział Wrona. - Nie mogę się publicznie pokazywać z dziećmi. Ale jeśli szukacie kontaktu z nami, Wróżka może wam dać adres. - I przegonił nas jednym ruchem ręki. - Teraz sobie idźcie.

Ależ niczego tak nie pragnęłam, jak właśnie tego, pomyślałam sobie, a adresu też nie potrzebujemy. Wielkie dzięki, naprawdę niekoniecznie! Zrobiłam w tył zwrot, byle wyjść z tej potwornej dziury. Przy wyjściu z ogrodu zimowego jakaś strasznie wysuszona postać-cień wcisnęła mi do ręki karteczkę. Wsadziłam ją do kieszeni spodni, nie oglądając jej. Cieszyłam się, że udało mi się wyjść cało z tego zgromadzenia żywych trupów!

- Mila! - pomstowałam w drodze na najwyższe piętro - jak mogłaś nam coś takiego zrobić! Nie mogłyśmy się przebrać za hippiski albo pacyfistki?

- Jakby nas teraz wydał! - Kati też się wystraszyła.

- Czegoś takiego nie robi - Mila machnęła ręką. - W ten sposób rekrutuje w każdym razie nowych uczniów, którzy będą praktykować kult zmarłych.

- Chcesz powiedzieć, że on odprawia czarne masze i robi podobne rzeczy? - zapytałam, a

ciarki przeszły mi po plecach.

- Moja mama mówi, że on i jego ludzie nocą na cmentarzach odkopują groby - szepnęła Kati.

- Nie!

- A jednak! Nie czytałaś w gazecie? Przesłuchiwali go. Ale nie mogli mu nic udowodnić.

- To obrzydliwe - powiedziała Mila.

Nagle odeszła mi ochota do latania po okolicy w stylizacji żywego trupa.

- gdzie tu jest toaleta? - zapytałam. Inni też nie wiedzieli, ale trochę popytałam i znalazłam.

Spojrzenie do lustra w toalecie powiedziało mi, że naprawdę wyglądałam jak zwolenniczka Wrony. Musiałam to jak najszybciej zmienić. Wzięłam papierowy ręcznik, zamoczyłam go i starłam sobie z twarzy warstwę białego pudru. no, teraz wyglądałam znacznie żywiej. Mimo mocnego, czarnego makijażu oczu. I od razu lepiej się poczułam.

- No i co teraz zrobimy? - spytałam z zapalem.

- Może pójdziemy do kina?

- O tak, to dobry pomysł. Martin zawsze opowiada, że tutaj jest świetne kino. Lecą stare filmy i wszyscy naokoło się migdala - powiedziałam.

- Ach - zachichotała Mila. - Nie wiedziałam, że lecisz na coś takiego!

Ale do kina nie doszliśmy. Bo po drodze wpadłam prosto na Marka. To znaczy, zderzyliśmy się ze sobą przy schodach na wyższe piętro.

- Czy mys ię przypadkiem nie umawialiśmy? - spytał przytomnie, podczas gdy ja jeszcze przeszukiwałam w moim zasobie słów odpowiedniego niezabowiązującego wyrażenia.

- Chodź - powiedział. - postwię ci jednego.

I nie zważając na moje przyjaciółki, złapał mnie za ramię i zaciągnął do koktajlbaru na górę.

- Co chesz? - spytał.

Jednak zanim mogłam odpowiedzieć, obok mnie rozległ się przeraźliwy wrzask i jakaś dziewczyna, klnąc głośno, rozbiła drugiej, siedzącej obok na stołku barowym, szklankę od piwa na głowie. Szklanka rozprysła się na drobne kawałki, które przeleciały nam koło uszu. Krew prysnęła mi na spodnie, a Markowi na rękę.

Zareagował natchmiast i zasłonił mnie własnym ciałem. Barman też od razu wkroczył do akcji i jak spod ziemi wyrosło dwóch porządkowych. Złapali zamachownicę, dziko walącą gdzie popadnie, i zgarnęli ją.

Mark popchnął mnie na stół barowy i jeszcze raz zapytał, jaki chcę koktajl. Znałam tylko dwa koktajle. Jednym z nich był "Cuba libre", a drugim "Krwawa Mary", i po tym krwawym wydarzeniu ten ostatni jakoś automatycznie przyszedł mi do głowy.

Mark podniósł wzrok ze swojej wysmarowanej krwią ręki i powiedział z uznaniem:

- Cool, baby!

Jakoś nagle lody zostały przełamana i zaczęliśmy ze sobą normalnie rozmawiać. Kątem oka widziałam Milę i Kati, które pojawiły się przy jednym z sąsiednich stolików, czułam się więc względnie bezpiecznie. Będą mnie miały na oku i natychmiast zaczną interweniować, jeśli temu typowi coś odbije. Dobrze mieć taką właną grupę interwencyjną. Moge to polecić każdej dziewczynie w podobnej sytuacji.

Zapytałam, czy takie sceny zazdrości zdarzają się tu częściej, ale odpowiedział, że właściwie nie. Od czasu do czasu ktoś przegnie, ale porządkowi wkraczają zazawsze tak szybko, że nikt nie zostaje poszkodowany. To była raczej niemiła niespodzianka.

- Takie błyskawiczne akcje udają się tylko dziewczynom - powiedział z uśmiechem, nawiązując do policzka, który mu wymierzyłam.

- A chłopcy? - spytałam. - Przecież zwykle tłuką się przy każdej okazji. Dlaczego tutaj zachowują się spokojnie?

- Bo inaczej mają zakaz wstępu do tego lokalu.

- Poważnie?

- Poważnie. Nikt nie chce tego ryzykować. Tu jest za dużo fajnych panienek. Jak naprawdę trzeba się łać, to się wychodzi na chwilę na zewnątrz.

- Dobrze wiedzieć. - Sączyłam moją "Krwawą Mary", która smakowała okropnie i na mój gust miała o wiele za dużo alkoholu.

Mark poślinioną chusteczką higieniczną wycierał sobie resztki krwi z ręki. Wyrzucił brudną chusteczkę do popielniczki i wstał.

- Zatańczymy? - zapytał.

- Jeszcze nie umiem - powiedziałam. - Dopiero po feriach jesiennych zaczynamy kurs tańca.

- Nie potrzebujesz żadnego kursu, żeby zatańczyć na dyskotecę. - Mark się roześmiał. - Chodź, rozejrzemy się na dole.

Wstaliśmy i podeszliśmy do balustrady, żeby popatrzeć na duży parkiet na niższym piętrze. Didżej grał hity z listy przebojów. Leciąco właśnie *Born to make you happy*.

Zerkałam na Marka z boku. A może to on był anonimowym rozmówcą? Ale nawet jeśli tutaj nie udawał tak bardzo macho jak w swojej grupie, temu, co mówił i robił, brakowało odrobiny romantyczności. Był po prostu bezwzględnie rzeczowy. Westchnęłam głęboko, kiedy to do mnie dotarło.

Spoglądał na mnie pytająco.

- Coś nie tak?

Pokręciłam głową.

- Z rudymi włosami bardziej mi się podobałaś.

- Ach, ten kolor schodzi po jednym myciu - powiedziałam. - To był tylko taki rodzaj charakteryzacji, żeby było mi łatwiej tu wejść.

- Podziałało - odparł. - W tym wypadku cel uświęca środki.

To mi przypomniało właściwy powód mojej obecności tutaj.

- Wielkie dzięki za pomoc podczas testu z matmy. Dobrze zrobił mojej ocenie. Ale nie będziemy mogli tego powtórzyć, bo Karzełek wściekł się do białości!

- Domyślał się, że coś tu śmierdzi, ale nie mógł nam niczego udowodnić. Miał taką minę, że można było paść! - Mark ciągle jeszcze cieszył się naszą udaną akcją.

Wspominając reakcję Karzelka, oboje zaczęliśmy chichotać.

Ten moment rozluźnienia Mark wykorzystał do tego, żeby mnie złaać za ramię i zaciągnąć na dół na parkiet. Jeśli jakaś dziewczyna trafiła w jego ręce, nie musiała umieć tańczyć. Rzucił się mnie dokładnie tak jak na szkolnej imprezie.

- Jesteś naprawdę odlotową panienką - wrzasnął mi do ucha.

I zanim mogłam jakkolwiek zareagować, przywarł swoimi gorącymi wargami do moich ust. Byłam tak zdezorientowana, że nie stawiałam żadnego oporu i pozwoliłam na to. Dopiero kiedy jego język wsunął się między moje wargi i wślizgnął się już pod zęby, obudziłam się z odrętwienia i... ugryzłam go!!!

Jego na wpół stłumiony, zwierzęcy krzyk potwornie mnie przeraził.

Oczywiście od razu rozluźniłam szczękę i wydukałam jakieś przeprosiny. O Boże, co też we mnie wstąpiło!

- Czy sprawiłam ci ból? - spytałam ze szczerym współczuciem.

Nie był rozbawiony.

- Zawriowałaś? - wydobył z siebie. - Zawsze ię tak zbrodniczo całujesz?

- Eee, nie... - dukałam - eee... to znaczy... jak mnie ktoś napada...

- Teraz muszę sobie schłodzić język piewem - powiedział, odwrócił się i zostawił mnie samą na środku parkietu. No nie, ale obciach. Najszybciej jak umiałam uciałam od gapiącuch się na mnie oczu w tłum na skraju parkietu.

Tam odebrały mnie Mila i Kati. Nie całkiem załapały, co się stało, dlatego musiałam im wszystko dokładnie opowiedzieć.

- No i? - spytała Mila żadna sensacyjnych szczegółów. - Odgryzłaś mu czubek języka? Jak smakuje?

- Jesteś wstrętna! - powiedziałam z obrzydzeniem. - Nawet nie krwawił. To najwyżej tylko drobne zmiżdżenie albo po prostu szok sprawił, że się zakleszczył!

Kati parsknęła śmiechem.

- Właściwie powinnyśmy to uczcić kieliszkiem szmapana - powiedziała.

- Dlaczego? - chałam się dowiedzieć.

- W końcu to twój pierwszy pocałunek z języczkiem!

W krótkce pojechałyśmy do domu, bo nie chciałyśmy trafić na kontrolę o północy.

Mama czychała na mnie w salonie. Była dosyć wściekła. Po pierwsze dlatego, że było jak na mnie za późno, po drugie, bo była zszokowana moim widokiem.

- Skąd ty właściwie wracasz? - wkurzała się. - Wiesz, która jest godzina?

Jasne, że wiedziałam, ale lepiej było nie mówić "tak", żeby całkiem nie wyszła z siebie. Wolałam milczeć i świadoma swojej winy spuściłam głowę. Ale to też jej nie wystarczyło.

- Dostanę jakąś odpowiedź?

- Hm, no tak, co takiego chciałabyś usłyszeć?

- Nie bądź beczelna - rozłościła się. - Gdzie byłaś tak wystrojona?

- U Martina.

Efekt zaskoczenia został osiągnięty. Wpartywała się we mnie zdezorientowana.

- Jak to, u Martina?

- Tak, nie wiesz, gdzie on jest? - udawałam zdziwioną. - Mnie to szpiegujesz, jak gdzieś dłużej zostanę, ale jastci jak widać obojętne, że twój ukochany syn do nocy siedzi w "Harlekinie" z metalami!

Mamę zatkało, ale po chwili doszła do siebie.

- To zupełnie co innego. Martin ma szesnaście lat! Nie masz nic do szukania w dyskotecce! A jak cię przemycił do środka, to z nim też jeszcze zamienię słówko!

Och, ty parszywy losie! Teraz zamiast odciążyć siebie, wciągnęłam w to jeszcze Martina! Nie pozostawało mi nic innego, jak wyznać mamie prawdę o całej akcji. Wprawdzie czsem jakiś szczegół wywoływał na jej twarzy mimowolny uśmieszek i tym razem jeszcze obyło się bez kary, ale generalnie jej wyrok był druzgocący.

- Nie chcę, żebyś jeszcze raz trafiła do takiego lokalu między takich ludzi. A już w ogóle, jak następnego dnia idziesz do szkoły!

Znowu uznałam, że to niesprawiedliwe.

- Ach tak, w wypadku Martina szkoła nie gra żadnej roli! - zawołałam wściekła i sapiąc ze złości, poszłam pod prysznic.

Włosy myłam nie raz, ale z dziesięć razy. W każdym razie zużyłam wszystkie szmpony, które były w domu. Z takim erektem, że moje włosy nadal były czarne.

Cholera, pomyślałam. Nie mogę przecież pójść tak do szkoły!

Przemęczonymi oczami, pod którymi wodoodporny tusz namalował gustowne kręgi, patrzyłam do lustra. Alkohol z "Krwawej Maryśki" tętnił mi w głowie. Byłam kompletnie wykończona.

- Poddaję się - szepnęłam niemal bezgłośnie. - Wszystko mi jedno, co jutro powiedzą w szkole, teraz idę spać!

Ale zanim zasnąłam, złapałam jeszcze raz za komórkę i zadzwoniłam do Mili.

- A posmaruj ty mi włosy jeszcze raz jakąś farbą - objechałam ją i zwałam na nią odpowiedzialność za mój oplakany stan.

Przepraszała mnie zaspana i nie była w stanie tego wytłumaczyć.

- Mogę ci jutro położyć czerwoną farbę... - zaproponowała.

- Tylko nie to - wrzasnęłam - nie pozwolę ci już więcej dotknąć moich włosów!

Ledwo rozszłoszczona zakończyłam rozmowę, komórka pokazała, że przyszła wiadomość. I to jaka! Speszona gapiłam się na wyświetlacz.

HANNO, DZIEWCZYNO KATA,
CHODZ, DAJ MI W CZASZKE BUZIAKA!

WPRAWDZIE MOJE USTA

SA CZARNA CZELUSCIA -

TY JEDNAK PROMIENIEJESZ DOBREM I SZLACHETNOSCIA!

CZY ZAWSZE JESTES TAKA ZGRYZLIWA, MYSZKO Z KRYPTY?

Przełknęłam z trudem ślinę. Odbiło mu? A przede wszystkim, skąd ON to wszystko wiedział? Nikt oprócz moich przyjaciółek, Marka i mnie nie mógł wiedzieć, co się wydarzyło na parkiecie.

Kiedy przemęczona i zmieszana wsunęłam się do łóżka, stwierdziłam, że istniało tylko jedno wyjaśnienie, nawet jeśli mi to nie pasowało: moim anonimowym rozmówcą był Mark!

ROZDZIAŁ SZÓSTY - NOCNY BIEG

Kiedy następnego ranka spojrzałam do lustra w łazience, najpierw się wystraszyłam. Chociaż nie miałam jeszcze okularów na nosie i dlatego moja twarz wyglądała trzęsliwie nieostro, widok wcale nie był budujący. Czy mam iść na wagary?

Żaden człowiek nie mógł ode mnie wymagać, żebym w tym stanie poszła do szkoły i wystawiła się na pośmiewisko chłopaków z klasy. A do tego jeszcze Mark. Postanowiłam wrócić do ciepłego łóżka.

Ale jak zwykle się przeliczyłam, nie biorąc pod uwagę mamy. Ledwo przykryłam się po czubek nosa ciepłąką pierzynką, wparowała do mojego pokoju.

- Co z tobą? Myślałam, że już dawno wstałaś. Czy nie słyszałam cię właśnie przed chwilą w łazience?

- Mhm, tak... ale... nie czuję się dobrze.

- Mogę to sobie wyobrazić - powiedziała bez serca. - Ale nie można gdzieś się szlajać wieczorem, a potem rano nie pójść do szkoły. Nawet z tym nie zaczynajmy!

Nagle podniosłam się na łóżku.

- Co to znaczy "szlajać się"? Ja się nie szlajam. Poza tym byłam w domu wcześniej niż Martin!

- Martin ma szesnaście lat, a poza tym dawno siedzi przy śniadaniu. Też tam na ciebie

czekam za pięć minut! - Powiedziawszy te słowa, wyszła z pokoju. Co teraz?

W gruncie rzeczy moja mama łatwo daje sobą manipulować, potrafi mnie wysłuchać, jak mam jakieś problemy. Z drugiej strony ma te swoje uciążliwe zasady, które nie zawsze są na topie: zabawa tak, ale obowiązki nie mogą na tym ucierpieć. Wolność tak, ale nie wtedy, kiedy za bardzo się z niej korzystało. Pocieszenie i otucha zawsze, kiedy była taka potrzeba. Spaprane włosy, pierwszy pocałunek z jęczyczkiem i beznadziejny wygląd to nie była dla niej kategoria poważnych problemów. Sama miałam sobie z tym wszystkich poradzić. Wzdychając, złapałam komórkę.

Chodź tu, piękny aparaciku, pomyślałam, zobaczymy, co słyhać u Kati.

- Cześć, stary ślimaku - powiedziałam, słysząc jej głos.

Ale nie, jaka wtopa, to wcale nie była ona, tylko jej mama, znana w mieście czarownica.

- Kati jest w łazience. Czy to pile? - spytała. I to jak. Ale poprosiłam, żeby Kati szybko zadzwoniła do mnie, jak tylko wyjdzie z łazienki.

- To może prtrwać - powiedziała jej mama, co pozwalało mi przypuszczać najgorsze.

Kiedy później Kati zadzwoniła, miała zapłakany głos.

- Co się dzieje?

- Wyglądam jak ścierka - szlochała. Ta durna farba od Mili wcale nie schodzi z włosów. Jakie tan jedno mycie! Wyglądam jak zafarbowany tybetański terier!

- A ja jak Hans-Hermann.

- Nie mgę przecież tak iść do szkoły! - miauczała.

- Też jestem tego zdania, ale moja mama niestety ma na tę sprawę inny pogląd.

- Moja też!

- Jak one mogą być takie okropne!

Niestety to uzalenie się nic nie pomogło i w tym wypadku ból, który dzieliłyśmy nie był powłowiczny, lecz się podwoił.

- Nic nam to nie da - powiedziałam na zakończenie, bo mama już pukała do mych drzwi. - Musimy przez to przejść.

A kiedy skończyłam rozmowę, przyżekłam sobie, że nigdy w życiu nigdzie się nie pokażę wystylizowana na trupa. Nawet na balu karnawałowym.

Wskoczyłam w ciuchy i poszłam do kuchni na łyk herbaty. Tam cała moja rodzina siedziała już, zajadając jajka na śniadanie, i oczywiście od razu zaczęło się gadanie.

- Ale czad - powiedziała Motte.

- Trochę jesteś blada w tym kolorze - stwierdził tato.

- Byłaś u metali? - zapytał Martin.

Wetknęłam sobie tost do ust i żucie miało zastąpić moją odpowiedź. Szybko popiłam go jeszcze łykiem herbaty i zniknęłam, zanim dalsze cyniczne docinki mojego brata mogły dać mi przedsmak tego, co oczekiwało mnie w szkole.

Oczywiście trzeba się było przygotować na najgorsze. Ale po tym, jak spadły na nas pierwsze głupie i hamskie uwagi, próbowałyśmy traktować to na luzie. W końcu naprawdę byłyśmy w "Harlekinie" i ten triumf święciłyśmy teraz bez zachamowań.

Wkrótce już nikt się nie interesował naszym wyglądem, a tylko naszymi opowiadaniem o *Bizarre Monday* w "Harlekinie". I prawie wszyscy podziwiali beczelność, z jaką udało nam się tam przeszumgłować.

Kiedy zadzwonił dzwonek na pierwszą lekcję, wzięłam Kati i Milę na stronę.

Kati zawiązała sobie na głowie indyjską chustkę w taki sposób, że nie było widać jej włosów.

To było całkiem sprytne wyjście. Ale nie dla mnie. W chustce na głowie wyglądałam jak sprzątaczką.

- Słuchajcie - powiedziałam, kiedy szłyśmy po schodach do klasy. - Myślę, że wiem kto do mnie dzwoni.

- Taaak? Kto? - spytały jednocześnie.

- ON wczoraj wieczorem jeszcze raz zadzwonił i zapytał, czy zawsze tak ostro całuję. I dla tego myślę, że to może być tylko Mark.

Mila się roześmiała.

- No a nie mówiłam tego od początku?

Ale Kati miała wątpliwości:

- Ja bym nie przywiązywała wagi do twoich słów. Powiedziałaś też, że ta farba schodzi po jednym myciu!

Trochę nieprzyjemne były reakcje nauczycieli. Szczególnie Karzełek cieszył się, że może nas zniszczyć. Najpierw robił Kati głupie uwagi na temat chustki na głowie.

Była jeszcze w takim szoku, że nie mogła mu odparować jak trzeba.

- Eee... to jest... eee... ja... mam problemy z uszami! - jękając się, usprawiedliwiała swój niezwykle wygład.

- Znam cię. Te problemy są prawdopodobnie chroniczne - odparł cynicznie.

Mnie miał i tak na oku od testu i dlatego dostało mi się na całego. To zadziwiające, że nauczyciele mogą sobie pozwalać na coś takiego.

Mark uśmiechał się przy tym dwuznacznie. Wystawiał czubek języka między wargi. Jak głowę małego ruchliwego węża wysuwał w tę i z powrotem. No, przynajmniej miał go jeszcze na swoim miejscu. Niw wybaczyłabym sobie, gdybym z tego faceta zrobiła kalekę.

Zachichotałam w duchu, myśląc o wczorajszej scenie.

Komórka pokazywała, że przyszła wiadomość.

CZARODZIEJKO SERCA MEGO

DZIS CI ZYCZE HUMORU DOBREGO,

NIECH W GROBU SKRYPCIE SKONA POTEPIONY.

NIGDY JU ZNIE WOLNO MU CIE CALOWAC!

Gapiałam się na wyświetlacz, a potem na Marka. Byłam wstrząśnięta.

Jeszcze przed chwilą byłam święcie przekonana, że zdemaskowałam Marka jako mojego tajemniczego wielbiciela, a teraz coś takiego! To się jkóś nie trzymało kupy!

SMS i Karzełek też nie.

- Hanno, jeśli jeszcze raz cię przyłapię na lekcji z komórką, przed każdą lekcją będziesz mi ją oddawała. Jasne?

Przestraszona włożyłam telefon ze słodką wiadomością do plecaka. Nikt mi cię nie zabierze, pomyślałam sobie. A już na pewno nie Karzełek!

Kiedy wystawiłam głowę spod ławki, patrzyłam prosto w oczy Mili.

- Co się dzieje? - spytała cicho.

- To nie jest Mark - odpowiedziałam szeptem. I to było bardzo pocieszające.

Na przerwie pokazałam przyjaciółkom SMS-a i przyznały mi rację. Mark absolutnie nie mógł być anonimowym rozmówcą.

- Ale głupio wyszło - powiedziała Mila. - przedtem byłam jeszcze całkiem penwa.

- Ja też - przyznałam.

- To jendak znaczy, że ten facet też był w "Harlekinie", i to przez cały czas gdzieś blisko nas, inaczej by o tym wszystkim nie wiedział - wywnioskowała Kati.

- Sama mu powiedziałam przez komórkę, że tam idziemy - zauważyłam.

- Miom zdaniem to i tak niesamowite - powiedziała Kati, skubiąc swoją chustkę. - Sama świadomość, że ktoś, kto cię nie zna, chodzi za tobą krok w krok i oberwuje cię z ukrycia. - Przeszły ją ciarki.

- No, już tak nie dramatyzuj - powiedziałam opryskliwie. Ale ta myśl wcale nie była miła. Wyobraziłam sobie, że ON stał najprawdopodobniej w zadymionym ogrodzie zimowym między metalami i może tuż za mną, kiedy Mark mnie pocałował. To było więcej niż nieprzyjemne.

- To paskudne - powiedziała Mila - tak cię szpiegować i nie dawać się poznać.

- Czy nie mógłby to być jednak Tobias? - Kati wróciła do swojej teorii.

- Bzsura - Mila od razu ją skasowała. - Z jego buźką w życiu go nie wpuszczą do "Harlekina". Musiałyśmy przyznać jej rację.

A więc Tobias również został wyeliminowany i musiałyśmy rozpocząć nasze dochodzenie od początku.

- Czy przychodzi ci do głowy jeszcze ktoś, kto mógłby się tobą interesować? - obie bezlitośnie wierceły mi dziurę w brzuchu.

Pokręciłam przecząco głową.

- Mogłybyśmy wziąć pod uwagę starsze roczniki - zaproponowała Mila. - Jak widać, twój facet bez problemu wszedł do "Harlekina". To znaczy, że ma conajmniej szesnaście lat albo na tyle wygląda.

Ja też tak zakładałam, bo chłopcy byli szczególnie dokładnie kontrolowani.

- Może to ktoś, kto zna cię z kółka sportowego albo z chóru.

Z chóru - to mi się podobało - bo od razu moim oczom ukazał się ciemnooki wiolonczelista. A może bym go kiedyś tak zaczepiła?

Musiałyśmy przerwać rozmowę, bo zaraz zaczynały się lekcje. Ale umówiłyśmy się na popołudnie u mnie. Żeby dalej roztrząsać ten problem.

Kiedy jechałam do domu, w autobusie stał znowu ten facet, który od tygodni codziennie się do mnie uśmiechał. Dzisiaj jego uśmiech wyglądał na trochę wymuszony. Jasne, mój wygląd musiał mu się wydać trochę dziwaczny. Dzielnie odpowiedziałam uśmiechem.

Potem zobaczyłam, jak wyciąga z kieszeni komórkę. Wybierając numer, odwrócił się do mnie plecami. Chwilę później zadzwonił mój telefon. Ten zbieg okoliczności uświadomiłam sobie nagle i ręce zaczęły mi drżeć: to musiał być ON. Już wcześniej to podejrzewałam, dlatego zniknęła mi karta autobusowa i tak dalej. Dlaczego już dawno na to nie wpadłam? W końcu widzieliśmy się prawie każdego dnia, a co mogłoby być bardziej prawdopodobne niż fakt, że gość na śmierć się we mnie zakochał podczas wspólnych przejazdów autobusem? Czyżby teraz nadszedł moment ujawnienia się?

Szybko wyłowiłam telefon z kieszeni.

- Tak? - szepnęłam wyczekując do słuchawki.

- Mama mówi, że masz kupić pół kilo mielonego!

- Cooo?

- Masz kupić mielone - powtórzyła moja młodsza siostra. - Mama chce zrobić spaghetti.

Zrezygnowana gapiłam się na tego typu w autobusie. Znowu się odwrócił, schował komórkę i uśmiechał się do mnie. Z kim rozmawiał przez telefon? Na pewno nie ze mną.

Ale to nie musiało nic znaczyć. W każdym razie był posiadaczem komórki. I ten fakt sprawiał, że znalazł się w kręgu podejrzanych.

- Hanno? Słyszysz mnie? - spytała Motte niecierpliwie.

- Tak, tak, kupię - powiedziałam.

Włożyłam komórkę do kurtki i znowu spoglądałam w kierunku tego fajnego faceta. Niezły jest, pomyślałam i stwierdziłam, że jest całkiem odjazdowy. W każdym razie o niebo lepszy niż ci goźniarze z mojej klasy. Musiałam się o nim dowiedzieć czegoś więcej.

Moje przyjaciółki też tak uważały.

- A potem - opowiadałam - połowa zawartości mojej troby wysypała mu się pod nogi i moja karta autobusowa też. W każdym razie od tamtej chwili jej nie mam. Na pewno on ją zabrał.

- Tak mogłoby być - stwierdziła Mila. - W ten sposób za jednym zamachem uzyskał na twój temat wszystkie informacje, jakich potrzebował.

Też byłam tego zdania.

Znowu ogranała nas gorączka polowania. Tym razem zadanie było o wiele trudniejsze.

Siedziałyśmy u mamy w księgarni, piłyśmy herbatę i przeglądałyśmy magazyn mody, rozmawiając ze sobą. W tym czasie był niewielki tuch, a nielicznych klientów, których przywiał do środka, mama chętnie na chwilę mi powierzała.

Dolałam herbaty.

- Musimy go śledzić.

- Tak - powiedziałam - ale on mnie zna. Od razu zauważy, że za nim łączę.

- No to musisz się trochę zamaskować!

- Nie! Tylko nie to! Mnie już nie dotkniesz!

- A co byś powiedziała na perukę blond z długimi włosami? W niej nikt cię nie rozpozna. - Mila rozwijała swój pomysł.

- Gdzie on rano wysiada? - spytała Kati.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie mam pojęcia. Muszę zawsze wysiąść koło szkoły, a on jedzie dalej.

- No to raz musisz jechać tak długo, aż wysiądzie. A potem będziesz go śledzić i zobaczysz, dokąd idzie.

Mila była urodzoną tajną agentką. Ta dziewczyna przerażała mnie swoim spontanicznym zapalem. Ona naprawdę nie przepuszczała żadnej okazji.

- Na ile lat go oceniasz? - Kati chrupała ciasteczka i wpatrywała się we mnie wyczekująco.

- Jest mniej więcej w wieku mojego brata Martina. Piętnaście, szesnaście, siedemnaście lat... jakoś coś koło tego.

- No proszę, to już coś. Na pewno bez problemów wchodzi do "Harlekina".

- Myślisz, że chodzi jeszcze do szkoły?

- W tym wieku mógłby się już uczyć zawodu - dorzuciła Mila.

- Nie wiem, ma zawsze ze sobą torbę szkolną i sprawia wrażenie ucznia.

- No tak, ale te idiotyczne wiersze, które ci przesyła, świadczyłyby o tym, że jest uczniem szkoły średniej. Co najmniej chodzi na fakultet z niemieckiego. Czy wygląda też tak romantycznie?

Nie podobało mi się, że Mila określiła jego wiersze jako idiotyczne. Mnie się podobały, uważałam, że są słodkie i dowcipne, a czasami nawet intelektualne!

Wcale nie byłam pewna, że chcę go śledzić i odkryć jego tożsamość. Czasami tajemnica jest o wiele piękniejsza niż jej ujawnienie. W końcu nie wiedziałam, co miałabym począć z nieznanym, kiedy bym już wiedziała, że to on. Osobiste spotkanie wyobrażałam sobie niesamowicie niezręcznie. Tyle się ze sobą nagadać i nigdy się nie zobaczyć, a potem, ewentualnie stojąc naprzeciwko siebie, przeżyć okropne rozczarowanie! Może powinnam pozostać przy tym, co jest. Przez te rozmyślenia nie spieszyło mi się za bardzo, żeby udać się

jego śladem.

- W sobotę jest nocny bieg - zmieniałm nagle temat. - Mila, nie mogłabyś po biegu przyjść do mnie, zostać na niedzielę, a w poniedziałek pojechać ze mną do szkoły autobusem? Najpierw go sobie obejrzysz, a potem możemy go razem śledzić. Dwie dziewczyny nie rzucają się tak w oczy jak jedna.

Nawet jeśli Mila najchętniej od razu rozpoczęłaby akcję, przystała na moją propozycję. Wiedziała, że bardzo mi zależało na nocnym biegu i dlatego następnego dnia chciałam się jeszcze skoncentrować na treningu

Sprinter nadal nie podał ostatecznego składu drużyny i to mnie bardzo denerwowało. Wkońcu nie trenowałam z żelazną dyscypliną przez ostatnie dwa miesiące po to, żeby potem nie zostać wcale wystawiona do biegu.

- Jak mnie nie weźmie do szkolnej drużyny, to zgłoszę się indywidualnie - powiedziałam.

- Bzdura. Jutro robi ostatni sprawdzian, wtedy będzie musiał powiedzieć, kogo zgłasza. W środę jest ostatni dzień zgłoszeń - Kati próbowała mnie uspokoić. Ona sama nie była zbyt utalentowaną biegaczką.

- Jestem za tłusta - jęczała za każdym razem, kiedy przebierałyśmy się w sali gimnastycznej. - Mój biust jest za ciężki. Jak biegnę, jakoś stoi mi na drodze. Dlatego zawsze biegnę z tyłu za wszystkimi.

- Nic sobie z tego nie rób - powiedziałam na pocieszenie. - Dzięki temu, że masz taki biust, kiedyś wszyscy będą biegać za *tobą*!

Sprinter na początku miesiąca stworzył nową drużynę. Teraz byli to już tylko uczniowie z ósmej i dziewiątej klasy, którzy w grudniu mieli wziąć udział w konkursie narciarskim - ja też, po tym, jak wyszarpałam od rodziców zgodę!

- Najpierw zrobimy ogólny trening kondycyjny i przygotujemy się do nocnego biegu w dwóch grupach - obwieścił Sprinter. - Potem wszyscy razem zaczniemy specjalną gimnastykę narciarską.

Od tygodni gonił nas już na każdej lekcji i przy każdej pogodzie do jeziora i z powrotem i prawie zawsze kilka osób zostawało gdzieś po drodze. Dzisiaj chciał ostatecznie ogłosić skład drużyny do biegu nocnego. I dlatego zwołał wspólny trening fakultetu wuefu z ósmych i dziewiątych klas.

Stękając, wyrobiliśmy normę. Czasami miałam wrażenie, że Sprinter mnie szczególnie nie cierpi i dlatego mam takie marne szanse. Mila próbowała rozwiać moje wątpliwości.

- Jak jesteś dobra - powiedziała, mocno dysząc - to musi cię wziąć. Chodzi o dobre imię szkoły, a nie osobiste sympatie i antypatie.

- Oczywiście ludzie z dziewiątej klasy są dużo lepsi. Pewnie tylko ich weźmie.

Właśnie jakiś chłopak przemknął obok mnie. Hola! Jeśli nie mylił mnie wzrok, to był mój ciemnooki wiolonczelista! Ten słodki facet z imprezy! To niesamowite, że jest na tym samym fakultecie!

Jasne, że od razu przyspieszyłam tempo i usiłowałam się go trzymać.

- Hej, co się z tobą dzieje? - sapła obok Mila. Na chwilę zwolniłam i pokazałam ukradkiem na tego faceta, który biegł przed nami.

Od razu zrozumiała.

- Nie odstępuj go na kark! - dyszała Mila. - No dalej, nie musisz się na mnie oglądać. I tak nie wytrzymam takiego tempa.

Spojrzałam jeszcze raz na Milę pytająco. Czy mogłam pozwolić, żeby dalej biegła sama?

- Dalej, mną się nie matrw. Wyrobię powoli swoją normę. Jak padnę, to zgarną mnie Kati i tyły. Spadaj!

Dała mi klapsa i popędziłam. Facet już zniknął w przejściu podziemnym. Musiałam koniecznie przyspieszyć. Ale on miał tępo. Nie byłam pewna, czy go dogonię.

Ale potem zobaczyłam go na końcu tunelu. Miedzy nami było z dziesięć metrów. Koniecznie chciałam go dogonić i to dodało mi skrzydeł. Ledwo czułam ziemię pod nogami. W końcu dogoniłam go, ciężko dysząc.

Lekko odwrócił głowę, kiedy się z nim zrównałam i uśmiechnął się do mnie.

- Chcę się koniecznie dostać do drużyny - sapałam. - Ty też?

- Właściwie jest mi to obojętne - powiedział i wcale nie sprawiał wrażenia tak zmęczonego jak ja.

- Ale ty jesteś szybki - ziajałam i usiłowałam dotrzymać mu kroku.

- Ty też - powiedział. Milcząc bieглиśmy przez chwilę obok siebie.

Czasem mało brakowało, żebym padła. Wydawał się to zauważać i dopasowywać swoje tempo do mojego. W ten sposób ciągnął mnie za sobą i kiedy, wracając, bieглиśmy przez park, dogoniliśmy czołówkę.

W przebieralni w sali gimnastycznej rzuciłam się, dysząc, na ławeczkę i czekałam na zapaść. Miałam strasznie czerwoną głowę. Jeszcze nigdy w życiu tak nie pędziłam i do tego obok takiego słodkiego faceta. Nie ma się co dziwić, że krew uderzyła mi do głowy.

Dopóki środek maratonu i tyły jeszcze nie dotarły, poszłam pod prysznic.

Oprócz mnie w przebieralni siedziały jeszcze tylko dziewczyny z dziewiątej klasy. Sophie i Jenny znałam z chóru. Rozmawiały o biegu nocnym, w którym brały już udział indywidualnie w zeszłym roku.

- Świetna atmosfera. Powinni częściej organizować takie imprezy. Po biegu w całym centrum była zabawa.

Kiedy suszyłam sobie włosy, przypelzły Mila i Kati z wykończonymi resztkami naszego fakultetu.

- O kurczę - jęczała Kati - poszłaś jak rakietka.

Mila chichotała.

- Nie wiedziałam, że tak lecisz na tego faceta! Nie chcesz chyba zdradzić swojej komórkowej miłości?

Zachichotałam.

- Tego nie mogę obiecać. Miedzy niebem a ziemią jest dużo więcej facetów, niż mogłoby się nam wydawać.

- Ojej! - rzuciła krytycznie Kati. - Czyżby naszą Hannę dopadło? Czy mam się o nim dowiedzieć czegoś więcej?

- Nie! - musiałam się hamować, żeby nie zacząć krzyczeć. - Zabierzcie raz na zawsze łapy od moich spraw! Sama sobie załatwię potrzebe informacji!

A z resztą wszystko w swoim czasie! Chociaż moim zdaniem był taki słodki, musiałam najpierw wyjaśnić sprawę nocnego biegu.

- Dzięki, że nadałeś mi tępo - mruknęłam do niego. - Jeszcze nigdy w życiu tak szybko nie biegłam.

Nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się melanholicznie.

Sprinter odczytywał nazwiska ludzi, których chciał zgłosić do szkolnych drużyn. Musiało to być zawsze pięciu zawodników i dwóch rezerwowych. Wymienił już cztery nazwiska do

żeńskej drużyny, wszystkie z dziewiątej klasy. Sophie i Jenny też się dostały. Nie muszę już sobie robić nadziei. Może przynajmniej załapię się jako rezerwowa.

Nagle usłyszałam, jak Mila i Kati szaleją z radości.

- Super! Udało ci się! - wołały tak głośno i z takim zachwytem, że zrozumiałam tylko częściowo to, co mówił Sprinter o mnie i niezwykłym wzroście formy.

Chciałam rzucić wionocze wdzięczne spojrzenie, ale już go nie było.

Totalnie happy poczłapałam z moimi przyjaciółkami z powrotem do sali gimnastycznej. Kiedy pakowałam torbę, zgłosiła się komórka. Przyszedł SMS.

MOJE GRATULACJE, SZYBKA GAZELO, ZOBACZYMY SIE PODCZAS BIEGU NOCNEGO! LOVE U!

Powoli zaczął budzić we mnie grozę.

- Skąd ON to znowu może wiedzieć? - spytałam Milę.

- Może to nie jest wiadomość od niego, tylko od kogoś innego? - spekulowała Kati.

- No jasne - powiedziałam - kto miałby mi wysyłać wiadomość? Może Sprinter?

Mila zachichotała.

- To by było zupełnie coś innego!

Tego wieczoru, kiedy miał odbyć się bieg, spotkaliśmy się w mieście. Obwodnica miejska była zamknięta dla ruchu. Tutaj miały się rozgrywać zawody na trzy, sześć i dwanaście kilometrów. Dom towarowy ufundował puchary, a gazeta zaopatrzyła biegaczy w bezpłatne napoje. Wszędzie stały budki z kiełbaskami, a na rynku kręciła się nawet karuzela dla dzieci. Panował prawdziwy nastrój święta ludowego.

Jako przygotowanie do tego wydarzenia o ósmej burmistrz uroczyście ogłosił start biegu dla wszystkich chętnych. Potem rozpoczęły się biegi na sześć kilometrów, do których zgłosiło się wiele szkół z naszego miasta. W nocy biegli zawodowcy na długich dystansach. Na stracie byli nawet znani maratończycy.

Niesamowite tłumy stały na skraju jezdni, ludzie przyglądali się i bili brawo, kiedy zawodnicy przebiegali obok.

Moja rodzina usadowiła się na miejskim deptaku w kawiarni, obok której mieliśmy biec. Motte była przynajmniej tak bardzo podenerwowana jak ja. Tylko Marin znowu grał luzaka. Chciał w ten sposób ukryć, że bieganie go nie interesowało. Wolał się przesiadać z fotela przed telewizorem na fotel w kinie.

Sprinter ogarnęła gorączka oczekiwań.

- Gdzie jest Branko? - wrzeszczał ciągle w czasie rozgrzewki. - Czy ktoś widział Branka?

Nie miałam pojęcia, kto to jest Branko, więc nie mogłam mu pomóc. Tęskniłam za to za moim słodkim wionocze. Wcale nie zwróciłam uwagi, czy zakwalifikował się do drużyny.

Właśnie podnosiłam się do pionu po jakimś ćwiczeniu rozciągającym i w tym momencie spojrzałam mu prosto w oczy.

Miał na sobie strój do joggingu i robił wrażenie, jakby chciał pobiec.

- No wreszcie, Branko! - powiedział Sprinter z ulgą. - Najwyższy czas!

Gapiłam się na szczupłego chłopaka o ciemnych włosach. To był więc Branko. Branko. Wypowiedziałam po cichu to imię. Brzmiało niezwykle.

- Jak ci się podoba imię Branko? - spytałam Milę, kiedy szłyśmy na start.

- Ma coś w sobie. Brzmi jakoś wschodnio. Węgry, Rumunia, coś takiego.

- No i co?

- Co, co i co? Czy ja miałam coś przeciwko?

Musiałymy przerwać rozmowę, bo teraz wywoływano zawodników na start. Mila przyczepiła mi numer startowy do koszulki. Obok linii startu tłoczyły się niesamowite ilości uczniów i dorosłych. Fotograf z gazety zrobił jedno zdjęcie i sobie poszedł.

Zabrałam się porządnie do roboty i miałam nadzieję, że wybiegam dla naszej szkoły dobre miejsce. Sophie, Jenny i inne dziewczyny z dziewiątej klasy biegly blisko mnie. Oceniana była każda grupa wiekowa, tak że w tym kolorowym tłumie nie można było stwierdzić, na jakiej jest się pozycji.

Kiedy mijałam stolik rodziców, wyskoczyli w górę razem z Motte i bili mi gromkie brawa. To mnie tak zachęciło, że się zerwałam, dodałam gazu i na końcu dotarłam do mety prawie jednocześnie z Sophie. Przebiegaliśmy przez bramkę, gdzie fotokomórka odczytywała nasz numer i mierzony był dokładnie czas. Później na ratuszu miały zostać wywieszane listy, z których wynikało, jak szybko się biegly i które miejsce się zajęło. Zbudowano już podium dla zwycięzców i Motte pozowała dumnie do rodzinnego albumu, stojąc na najwyższym stopniu.

- To oszustwo! - powiedziałam. Skłonność do tego wydawała się w naszej rodzinie zakodowana w genach, a nie zapisana w gwiazdach!

Na listy trzeba było jeszcze czekać, więc z Milą i Kati zrobiliśmy rundę po okolicy. W namiocie na rynku jakiś didżej puszczał hity z listy przebojów. Był straszny tłok i trzeba było przestępować z nogi na nogę. Unosił się zapach potu i dezodorantów. Postaliśmy tam trochę, napiłyśmy się sponsorowanych napojów i rozglądałyśmy się za znajomymi twarzami. Co w tym tłumie było raczej bez sensu.

Nagle ktoś popukał mnie z tyłu w ramię.

- Bajecznie, Hanno! Fantastycznie. Nie spodziewałem się tego po tobie. W twojej grupie wiekowej byłaś trzecia. Nie wiedziałem, że masz dopiero czternaście lat!

Popatrzyłam na Sprintera.

- Naprawdę? - spytałam kompletnie zaskoczona. - To znaczy, że zdobyłam trzecie miejsce?

- No to załapałaś się nawet na podium! - powiedziała zachwycona Kati.

Ale Sprinter nie przekazał jeszcze wszystkich dobrych wieści. Drużyna dziewcząt zajęła również trzecie miejsce, a chłopcy nawet drugie. Branko zwyciężył w swojej grupie wiekowej.

Kiedy później zobaczyłam go stojącego na podium, nagle uświadomiłam sobie, dlaczego to imię wydawało mi się znajome. Kiedys czytałam książkę pod tytułem *Czerowna Zora*. Branko był jednym z bohaterów. Może powinnam ją jeszcze raz przeczytać.

To było wspaniałe uczucie - stanąć na podium, i to dwa razy, i dostać medal. Sprinter wychodził z siebie ze szczęścia i zaprosił nas wszystkich na lody do włoskiej restauracji.

Tam pokazał się z zupełnie innej, ludzkiej strony i nagle zaczęłam się cieszyć na myśl o prowadzonym przez niego kursie narciarskim.

Ale szczególnie cieszyłam się z tego, że Branko też jedzie. Siedział spokojnie między mną a Sophie i dzielił z nami jedną pizzę. Jdzenie pizzy z jego delikatnych dłoni było prawdziwą rozkoszą. Mało brakowało, a ze szczęścia zatańczyłabym na stole. Tylko ta Sophie nie musiała koniecznie też siedzieć koło niego. I nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby obdarzał nas swoim uśmiechem w trochę mniej równej mierze. Moje próby nawiązania z nim rozmowy speszły na niczym, bo przeszkadzał mi w tym poziom hałasu i głośne wypowiedzi Sprintera. Opowiadał właśnie, że Branko był w Rumunii mistrzem młodzików. Teraz było dla mnie jasne, że taki sobie bieg po mieście to był dla niego przecież pryszcz.

Kiedy później wszyscy zaczęli się zbierać, znalazłam jednak okazję, żeby mu powiedzieć, jak bardzo doceniam jego osiągnięcie. Machnął tylko skromnie ręką.

- Po prostu lubię biegać.
- Ja też - powiedziałam i ogarnięta manią wielkości spytałam: - Może pobiegamy kiedyś razem po parku?

Ledwo wypowiedziałam to pytanie, zauważyłam, jak uszy robią mi się gorące. Chyba kompletnie zwariowałam!

Ale on miło się do mnie uśmiechnął i powiedział:

- Dlaczego nie? - Potem zniknął z hałaśliwymi kumplami z dziewiątej klasy.

Patrzyłam za nim jak zaczarowana. Czy mówił poważnie?

Kiedy wyciągnęłam komórkę, żeby poprosić tatę o odwiezienie do domu, zobaczyłam, że znowu dostałam wiadomość. Szybko zniknęłam w toalecie. Wykorzystując intymność tego miejsca, przeczytałam, co ON miał mi do zakomunikowania. Czy widział mnie, kiedy rozpromieniona stałam na podium przed ratuszem? Widział.

Kiedy wyszłam przed knajpę, tato, mój osobisty kierowca już czekał. To miło z jego strony, że po odwiezieniu całej rodziny jeszcze raz dla mnie się pofatygował. Pod tym względem tata był skarbem.

Potem wśliznęłam się do swojego pokoju, w którym Mila spała już na łóżku dla gości. Kiedy zapaliłam nocną lampkę, obudziła się i spojrzała na mnie zaspana.

- No i jak tam, udało ci się z brankiem? - szepnęła.

- Ach, nie wiem - westchnęłam. - Myślę, że jest zaprzyjźniony z Spohie.

Mila przewróciła się na drugi bok, mruknęła:

- Szkoda - i spała dalej.

Ja też wsunęłam się szybko do swojego łóżka, położyłam komórkę przy poduszce, zgasłam światło i zamknęłam oczy.

Zobaczyłam przed sobą Branka, krojącego pizzę na małe apetyczne kawałki dla Sophie i dla mnie. Potem jego obraz się rozmył i uśmiechnął się do mnie facet z autobusu. Wyjął komórkę, wybrał mój numer i powiedział:

- Cześć, to ja, twoja gwiazdka! - Potem ściągnął gwiazdkę z nieba i zawiesił mi jak medal na szyi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY - ŚLADY

Było już południe, kiedy obudziłam się w niedzielę. Mila przyniosła mi śniadanie do łóżka i miałam wrażenie, że to jest jeden z najlepszych dni mojego życia. Kiedy zadzwoniła komórka, odebrałam telefon w nastroju radosnego podniecenia.

- Jesteś cudowna - powiedział ON. - Jesteś najlepszą dziewczyną, jaką znam. Mogłabyś mnie pokochać?

No, pytanie.

- Jasne - powiedziałem beztrąsko - jasne, że mogłabym cię pokochać. To znaczy, czysto teoretycznie, właściwie dlaczego nie. Bo teoria, mój przyjacielu, to teoria. A czy między dwójkiem ludzi coś zaiskrzy, to może się okazać tylko w praktyce!

Roześmiał się. Bardzo sympatycznie.

- A jak twoim zdaniem powinna wyglądać ta praktyka? Całowanie w "Harlekinie"?

Musiał mi o tym przypominać! To było niedelikatne. Skoro tak zaczynał to może...

- Tak, może tak! To przynajmniej lepsze niż wirtualny wielbiciel. Kto mi właściwie powie, że naprawdę istnieje?

Milczał przez chwilę. Potem powiedział:

- Twoje serce.

I już go nie było.

- Wrr - zawarczałam. - Czasami mam ochotę GO udusić! Jak myślisz, Milu? Dlaczego ON nie chce się ze mną spotkać?

- Może jest kaleką w kontaktach międzyludzkich?

- Kim?!

- Kimś, kto się boi prawdziwych kontaktów. Kimś, kto potrafi adorować dziewczyny tylko na odległość, ale wpada w panikę, kiedy one naprawdę przed nim staną.

- Jest coś takiego?

- Jasne, ci faceci są naprawdę chorzy.

- Myślisz, że ON nie chce prawdziwego związku? Niw eydaje mi się. Kiedy myślę o tym uśmiechu z autobusu, nie wygląda mi to na strach przed kobietami. Wręcz przeciwnie. On się świadomie uśmiecha jak podrywacz.

- Ale czy to on jest facetem od komórki? - spytała Mla i od razu zapalała żądzą czynu. -No, jutro będziemy deptać mu po piętach i na pewno dowiemy się czegoś więcej.

Urządziłyśmy sobie naprawdę leniwą niedzielę. Poszłyśmy z psem na spacer, buszowałyśmy w książkach mamy i oglądałyśmy telewizję.

Kiedy przymierzałam perukę z salonu fryzjerskiego, w którą miałam się przebrać, nagle zaczęłam wątpić w nasze przedsięwzięcie.

- Milu, dlaczego my to właściwie robimy? Ja już teraz jestem szczęśliwa! Może za dużo żądamy? Może byłoby lepiej utrzymać obecny stan? Przecież to całkiem zabawne.

- Bzdura - ucięła Mla. - Czy chcesz się zadowalać byle czym? Jak każdy inny człowiek masz prawo do własnego szczęścia! Nie mów, że ty też się boisz prawdziwego faceta!

Zawahałam się, ale wyznałam jej moje wątpliwości:

- Po prostu nie umiem sobie wyobrazić, że to właśnie ja mam mieć takie szczęście. Dlaczego w ciebie nie zapatrzył się żaden bajeczny facet? Przecież jesteś o wiele ładniejsza ode mnie! Dlaczego przydarzyło się to mnie, chydejk, rudej dziewczynie w okularach? Po prostu tego nie rozumiem!

W poniedziałek rano z wrażenia nie mogłam niczego przełknąć. Wypiłam tylko trochę herbaty. Mla, uosobienie spokoju, wcinała jeden tost za drugim.

- Pośpiesz się - poganiałam ją - żebyśmy się nie spóźniły na autobus.

Mimo poważnych wątpliwości wcisnęłam sobie na głowę blond perukę z długimi włosami z salonu fryzjerskiego jej mamy i czułam się w niej okropnie.

- Wyglądasz odłotowo - powiedział zachwycona Motte. - Jak Śpiąca Królewna.

Ach, ty kwitnący żywopłocie! Czy mogłam tak pójść między ludzi? W dzisiejszych czasach kobieta z długimi włosami nie powinna wyglądać jak Śpiąca Królewna, tylko jak Goldie Hawn albo Gwyneth Paltrow.

- I tak wyglądasz! - zapewniała mnie Mla. - Twoja siostra nie ma odpowiedniej skali porównawczej.

No tak, w każdym razie nie powiedziała, że wyglądam jak Panna Pigy.

Moje napięcie nerwowe trochę spadło, kiedy zobaczyłam typa z autobusu stojącego na przystanku.

- To on - szepnęłam do Mili. - Wysoki z krótkimi blond włosami.

- O - odparła Mila. - Jest naprawdę przystojny. Super. Ja też bym się mogła w niego zapatrzeć.

- Ani się waż, jest mój. Miej go na oku. Teraz usiądę gdzieś indziej. Nie musi nas widzieć razem.

Usiadłam plecami do przejścia i wyglądałam przez okno. Od czasu do czasu zezwalałam w jego stronę. Wsiadając, rozejrzał się, jakby kogoś szukał. Prawdopodobnie mnie. Teraz usiadł na wolnym miejscu i wyjął komórkę. Coś wystukał. Ukradkiem spojrzałam na swój aparat. Właśnie szedł do mnie SMS. Spoglądałam na zmianę na niego i na swoją komórkę. Czy może to właśnie on wysłał mi wiadomość? Mogłam po prostu do niego podejść i zażądać wyjaśnień. A jeśli to jednak nie był on? O nie, ostatnio wystarczająco często się kompromitowałam. Postanowiłam poczekać na wyniki śledztwa Mili i najpierw przeczytałam wiadomość.

DZIEŃ DOBRY, GAZELO, ZADAM, ZEBYSMY SIE NATYCHMIAST SPOTKALI, INACZEJ NIE BEDE MOGL CIE POCALOWAC! KCNNS!

Kątem oka rzuciłam w stronę typa. Właśnie uśmiechał się pod nosem, spoglądając na swoją komórkę. Chciał mnie nabrać? Brakowało tylko, żeby nagle zerwał się z miejsca, oświadczył mi, że jest tym facetem od komórki i zażądał całusa!

Mila usiadła obok mnie.

- No i co, to ON przysłał ci SMS-a? - spytała cicho.

Podaliśmy jej komórkę.

Zachichotała.

- Chyba muza GO natchnęła?

Westchnęłam i zerkałam ciekawie w kierunku przystojnego faceta o niesamowicie niebieskich oczach. Spakował telefon i wyglądał przez okno. Czy mogłam sobie wyobrazić, że się z nim całuje?

Kiedy autobus zatrzymał się przed naszą szkołą, spojrzałam jeszcze raz na Milę z pytaniem:

- Czy naprawdę mamy przez niego nie pójść do szkoły?

- Jasne!

A więc siedziałyśmy dalej, aż wysiadł. To było przy ulicy Nowej. Dopiero w ostatniej sekundzie podniósł się i momentalnie zniknął w drzwiach, a my ruszyłyśmy pędem za nim, z dramatycznym narażeniem życia, dając susa przez zamykające się drzwi. Mila była już na zewnątrz, kiedy jakaś niewidzialna siła pociągnęła mnie do tyłu. Autobus ruszył i zanim zdążyłam zdać sobie z tego sprawę, zostałam oskalpowana!

- Hanna! - krzyknęła Mila z przerażeniem, a kiedy się odwróciłam, droga peruka blond powiewała przytrzaśnięta drzwiami znikającego w dali autobusu. Ta już nigdy nie zobaczy salonu fryzjerskiego mamy Mili!

- Ona mnie zabije! - krakała Mila, ale ja w to nie uwierzyłam.

Pozbawiona kompletnie zamasakowania rzuciłam się za pierwsze lepsze drzewo w alei.

- Co teraz? - dyszałam, kiedy Mila się zbliżyła.

- No dalej, za nim! Musimy być po prostu trochę ostrożniejsze!

- Co on właściwie tutaj robi? - zdziwiłam się. - Czy gdzieś w pobliżu jest jakaś szkoła?

- Myślę, że tak - powiedziała Mila. - To znaczy, wiem na pewno. Jasne, tam jest jakaś szkoła.

Spójrz, tam prosto, ten duży budynek. - Wskazała na dużą budowlę z betonu i szkła.

Chłopak rzeczywiście szedł w kierunku szkolnego podwórka. Tam się zatrzymał i znowu wyjął komórkę. Byłyśmy dość daleko, bo musiałyśmy zachować większą odległość - byłam przecież bez peruki.

- Podejdę bliżej - powiedziała Mila. - Mnie przecież nie zna!

I już sobie poszła. Słyszałam, jak w kieszeni mojej kurtki komórka grała *Elizę*. Znowu jakiś

niewypał. Czy z zaprogramowanych melodii nie mogła sobie sama wybrać jakiejś innej, bardziej odpowiedniejszej?

Weszłam do jakiejś bramy bloku i odebrałam.

- Tak?

- Tylko ten, co zna miłości smak, wie, jak cierpieć!

- Ach, nieee!

- Czy nie masz zmiłowania nad umęczoną duszą?

- Dlaczego?

- Tu mówi twój Romeo.

- Piłeś coś? - spytałam podejrzliwie. - A może ćpałeś?

Nie brzmiało to tak, jakby wypił angielską herbatę i zjadł na śniadanie jako sadzone.

- Przecież mnie nabierasz? - dodałam, podczas gdy ON milczał.

- Nie nabieram, ale wziąłbym cię najchętniej w ramiona! Zazdroszczę temu facetowi, który po prostu cię omotał i skradł ci całusa!

Wyczuwałam w jego głosie emocje.

- Godne pozazdroszczenia - powiedziałam jednak chłodno. - Zapomniałeś, co mu się przydarzyło? Ugryzłam go!

- Mnie też byś ugryzła?

- Kto wie!

Nagle rozmowa się skończyła. Widziałam, że facet z autobusu pakuje komórkę i idzie do szkoły.

Mila przyleciała bez tchu.

- No i co, ON do ciebie dzwonił? Gadaj. Rozmawiałas z kimś?

- Tak, tak - niecierpliwie ją uspokoiłam - rozmawiałam... ale...

- Żadne ale! To ON. To on jest tajemniczym rozmówcą. Widziałam w jaki sposób z tobą rozmawiał.

- To równie dobrze mógł być ktoś inny - dałam jej do myślenia.

Ale Mila nie chciała słuchać żadnych sprzeciwów.

- Widziałam, jak rozmawiał przez telefon, a do ciebie w tym samym momencie ktoś zadzwonił. A kiedy skończył rozmowę, twoja też się skończyła. To nie może być tylko czysty przypadek!

Brzmiało to całkiem przekonująco. Nie ma co, czas odbioru dokładnie zgadzał się z czasem nadawania. To dopiero niespodzianka!

- Nie widział cię? - sytałam Milę.

Pokręciła głową.

- Nie, nie! Był całkowicie pochłonięty rozmową telefoniczną. Co takiego ci powiedział?

Zdałam relację.

- Romeo! Umęczona dusza! Dziwny sposób podrywania dziewczyny! Moim zdaniem powinnaś się trzymać z daleka od takiego gościa, nawet gdyby wyglądał jak gwiazdor filmowy. Facet świruje!

Leżałam na sofie i zastanawiałam się, czy mogłabym kochać faceta, który wyglądałaby jak gwiazdor filmowy, ale miał nierówno pod sufitem. Co miałabym MU powiedzieć, gdyby mi jeszcze raz zadał to pytanie?

Miałam powiedzieć: "Przestać najpierw ćpać i wróć do rzeczywistości.". A jeśli ON wcale nie ćpał? Może ON był tylko samotną, zagubioną, romantyczną duszą, która szukała pokrewnej

sobie duszy?

Dzwonek komórki znowu wtargnął w moje myśli. Był to świeżo zaprogramowany sygnał rozpoznawczy. *Eliza* już mi się znudziła.

- Tak, proszę?
- Powiedz, że mnie kochasz.
- Cooo?
- Powiedz, że mnie kochasz!
- Ale ja cię przecież wcale nie znam!
- No to mnie poznaj. Spotkaj się ze mną!
- Gdzie?
- Na dzwonnicy.

Czy kompletnie mu już odbiło?

- Zwariowałaś - powiedziała dosyć zmieszana. To przecież było niemożliwe, żebym w tej chwili rozmawiała z chłopakiem, który właśnie proponował mi pierwszą randkę i jako miejsce spotkania wybrał akurat wywołującą zawroty głowy wieżę kościoła. A do tego jeszcze miałam lęk wysokości! Moje poczucie humoru tu się skończyło.

- To nie jest dobry pomysł - powiedziałam.
- Nie? No to wyjdź na balkon, Julio.
- Proszę?
- Wyjdź na balkon, wtedy zobaczysz swojego Romea!

Ach, najdroższa Weronko! Facet miał rację. Z balkonu widać było wieżę kościoła.

Rzuciłam się na balkon. Górna część dzwonnicy wznosiła się ku bezchmurnemu błękitnemu niebu. Ozdobny wierzchołek z chorągiewką na brzuchatej, z wielu stron otwartej kopule pokrytej łupkiem, który był otoczony małym obejściem z misternie wykutą, żelazną balustradą. I dokładnie na tej podobnej do balkonu platformie odbijał się od nieba mroczny cień. Oczywiście na odległość nie mogłam rozpoznać więcej niż to, że był to człowiek. Ale to wystarczyło. Bo cień podniósł rękę i pomachał, pozdrawiając mnie.

Gdybym tylko miała lornetkę, pomyślałam. Rozejrzałam się po pokoju. Często gdzieś tu leżała, bo cała rodzina uwielbiała podczas pełni podziwiać moją działkę na Księżycu. Wujek Ansgar kupił ją w Ameryce od pozaziemskiego handlarza nieruchomościami i podarował mi na czternaste urodziny. Z aktem własności i certyfikatem! Była położona blisko wielkiego krateru, który można było doskoonale podziwiać przez lornetkę.

Ale dzisiaj oczywiście lornetki nie było! Kurczę, pomyślałam sobie i zdenerwowałam się, że straciłam szansę odkrycia tajemnicy mojego anonimowego wielbiciela.

A on znów wdzierał się w moje życie przez komórkę.

- Wysłuchasz mnie więc, czy nie? Bez ciebie, Julio, moje życie nie ma sensu. Powiedz, że mnie kochasz. Przynajmniej troszeczkę. Kropelka miłości dla twego spragnionego Romea.

Kompletnie mu odbiło, pomyślałam z przerażeniem. On jest z kosmosu! Skąd może wiedzieć, że jest we mnie śmiertelnie zakochany, skoro wcale mnie nie zna! A ja! Nie mogłam przecież powiedzieć, że GO kocham, nie wiedząc, kim był. Co ja właściwie dotąd w ogóle o NIM wiedziałam? W każdym razie nic konkretnego! Tylko to, że potrafił nawijać przez telefon takie teksty, jakich nigdy nie słyszałam, i wydawał się całkiem niezwykły. I może jeszcze wyglądał jak gwiazdor filmowy.

To jednak było skrajne żądanie. Czy musiał ode mnie wymagać akurat randki na wieży kościelnej? W życiu tam nie zajdę. Już sama myśl o staniu na szczycie wieży sprawiała, że kolana się pode mną uginały. Czy ON nie mógł po prostu pozostać na ziemi i spotkać się ze mną

w parku pod lipą?

Znowu ze strachem spojrzałam na wieżę kościelną.

- No i co, przyjdiesz? - spytał. - Czekam!

Pragnienie spotkania się nie było czymś nowym w naszym wirtualnym związku. Nowością było, że to ON je wyzwał, bo dotąd to zawsze ja na to należałam...

- Eee... hmm... no tak... - bąkałam, bo znowu ogarnął mnie strach przed wysoką wieżą kościelną. Z drugiej strony nie mogłam przecież pozwolić, żeby facet w lekko niestabilnym nastroju przestępował tam z nogi na nogę. Na pewno propozycja spotkania wiele GO kosztowała i musiał się mocno ze sobą zmagać. Może kierowała nim tylko zazdrość, może martwił się, że ktoś inny GO ubiegnie. Może to dlatego nagle był gotowy się ujawnić! Kto wie, co by zrobił, gdybym MU teraz dała kosza? Może rozczarowany rzuci się z wieży, a potem będę GO ogła tylko zeskrobywać z chodnika. Nieee, dziękuję.

Może da się go przekonać do innego miejsca. Trzeba spróbować.

- Eee... Czy to musi być koniecznie dzwonnica?

- Oczywiście! Koniecznie! Z resztą z góry jest piękny widok.

No trudno, nie wyszło mi. Gapiłam się na wieżę. Jest tam nie tylko wysoko, ale i odludnie, pomyślałam sobie.

Co będzie, jeśli ten facet był jakimś zbrodniarzem, który zastawił na mnie pułapkę, żeby tam na górze mnie zaatakować? Ciarki przeszły mi po plecach. A może ON był nawet mordercą? A jeśli zwabiał bezbronne, romantyczne dziewczyny takie jak ja na szczyty wież kościelnych, żeby je w nikczemny sposób zepchnąć i rozkoszować się ich krzykami przerażenia?

Hanno, odezwał się głos rozsądku, pohamuj chociaż raz swoje wizje jak z horroru. Coś takiego nigdy nie zdarza się w prawdziwym życiu! Facet jest w tobie zakochany na zabój. Od tygodni usiłuje cię rozgryźć. A teraz chce tylko zebrać owoce swoich starań. Więc ani ON cię nie zepchnie, ani sam nie rzuci się, pokonując tę misternie wykutą, żelazną balustradę. A więc bierz sprawy takimi, jakie są. Możesz tam pójść i wreszcie poznać go osobiście albo MU powiedzieć, że boisz się wież kościelnych. W pierwszym wypadku twój romans przez komórkę skończy się i tajemnica tego faceta zostanie rozwiązana. W drugim wypadku zabawa jeszcze trochę potrwa, dopóki ON nie zaproponuje ci trochę niżej położonego miejsca na randkę.

- No i jak? - przerwał mi znajomy głos rozbrzmiewający z komórki. - Czekam.

Westchnęłam głęboko. OK, pomyślałam, kiedyś musi się to skończyć. Nawet jeśli musi się to stać na wiży kościelnej, to niech już tak będzie. Niech już się załamie w jego ramionach! Kto wie, może to było dokładnie to, czego ON sobie życzył!

- Przyjdę - powiedziałam, chociaż nadal nie byłam pewna, czy naprawdę tego chcę. Ale wreszcie to powiedziałam. I facet od razu się wyłączył. Znowu ten paskudny numer!

Nie pozostało mi nic innego, jak po prostu tam pójść.

Spojrzałam w górę na wieżę kościelną. Cień zniknął. Może przeszedł na drugą stronę. W każdym razie po facecie nie było śladu.

Zanim wyszłam, zadzwoniłam do Mili.

- Chyba tego nie zrobisz! - natychmiast rzucił mi ostrzeżenie. - Kto wie, co to za zbrodniarstwo! Pomyśl o tym wierszy kate!

- Ach, bo wtedy wyglądałam jak śmierć. To był tylko żart, nic więcej. Sama uważałaś, że wiersz jest odjazdowy.

Nie spodziewałam się po nim niczego złego. Był dowcipny, romantyczny, może nieco ekscentryczny, ale nie uważałam go za chorego albo niebezpiecznego.

- Nie wierzę - powiedziałam więc - że człowiek tygodniami może tak udawać. Sama przecież

przypuszczasz, że to ten facet z autobusu. Jeśli masz rację, nie będzie tak źle.

- No tak, czegoś takiego bym po nim nie oczekiwała! Mimo wszystko. Wieża kościelna to dość niezwykle miejsce pierwszego spotkania z zupełnie obcym człowiekiem. To nie jest całkiem bezpieczne! Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Ach, Milu - westchnęłam. - Właściwie sama już nic nie wiem! Ale jeśli tam nie pójde, to może nigdy nie dowiem się, kim ON jest. Chciałam cię tylko o tym poinformować. Może też mogłabyś przyjść do kościoła. Na wszelki wypadek. I... jakby mi się zrobiło niedobrze!

- Niedobrze?

- Wiesz przecież, że mam lęk wysokości.

- Ach tak, tego jeszcze brakowało! Czy coś w twoim życiu dzieje się bez komplikacji? No wszystko jedno, jasne, że przyjdę! - Mila natychmiast wyraziła swoją gotowość. - Najlepiej zadzwoń jeszcze do Kati, to obie będziemy na ciebie uważać.

Dobry pomysł. Tak, na moich przyjaciół naprawdę można polegać!

Skończyłam rozmowę i szybko wybrałam numer Kati.

- Właśnie siedzę w wannie - powiedziała, ale też była podekscytowana.

Wyobraziłam ją sobie, jak wyskakuje z kąpieli i otrząsa z siebie krople wody.

- Zaraz będę! Żebyś tylko nie szła sama!

Teraz, kiedy miałam już zapewnione wsparcie moich przyjaciółek, poczułam się o wiele lepiej. Spojrzałam jeszcze raz na wieżę kościoła, ale nie było już ani śladu po moim anonimowym wielbicielu. Przekonałam się już o tym, że facet uwielbiał niespodzanki.

U podnóża dzwonnicy spotkałyśmy się we trójkę.

- Oczywiście nie możecie ze mną wejść na górę - powiedziałam.

- Jasne, że możemy - sprzeciwiła się Mila. - Bez nas nigdzie nie pójdziesz!

- Zostańcie więc niżej i wejdziecie tylko wtedy, jeśli zaczną krzyczeć - zażądałam.

- No też coś, masz do tego faceta absolutne zaufanie? - skrzywiła się Kati.

Ale Mila powiedziała poważnie:

- Dobrze, możemy tak zrobić. Ale nie czekaj zbyt długo. Jeśli wyda ci się dziwny, od razu krzycz!

Coraz bardziej mnie muliło i cieszyłam się, że miałam je przy sobie. Przyjaciółki były naprawdę na wagę złota. Lepsze niż jakiegokolwiek ubezpieczenie na życie.

Po cichu wyruszyłyśmy na iweżę.

- Pst - przypomniałam im - tylko żeby facet nic nie zauważył.

Sapiąc, dotarłyśmy na kondygaację pod drzwonami. Dalej musiała pójść sama, bez moich bodyguardów.

Kilka razy głęboko odetchnęłam, potem rozpoczęłam ostatni etap. Ciekawość była jednak większa niż lęk wysokości i strach przed NIM.

U wyjścia zobaczyłam światło, które oślepiło mnie po półmroku panującym w wieży. Ostrożnie pokonałam ostatnie stopnie. Stałam tak na lekko drżących nogach w drzwiach i widziałam przed sobą balustradę i obejście.

Zawahałam się i wycofałam. Co, a przede wszystkim kogo zobaczę? Powoli, trzymając się jedną rękę poręczy okrążyłam wierzchołek wieży. Ojej, jak mi było niedobrze! Czy ten facet w ogóle wiedział, czego ode mnie żądał, narażając mnie na podwójny stres?! Ale wszystko mi jedno, w każdym momencie mogłam stanąć na przeciwko NIEGO i tajemnica zostałaaby rozwiana.

W mojej wyobraźni ta chwila urosła do rangi bombastycznego megawydarzenia. Widziałam

przed sobą chłopca, który przypominał gwiazdę filmową, miał oczy wysportowanego wiolonczelisty i w kącikach ust skryty uśmiech tego faceta z autobusu. Miał w ręce bukiet róż, a do balustrady przywiązał balonik z napisem "Kocham Cię".

Zatrzymałam się.

Przed sobą zobaczyłam drzwi na wieżę, którymi weszłam. Czy znaczyłoby to, że już raz obeszlłam ją dookoła?

Chyba tak było. Ale gdzie ten facet? Przypadkowo przez kratę spojrzałam w dół. Oblałam się potem i ręce zaczęły mi drżeć.

Teraz zrobiłam jeszcze jedną rundę, tylko w szybszym tempie. Nikogo nie było. Żadnych wątpliwości, faceta nie było. Znkinął. Za górami, za lasami. ON mnie wykołował.

Z całej tej złości zapomniałam, na jakiej wysokości się znajduję. Wtedy moje spojrzenie zatrzymało się na grafitti na ścianie obok wyjścia. Farba była jeszcze wilgotna. Tylko ON mógł to namalować.

Z mieszanymi uczuciami przeczytałam: *My lovely! There's a place for us - somewhere.*

To nie tylko dźwięk małego dzwonu, który wybijał kwadrans, wywołał w mojej głowie wir kręcących się kolorów.

- Mila! - wrzasnęłam i złapałam się ściany, żeby się oprzeć.

W ciągu kilku sekund mije przyjaciółki stały już obok mnie. Mila mnie podtrzymała.

- Już ci lepiej? - spytała.

Obie były dość zdenerwowane, ale przede wszystkim cieszyły się, że wprawdzie byłam trochę oszołomiona, ale cała i zdrowa.

- No i? - spytała Kati. - Jaki on jest, ten anonimowy wielbiciel?

Wzruszyłam ramionami i wskazałam na napis.

- Nie mam pojęcia. Ulotnił się. To jedyny ślad, który tu zostawił.

Mila spojrzała najpierw na grafitti, a potem na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

- Co on rozumie przez to, że gdzieś jest dla was miejsce?

Znowu wzruszyłam ramionami, bo miałam wrażenie, że nie miał na myśli niczego konkretnego. Pomyślałam o tej scenie, kiedy grał melodię tej piosenki na pianinie, a on delikatnym głosem wypowiadał słowa do słuchawki: *There's a place for us - somewhere.* Może to grafitti było jedynie wyrazem jego skrytej tęsknoty. Tęsknoty za jeszcze bardziej idealnym miejscem nadającym się na pierwsze spotkanie. Ale zatrzymałam to dla siebie.

ON zapewne miał taką samą potrzebę zobaczenia mnie jak ja sama. I pewnie tak samo się bał. Chce, żeby nasza pierwsza randka była niezapomniana, pomyślałam sobie. I żadne miejsce, nawet szczyt wieży kościelnej, nie odpowiada jego wymaganiom. Prawdopodobnie jest opętany pragnieniem zainscenizowania czegoś jedyne w swoim rodzaju, czegoś wspaniałego.

Muszę MU to wybić z głowy, pomyślałam. ON nie musi skończyć tak jak pewien arabski budowniczy, który mógł zobaczyć swoją przyszłą małżonkę dopiero wtedy, kiedy wybudował dla niej najcudowniejszy dom na ziemi. Jego narzeczona zestarzała się i osiwiiała z tego powodu, a on umarł, kiedy położył ostatni kamień, nie zobaczywszy jej ani razu...

Kiedy ON zadzwonił do mnie wieczorem, nie spytałam, dlaczego nie było go na wieży. Nie spytałam, dlaczego w decydującym momencie uciekł, dlaczego zabrakło MU odwagi, lecz opowiedziałam MU bajkę.

- Przemyślę to - powiedział i włączył dla mnie kompakt. - Mimo to śpij dobrze, Szeherzado.

Położyłam komórkę obok siebie na poduszce, skuliłam się wygodnie i wsłuchiwałam w piosenkę.

Let me be the one for you...

Następnego ranka z mieszanymi uczuciami jechałam autobusem. Kiedy ten gość wsiadł znowu na swoim przystanku, odwróciłam się w drugą stronę, zanim mógł się do mnie uśmiechnąć. Nie wytrzymałabym jego spojrzenia.

To było bardzo dziwne uczucie, być z kimś tak blisko związaną przez komórkę, a potem najchętniej chcieć mu zejść z drogi, kiedy pojawiał się jako rzeczywista osoba. Powoli zaczynałam rozumieć, dlaczego tak ciężko MU było zakończyć nasz komórkowy romans banalnym spotkaniem. Co będzie, jeśli to, co przez komórkę było takie łatwe i dowcipne, nie da się przenieść do rzeczywistości i życia codziennego?

Ukradkiem zerkałam na tego faceta. Czy rozmawiający przez komórkę jako tajemniczy welbiciel był kimś zupełnie innym niż w rzeczywistości? Czy dla siebie i dla mnie zainscenizował to marzenie, zabawną grę? Teatr, w którym kiedyś musiała opaść kurtyna?

Kiedy wysiadł, nasze spojrzenia jednak się spotkały. Uśmiechnął się. Zniewalająco jak zawsze!

- No i jak? Jak twoja mama przyjęła stratę peruki? - spytałam Milę w szkole?

- Bez serca. Powiedziała, że teraz przez kilka tygodni muszę sprzątać i mi za to nie zapłaci.

- To okropne! - powiedziała, ale dodałam solidarnie: - Oczywiście ci pomogę. To w końcu moja wina.

Wlokąc się przez szkolne podwórko, minęliśmy grupę chłopców, której jak zwykle przewodził Mark.

Naturalnie nie obeszło się bez kilku dwuznacznych gwizdów w naszym kierunku.

O Hej, Hanno! - zawołał Mark. - Wkrótce znowu będzie *Bizarre Monday* w "Harlekinie"! Miałabyś ochotę wpaść?

- Nieee, dziękuję! Moja potrzeba dziwactwa jest w tym momencie absolutnie zaspokojona - odparłam i pomyślałam o tym, jak drżały mi wnętrzności tam na górze, na wieży kościelnej. Byłam duchowym przeżuwaczem i w związku z tym musiałam wszystko przetrawiać jeszcze raz.

Szybko poszliśmy dalej, żeby uniknąć głupich tekstów, którymi będą znowu rzucać Knolle i spółka.

- Wyjazd z nimi na narty to będzie ciężka sprawa! - jęknęłam.

- Nie wszyscy jadą! - pocieszyła mnie Mila.

- Ale ci najgorsi tak - powiedziałam i pomyślałam o Marku, Knollem i Kiwi.

- Za to będzie paru miłych ludzi z dziewiątej klasy, no nie? - uśmiechnęła się pod nosem Kati, która się do nas przyłączyła i słyszała moje westchnienie. - Czy Branko z nami jedzie?

- Myślę, że tak - powiedziałam. - A jeśli mówimy o Branku. Czy można się o nim dowiedzieć czegoś więcej oprócz tego, że był mistrzem młodzików w biegach?

- Jasne, że tak! - zawołały jednym głosem Mila i Kati, a ja żałowałam, że wyraziłam to życzenie. Ale teraz było za późno. Zaraz popędzą jak błyskawica zebrać informacje o Branku.

Niestety to, co później miały mi do powiedzenia, nie było zachęcające.

- Rozmawiałam z Carmen. Jej brat też jest w IXa. Uważa, że Branko chodzi z Sophie - relacjonowała Mila.

- Bzdura - wtrąciła się Kati - podobno ma dziewczynę w Rumunii.

Zanim zaczęły się kłócić na serio, westchnęłam zrezygnowana:

- Tak czy owak, już nie jest do wzięcia. Szkoda, to byłoby zbyt piękne.

Spojrzały na mnie ze współczuciem, a Kati powiedziała:

- O kurczę, Hanno, naprawdę cię dopadło.
- Nie tragizuj - pocieszała mnie Mila. - Masz przecież jeszcze faceta z autobusu!

Kiedy w południe przed chórem poszłam z Milą do centrum handlowego "Citypoint", żeby szybko coś przegryźć, przeżyłam spotkanie trzeciego stopnia. Byłam przy stoisku z produktami ekologicznymi i pociągałam właśnie świeżo wyciśnięty sok z marchwi, kiedy zobaczyłam faceta z autobusu wychodzącego ze sklepu. Zauważając go nieoczekiwanie, zakrzusiałam się moim sokiem i zaczęłam astmatycznie kaszleć.

Spanikowana szturchnęłam Milę:

- Tam, jest tam. Co on tutaj robi?
- Zaraz się dowiemy! Za nim!
- Ale jak mnie rozpozna?! Nie mogę.
- Uwaga! - Mila popchnęła mnie tak, że poleciałam na jedną z kolumn w centrum

handlowym.

- Zwariowałaś?
 - Pst! Facet idzie w naszym kiedunku!
- O kurczę. Rzeczywiście! Szedła na nas. Co teraz?

Usiłowałam jakoś schować się za kolumną.

- Stań przede mną, szybciej, bliżej! - rzuciłam nerwowo i szarpnęłam Milę do siebie.

Co za niemożliwa sytuacja. Ale co on miał tu do szukania i dokąd w ogóle szedł?

Teraz był na naszej wysokości. Włosy Mili łaskotały mnie w nos. Nie, tylko nie to. Na cztery strony świata rozległo się potężne kichnięcie. Facet spojrział w naszą stronę. Prawie całkowicie zanurzyłam głowę we włosach Mili. Teraz już na pewno uważał nas za lesbijską parę. No ale co tam, najważniejsze, że mnie nie rozpoznał, bo tylko w takiej sytuacji mogłyśmy go w ogóle śledzić i w końcu czegoś się o nim dowiedzieć.

Potem nas minął.

Odetchnęłam głęboko.

- I co?
- Za nim!

Zapał Mili nie słabł. A więc ostrożnie skaradałyśmy się za nim. Wjechał na górę schodami ruchomymi i zniknął we włoskiej lodziarni na pierwszym pięttrze. Przez wielką szybę był dobry widok.

Zacząłam się za stojakiem z tanimi dzinsami i udawałam, że wybieram coś dla siebie.

Oczywiście ukradkiem zerkałam do środka lodziarni.

Dość zdecydowanie szedł w kiesunku jednego stolika. A przy tym stoliku siedziała mała, milutka brunetka z wielkimi, okrągłymi oczami i uśmiechała się do niego. Kompletnie mnie zatkało. Teraz scgylił się do niej i pocałował ją w policzek.

- Bigamista! - rzuciła Mila.
- Może to jego siostra - powiedziałam.
- Ach, a ty jesteś moją syjamską bliźniaczką! - kpiła sobie Mila.

Pomachał na kelnerkę, zamówił coś, a potem objął ramieniem swoją "siostrę". Przyciągnął ją blisko do siebie i zaczął - oczy mało mi nie wyszły z orbit - się z nią mocno pieścić.

Szukając oparcia, chwyciłam Milę za rękę.

- To musi być dla niego niezła zabawa, kręcić z dwiema kobietami naraz! - powiedziała Mila. Ale nie miałam już ochoty dalej się oszukiwać i stwierdziłam zupełnie opanowana:
- Moim zdaniem, chyba źle trafiłyśmy!

ROZDZIAŁ ÓSMY - Snow Down

Miłość to dziwna gra. Jeszcze kilka godzin temu byłam święcie przekonana, że typ z autobusu był moim tajemniczym wielbicielem, i wyobrażałam sobie, jak mogłaby wyglądać pierwsza randka z nim. A teraz właśnie zobaczyłam go w czułym uścisku z inną i nie poczułam nawet najmniejszego bólu. Czy podświadomość miomo nocnych persfazji przyjaciółek już dawno mi zasygnalizowała, że ten ślad prowadził na manowce? Podczas gdy mój rozum nie był może w superrformie, instynkt wydawał się jednak jeszcze funkcjonować.

Marne pocieszenie.

Siedziałyśmy przy kawie z mlekiem i snułyśmy plany na wyjazd.

- Moim zdaniem to fantastycznie, że jadą z nami ludzie z dziewiątej klasy - powiedziałam właśnie i popiłam z rozkoszą gorącą kawę. Na zewnątrz zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie. Po nocnym biegu pogoda nagle się załamała i zaczęły się już nawet mroźne noce.

Rano drzewa i krzaki były pokryte białym szronem, krajobraz za oknem autobusu wyglądał jak z bajki. Oswracał moją uwagę od tego uśmiechającego się casanowy o wyglądzie gwiazdy filmowej.

Pomyślałam o tym, że przez tego faceta o mało nie złamałam sobie karku, wyskakując z drzwi autobusu! I o tym, że ofiarą tego faktu musiała stać się droga peruka z salonu mamy Mili! Jak mogłam zakałać, że ten facet był tego wart!

- Słuchaj, czy twój zachwytt odnosi się do wszystkich, którzy z nami jadą? - głos Mili sprowadził mnie do rzeczywistości. - Czy też może tylko do pewnego faceta, który ma na imię Branko? Założę się, że ciągle jeszcze o nim myślisz!

Uśmiechnęłam się pod nosem i pomyślałam, jak blisko siebie siedzieliśmy na ławie w pizzerii. W końcu mnie też karmił kawałeczkami pizzy, a nie tylko Spohie. I chyba jej to nie przeszkadzało. Może sytuacja nie była tak całkiem pozbawiona perspektyw.

- Co w tym złego? - spytałam wyrwana z rozmyślań. - Moim zdaniem jest rzeczywiście miły i cieszę się, że pojedziemy razem do schroniska, chociaż już pewnie pierwszego dnia połamię sobie gnaty na oślej łączce!

Kiedy to powiedziałam, nie miałam jeszcze zielonego pojęcia o tym, jak karkołomny miał się okazać ten wyjazd na narty.

Teraz jednak należało się przygotować. Sprinter robił wszystko, żeby nas zahartować do ekstremalnych warunków świata gór i narciarstwa alpejskiego. Jego kursy zaprawy narciarskiej to były czyste tortury. Moim jedynym pocieszeniem w męczącym czasie nieustającego bólu mięśni i chrupania w kolanach był Branko.

Podczas zaprawy nie mogłam niemal oderwać od niego oczu!

Skłony tułowia, przysiady - przy każdym z ćwiczeń spoglądałam w jego kierunku, aż Milla syknęła do mnie:

- Nie gap się tak na niego, bo się ośmieszasz!

Wystraszona wzdrygnęłam się, rozluźniłam uda, straciłam równowagę i wylądowałam na pupie. Kurczę! To był chyba jeszcze większy obciach!

- Jak możesz mnie tak straszyć - fuknęłam na Mile.

- Sorry - powiedziała, jednak natychmiast rzuciła mi złośliwy uśmiezek. I to miała być moja najłpsza przyjaciółka!

Z rumieńcami na twarzy jakoś się pozbierałam i przyjąłm przepisow pozycj.

Nie tylko przez ten incydent miaam wraenie, e nie cakiem nadaj si do uprawiania narciarstwa.

Po treningu szybko wzieymy prysznic i posiedziaymy jeszcze godzink w kawiarence.

- Sama nie wiem, czy mam jecha - jknalam i poczuam bol, ktory powoli wdrapywa si po moich udach. - Ciagle czyta si o lawinach i zasypanych ofiarach, a do ego jeszcze te wysokie gory! Z moim lekiem wysokoci nigdy nie wejd na szczyt, a o zejsciu ju cakiem nie ma mowy!

- Bzdura - powiedziaa Mila. - na dol wszyscy jako schodz.

- Ale jak?! - zapytaam ogarnita zym przeczuciem.

Na poczatku grudnia, ponym wieczorem zaczelo si! Cay autokar wesoych omio- i dziewczatoklasistw, a do tego Sprinter, pani Kampinskie, Old MacDonald oraz dwoch kierowcw, ktorzy mieli zmienia si podczas dlugiej nocnej trasy.

Oczywiscie jechali z nami rownie najwikszy numeranci. Mark, Vanessa, Kiwi, Knolle i caa reszta doborowego towarzystwa.

Vanessa miaa na sobie superelegancki komplet sportowy, najmodniejsz narciarsk kurtk, niesamowicie drogie botki i okulary przeciwsloneczne firmy Joop. Koszmar! Tylko dlaczego miaa je na sobie teraz, w srodku nocy?!

- Moe jest lunatyczk? - Mila odpowiedziaa mi na pytanie.

A Kati, jako obeznana ezoterycznie, stwierdzia:

- Ksiezyc wchodzi teraz w trzeci kwadr, co moe utrudnia ycie osobom o wraliwej naturze.

- I tu masz na myli Vaness? - spytaam.

Ona i wraliwa natura.

Byo wo do jedenastej wieczorem. Nasi rodzice przywieli nas ze wszystkimi bagaami zajmujcymi duo miejsca pod szko, skad mia odjecha autokar. Wikszo z nas wypoyczya narty, kijki i buty ze sklepu sportowego. Wszystko zostao zapakowane do autobusu.

- Bagae i sprzet zostan zaiwzione do schroniska - uspokaja nas Sprinter - ale plecak z butami i jedzeniem musicie sami zanie na gor. Nie pakujcie wiec adnych zbednych rzeczy, eby was nie obiazy.

Poza arciem nie miaam w zasadzie duo, w kadym razie nic ciezkiego. Z wyjatkiem ulubionej komorki.

Sama nie wiedziaam, do czego miaa mi si przyda. W kadym razie dlugo si zastanawiaam, czy w ogole mam ja ze sob zabrac. Myl o zafundowaniu sobie i temu facetowi na zastanowienie bya kuszca. Ale potem jednak tego nie zrobiam i znalazam sobie wymowk, e koniecznie musz by w kontakcie ze swoj rodzin, bo mama uschnie z tesknoty, a tato bedzie sobie myla nie wiadomo co o dzikim nocnym yciu w schronisku.

W tej chwili musiaam myle o czym innym. Zdobyam fajne miejsce w srodkowej czeci autokaru, obok Mili. Jeszcze tylko pomachaymy rodzicom i rozpoczela si nasza dluga nocna podro. Postanowiaam szybko zasna, eby nastepnego dnia by wypoczeta i gotowa na wszystko, co mnie czekao.

Przez cay czas czuam dziwne askotanie w brzuchu, a za nim mogam w spokoju opac na swoje siedzenie, musiaam jeszcze ukradkiem rzuci okiem na Branka.

Siedziay oczywiscie razem ze swoimi kolegami z dziewiatej klasy i smia si wanie z

dowcipu, opowiedzianego przez Sophie. Czy rzeczywiście coś go z nią łączyło? Musiała przyznać, że wcale by mi się to nie podobało. Znowu się zdziwiałem, jak zmieniło się w ostatnich tygodniach moje - ogólne i szczegółowe - nastawienie do chłopców. Poprzez mojego anonimowego rozmówcę po raz pierwszy poznałam chłopaka jako wesołego i ciekawego partnera do rozmowy, który chciał od dziewczyny czegoś innego, nie chciał jej tylko wykorzystać do swoich szczeniackich szaleństw i oblizywać przy każdej okazji.

- Kiwi, przestań cały czas kopać mnie w krzyż - skarżyła się właśnie Vanessa. Tym samym przypomniała mi, że mam taki sam problem.

- Hej, Mark, czy możesz zabrać swoje kopyta gdzie indziej? - wrzasnęłam, usiłując przekrzyczeć jego walkman.

Uśmiechnął się beczelnie jak zwykle.

- A co za to dostanę?

- Czy może być najdłuższa czekoladka świata?

- Wolałbym najdłuższy pocałunek!

- *Oh my God!* - jęknęłam.

- Mark, zostaw Hannę wreszcie w spokoju - Mila przyszła mi z pomocą. - Ona jest już dawno zajęta!

Że jak? Czy ja dobrze słyszałam? Jestem już zajęta?

- Co to ma znaczyć? - syknęłam do niej.

- Myślałam, że chcesz się go pozbyć!

- Tak, ale nie w ten sposób! Jeśli to wyjdzie na jaw, żaden chłopak się za mną nie obejrzy!

W pewnym momencie rozmowy w autokarze zamilkły, chrapanie u i tam było znakiem, że rzędy stopniowo przejmował Morfeusz (grecki bóg snu i marzeń sennych). Mila spała już dawno i jej głowa opadła na moje ramię. Przesunęłam ją delikatnie na bok, ułożyłam stabilnie i też zamknęłam oczy.

Moja komórka zapiszczała, sygnalizując nadejście wiadomości. No, przynajmniej nie była to kołysanka, ta sama co zwykle. To był wiersz-kołysanka...

KSIEZYCOWA OWCA

SKUBIE ZDZBLA TRAWY DRZACE

I WRACA DO DOMU NA HALE PACHNACE.

KSIEZYCOWA OWCA.

Zachichotałam iczytałam dalej.

FAJNYCH DNIU NA LODOWCU, LOVELY!

To było znowu takie słodkie. Spakowałam komórkę i żałowałam, że nie mogę przesłać MU pozdrowień. Gdybym tylko miała JEGO numer! Też chyba zasnęłam, bo kiedy następnym razem świadomie rozejrzałam się wokoło, był jasny poranek i byliśmy już w Szwajcarii.

-O Boże, jak ja wyglądam - jęknęła Vanessa, spoglądając w lusterko, i zaczęła skubać swoją zmierzchnioną trwałą.

- Powinnaś lepiej coś zrobić z tymi cieniami pod oczami - powiedziała jej brutalnie Kati.

I myk! Vanessa miała już powód, żeby założyć okulary przeciwsłoneczne.

- No, ale ty nie bije światło od lodowca - rzuciła cynicznie Mila.

Autokar zajechał na parking.

- Czas na poranną kawę - powiedział kierowca i wszyscy ruszyliśmy szturmem najpierw do taoalety i do umywalni. Było tam znacznie przyjemniej, niż w tych miejscach w autokarze!

Zamówiliśmy dużą kawę i jedliśmy do tego kanapki zrobione przez nasze mamy.

Wzmocniliśmy się więc i w dobrym nastroju ruszyliśmy w ostatni etap podróży w Alpy francuskie.

Około południa wylądowaliśmy w dolinie przy stacji kolejki. Bagaże zostały przeładowane do kabiny i zawieszono do stacji pośredniej, skąd miał je odebrać ratrak i zawieźć do schorniska. Było położone trochę dalej i musieliśmy iść tam pieszo około pół godziny.

Wykończeni dotarliśmy wreszcie do schroniska. Było urządzone na ludowo. Widać było, że wielu sfrustrowanych uczniów przed nami rzygało już nauką jazdy. W każdym razie wszędzie były już podejrzone plamy.

- Ale obrzydlistwo! - powiedziała Vanessa, spoglądając na podłogę w naszym pokoju.

- Zajrzyj obok - zaproponowałam jej nie całkiem bezinteresownie - może tam jest czyściej.

Ku mojej radości natychmiast wprowadziła w czyn moją propozycję, a skoro nie wróciła, wszystkie trzy miałyśmy spokój.

Nie byłam jakąś specjalnyczysioszką, ale kiedy Mila końcami palców podniosła polamioną koldrę, żeby ją powlec, zrobiło mi się niedobrze.

- Pokolenia uczniów już tu narobiły - powiedziała, spoglądając okiem znawcy.

- Czy to nigdy nie było czyszczone? - spytała Kati.

Mila powąchała koldrę.

- Było - powiedziała po teście zapachowym. - Czyć płyn zmiękczający i środki dyzjenfekujące. Plamy po wymiocinach zostawiają ślady na obrzeżach!

Nie minęło parę godzin, a i ja dołożyłam osobiście kilka woich plam.

Sympatyczni właściciele schroniska przygotowali na nasze powitanie rodzaj grzańca. Sprinter po skosztowaniu tego napoju dodał jeszcze kilka składników i przy tym podwyższył zawartość alkoholu.

Przemarznięta i spragniona wypiałam dwa kubki tego płynu, który był całkiem smaczny.

Kiedy później wyszłam na werandę schroniska, miałam przed sobą przepiękny widok na dolinę. Uprzytomniło mi to po raz pierwszy, gdzie się znajduję. Na wysokiej górze!

Zawroty głowy, które poczułam, sprawiły, że mój żołądek nagle musiał oddać swoją zawartość na zewnątrz. Odwróciłam się na pięcie i popędziłam do toalety. Niestety po drodze wpadłam w ramiona Sprintera.

- Oj - powiedział i postawił mnie z powrotem na nieco chwiejące się nogi. Potem spojrzał na mnie ostrym wzrokiem i dodał z naganą w głosie: = Zalana już pierwszego dnia?

A ja wiedziałam, że w ten sposób nie złapię u niego punktów.

Oddaliłam się od niego o krok i wyplułam cały powitalny poncz do niszy okiennej.

Bezlitośnie zażądał, żebym natychmiast posprzątała ten "chelw".

- Na przyszłość nie pij tyle alkoholu, skoro ci nie służy - poradził mi i poszedł sobie.

Wściekła popatryziałam za nim i pomyślałam:

- To go tyle nie wlewaj do ponczu!

Ale do tego powinnam się przyzwyczaić. Sprinter nadał wierzył w ten piekielny grzaniec, który nazwał górskim ponczem, i każdy nawalał się nim po wyczerpującym treningu narciarskim. Szczególnie on sam.

Mając doświadczenie wyniesione z pierwszego dnia, nie wypiałam już ani kropli.

Pani Kempinski przyglądała się zachowaniu Sprintera z lekką dezaprobatą, ale nie należała do smutasów i siedząc obok Old MacDonalda i śpiewającej przy kominku grupy, też nie wylewała za kołnier.

Spożycie napojów alkoholowych w wypadku Sprintera obniżało jego kwalifikacje trenera narciarstwa. Wprowadzał wojskowy dryl i przez cały czas się na nas wydierał. Moja i tak już niezbyt stabilna samoocena od razu została zachwiana przez jego metody nauczania. Byliśmy "najbardziej nieruchawą kupą, jaką kiedykolwiek widział", "kompetnie nie nadawaliśmy się do

jazdy na nartach, byliśmy tępi i cholernie głupi". Vanessa była "durną krową", Kiwi "porażką", a ja - oczywiście ze względu na mój lęk wysokości - "rozhisteryzowaną kozicą".

- Szpice nart razem! - wrzeszczał. - Kolana do środka. Nacisk na szpice! Obciążyć, obciążyć, stop, hamować, hamować, HAMOWAĆ!!!

Za późno, próbował odskoczyć na bok dopiero wtedy, gdy Vanessa, durna krowa, wpadła na niego, jadąc pługiem. Oboje z hukiem wylądowali na ziemi. Jeszcze nam nie przeszło i chichotaliśmy dalej, kiedy on złapał się za nos i tępo wpatrywał się w dwie kropelki krwi, które spadły na śnieg. Jak w bajce o Królowie Śnieżce, pomyślałam. Ale nastrój Sprintera wcale nie był bajeczny, a Vanessa jęczała i trzymała się za kolano, którym uderzyła go w nos.

Moje pierwsze próby chodzenia na nartach wypadały raczej nieporadnie. Te długie deski na moich nogach miały głupi zwyczaj chodzenia nie w tę stronę, w którą ja chciałam iść, a na dodatek każda narta szła sobie w innym kierunku. Szpice nart, zamiast trzymać się grzecznie razem podczas zjazdu pługiem, zawsze się rozłaziły, tak że o mało się nie rozerwałam! Spędziłam więc więcej czasu na wygrzebywaniu się z miękkiego śniegu niż realizowaniu poleceń Sprintera.

Kiedy znowu jakoś udało mi się stanąć na nogi, moje spojrzenie padło na szczyt Cheval Noir, najwyższej, najbardziej stromej i najniebezpieczniejszej góry w okolicy. Były tam tylko czarne trasy. Zjazd z tej góry był dla mnie niewyobrażalny, bo nawet na óslej łączce nie umiałam skoordynować kończyn.

Westchnęłam zaniepokojona. Kiedy potem jeszcze zobaczyłam, jak Kiwi ustawia narty z pługu prawie równolegle i z dziką radością zjeżdża w dolinę, zadałam sobie pytanie, czy w ogóle tu jest moje miejsce.

Sprinter oczywiście sunął elegancko za nim, na równoległe ustwionych nartach, ale zanim dogonił Kiwi, tego wyniosło na garb i wyleciał z nart. To znaczy z jednej, bo tylko w jednej wypięto się wiązanie. Druga, razem z dziwnie przekręconą nogą Kiwi, wbiła się w głęboki śnieg na skraju trasy zjazdowej. Wypięta narta pojechała sama kawałek w dolinę, zanim zatrzymała się na hamulcu.

Przeklinając, Sprinter przywiózł nartę. Potem pozbiierał Kiwi, który wyszedł z tego w miarę cało.

- Jak można się tak durnowato ustawić - kłął Sprinter.

Późnym popołudniem, z drżącymi kolanami i w dodatku kompletnie zmordowani wdrapywali się znowu w kierunku schroniska, gdzie zaawansowani razem z panią Kempinski i Old MacDonaldem z widocznym zadowoleniem popijali sobie kakao. Branko siedział między Sophie i Jenny i z uśmiechem na ustach pozwalał im się karmić ciasteczkami. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, zrobiłam się czerwona i odwróciłam wzrok.

W pokoju wykończona rzuciłam się na łóżko. Gdybym opowiedziała mamie, co się tu dzieje, zatukłaby Sprintera.

Wyjęłam komrkę.

- Mama?

- Dziecko! Co słysząc? Czy dobrze zniosłaś podróż?

- Podróż? Tak...

- Odżywasz się porządnie?

- Tak, tak...

- Nie jedź na łeb na szyję! Jesteś początkująca.

- Tak...

- Pozdrowienia od taty, Martina i Motte!
- Tak...
- Jak będziesz czegoś potrzebowała, daj mi znać!
- Tak... ja...
- No to powodzenia. Cześć!
- Ciao!

Gapiałam się na komórkę. Czy to było moralne wsparcie, jakiego potrzebowałam? Do licha! Komórka zadzwoniła. Na pewno mama zauważyła, że to, co właśnie odstawiła, nie było pokazem macierzyńskiej troskliwości i zrozumienia.

- Tak, mama? - powiedziałam więc z oczekiwaniem.
- Cześć, Królowo Śniegu!

Ach, ty wymodelowany niedźwiedziu polarny!

- E... przepraszam, myślałam, że jesteś moją mamą. To znaczy, tego nie myślałam, oczekiwałam telefonu od mamy.

Tłumiony chichot.

- Tak myślałem.

Milczenie.

- No i jak tam kurs narciarstwa?

- Fantastycznie... e... to znaczy, właściwie to całkiem do kitu.

Poczuł się dotknięty.

- Niby dlaczego?

Chcąc nie chcąc, wyładowałam na nim całe moje rozczarowanie.

- Zupełnie nie mam talentu do jazdy na nartach - zakończyłam wreszcie narzekanie. - Nienawidzę tego! Nienawidzę wszystkiego tutaj! Obrzydliwego schroniska, wysokich gór i nienawidzę Sprintera, naszego nauczyciela-kaprała!

- Zapomnij o nim. Jeszcze kilka dni i zaskoczysz, a wtedy jazda na nartach zacznie ci sprawiać taką przyjemność, że nie będziesz chciała ich odpinać.

- Mówisz z doświadczenia?

ON się roześmiał.

- No jasne! Powodzenia, Królowo Śniegu!

Odłożył.

Mila i Kati wparowały do pokoju.

- Tu się schowałaś! Chodź, szybko, jest coś do jedzenia! Jak nie będziemy punktualne, to inni nam wszystko zeżrą.

A Kati dodała:

- Kurczę, ale mnie ssie. To powietrze tutaj tak wzmacnia apetyt.

Kiedy Tobi wsadził głowę w nasze drzwi, od razu skoczyła na równe nogi, a krótko potem zniknęła z nim. Jej wzmożone zainteresowanie jego osobą od razu wydało mi się podejrzanym, już chyba dużo wcześniej argument, że Tobi mógłby być moim anonimowym wielbicielem, był tylko pretekstem.

Nie mogłam sobie przypomnieć, spod jakiego znaku był Tobi, ale jak widać i bez błogosławieństwa gwiazd wydawali się doskonale do siebie pasować.

Już następnego dnia pojawili się pierwsi ranni i ja też nie ocalałam.

Muszę w każdym razie przyznać, że to była częściowo wina mojej własnej głupoty. Ale z drugiej strony Sprinter nie wtajemniczył nas wystarczająco w sztukę zjeżdżania wyciągiem.

Zamiast weisnąć siodełko pod pośladki w okolice ud, tak jak to robią rotyniarze, i tylko delikatnie się o nie oprzeć, usiadłam na nim jak na huśtawce. To, że popełniłam błąd, zauważyłam w momencie, kiedy lina się naprężyła, a ja dotknęłam ziemi. Kilka sekund później wylądowałam pod wyciągiem. Vanessa, która jechała za mną, od razu zaczęła panikować i histerycznie wrzeszcząc, wbiła we miękkie części mojego ciała szpice nart i pchała mnie tak kawałek przed sobą, zanim też nie puściła liny i obie poturlałyśmy się na bok trasy.

Najpierw musiałyśmy się natrudzić, żeby się jakoś wyplątać z nart i wydostać z głębokiego śniegu.

Nasi koledzy z kalsy wjeżdżali dalej wyciągiem na górę i mijali nas z głupim uśmiechem, rzucając złośliwe uwagi, podczas gdy my walczyłyśmy z nartami jak niegdyś Don Kichot z wiatrakami.

Tylko jedna osoba okazała nam współczucie. Po raz kolejny stałam z jedną nartą skierowaną w stronę góry, podczas gdy druga uciekała mi w dolinę, kiedy nagle, pięknym zakolem wyhamował obok mnie mój wybawca.

Ktoś podał mi rękę, a kiedy kompletnie zbaraniała spojrzałam w górę, patrzyłam w brązowe oczy Branka.

Pociągnął mnie w górę i trzymał mocno, dopóki nie ustawiłam nóg i nart równolegle do pozycji wyjściowej. O kurczę, pomyślałam, czy właśnie przed nim musiałam się kompromitować?

Ale że i tak byłam kompletnie bezradna, nie pozostawało mi nic innego, jak pozwolić mu się zaprowadzić pługiem z powrotem na stację kolejki. O Vanessę zatroszczył się tym razem Sprinter. I słysząc nie po raz pierwszy "durna krowa", wiedziałam, że nie zazdroszczę jej tego pomocnika. Wdzięcznie przykleiłam się do Branka, który ocalił mnie od cynicznych uwag Sprintera.

Kiedy znowu spotkałyśmy się na dole, mogłam nawet wybaczyć Vanessie, że usiłowała wylądować na mnie swoje napięcie nerwowe i truła.

- Jak głupim trzeba właściwie być, żeby wypaść z takiego oślego wyciągu? - powiedziała arogancko, unosząc powieki w górę.

Fakt, że następnego dnia wypadła wprawdzie nie z wyciągu, ale z trasy, i złamała sobie przy tym swa żebra i obojczyk, uznałam za wprawdzie sprawiedliwą, ale chyba jednak zbyt surową karę za to bezczelne zachowanie.

Vanessa nie pozostała jedyną ofiarą. Pierwsza odważna wycieczka Sprintera prowadziła grupę zaawansowanych od razu na czarne trasy. Po tej wycieczce jadalnia przekształciła się w szpital polowy. Stłuczenia były okładane woreczkami z lodem, a skaleczenia smarowane jodyną. Mój upadek z wyciągu też pozostawił ślady.

- Popatrz na moje kolano - powiedziałam do Mili i pokazałam jej mocne stłuczenie, które zrobiło się już niebieskozielone.

- Wygląda, jakbyś przez osiem godzin szorowała na kolanach podłogę w szkole - odparła niepoważnie jak zwykle.

Ale najbardziej widowiskową ofiarą pozostała Vanessa. Została mianowicie odwieziona do doliny helikopterem pogotowia lotniczego.

Następnego dnia napadało nowego śniegu. Niekoncząca się zamieć białych płatków zatrzymała na w schronisku. Milla, Kati i ja zostałyśmy w naszym nieszczególnie przytulnym pokoju, bo nie chcieliśmy przez cały dzień przebywać w towarzystwie typów z naszej klasy. Po jakimś czasie dołączyły do nas inne dziewczyny, które też niespecjalnie dobrze się czuły, a na

koniec dobiła do nas jeszcze pani Kempinski.

Kiedy skarżyłyśmy się na gburowate zachowanie Sprintera, zaproponowała, że przejmie grupę początkujących. To było prawdziwe olśnienie, bo dotychczas Sprinter tylko mnie nastraszył. Szczerze mówiąc, przytłoczona jego postawą i moim lękiem wysokości, musiałam za bardzo troszczyć się o swoją równowagę psychiczną i przez to zaniedbałam równowagę fizyczną. Teraz pojawiła się iskierka nadziei.

Kiedy leżąc w łóżku, jeszcze raz spojrzałam na komórkę, musiałam się uśmiechnąć. Przesłał mi krótką modlitwę wieczorną"

SARENKI MODLA SIE WIECZOREM.

STRZEZ SIE!

SKLADAJA SVOJE MALE KOPYTKA,

SARENKI! KCNNS!

Następnego ranka pięknie świeciło słońce i pani Kempinski zaproponowała, żebyśmy zaryzykowali zjazd do stacji kolejki w dolinie. Trasa była zielona, to znaczy bardzo łatwa.

- Przejechanie dłuższego odcinka za jednym razem jest najlepsze, bo wtedy zdobywa się lepsze wycucie nart - dodawała nam odwagi.

I rzeczywiście miała rację. Przeszkadzał mi w tym jedynie fakt, że musieliśmy zjechać z góry. Ale mi drżały nogi! Mimo to dotarłam cała na dół.

- Świetnie! - zawołała zachwycona Mili. - To jest naprawdę odjazdowe!

Ja też uważałam, że to była ogromna frajda.

Skoro byliśmy w miejscowości w dolinie, dostaliśmy godzinę czasu wolnego. Trafiliśmy na sklep, w którym można było kupić ser raclette (grill stołowy z patelkami, także potrawa i ser) i wypożyczyć sprzęt do przyrządzania raclette.

- Jak myślisz - powiedziałam do Mili - czy nie byłoby to coś fajnego na wieczór w schronisku?

Pani Kempinski była zadowolona, więc chwilę później targaliśmy do stacji kolejki wielką gomółkę sera i dwa komplety sprzętu do raclette.

W schronisku powitano nas z wielkim entuzjazmem. Impreza z raclette zyskała ogólne uznanie.

Wieczorem zrobiło się wesoło. Udało mi się nawet zdobyć miejsce obok Branka na ławce przy kominku i to była pełnia szczęścia. Kiedy ze współczuciem dowiadywał się o skaleczone kolano, było w jego oczach tyle ciepła, że przez moment wmówiłam sobie, że mój stan zdrowia naprawdę może go interesować. Ale podobno istnieją faceci, pomyślałam sobie, którzy z natury emanują takim urokiem, że każdemu człowiekowi, na którego patrzą, przekazują to uczucie. Branko z pewnością do nich należy. Ach!

Kiedy palacze i pijaki popsuli znowu atmosferę, my, dziewczyny, zaszyłyśmy się znowu w naszym pokoju.

Zmęczona i zadowolona położyłam komórkę obok mojej poduszki. Zadzwoiła cicho, kiedy właśnie zasypiałam.

- Ślady na śniegu prowadziły ze stromej góry w dół, jeden był mój, a drugi twój... - zabrzmiał delikatnie sympatyczny głos mojego tajemniczego wielbiciela. - No i jak, teraz już lepej ci idzie?

- Tak - szepnęłam w odpowiedzi. - To wielka frajda! Musiałbyś tu być!

- Może jestem bliżej ciebie, niż ci się wydaje, mała Królowo Śniegu - powiedział. - Pomyśl o tym, przy najbliższej kraksie! I nie bój się!

Byłam za bardzo zmęczona, żeby do końca pojąć, co ON właściwie do mnie powiedział. Nie wpadło mi do głowy, żeby go zapytać, skąd wiedział o mojej kraksie.

To był przedostatni dzień.

Pani Kempinski, Old MacDonald i sam Sprinter, wszyscy byli zdania, że nasze umiejętności narciarskie są wystarczające, żeby wykonać dłuższy zjazd. Dokładnie obok Cheval Noir był Piz Croissant. W porównaniu z poszarpaną granią Cheval Noir była to łagodna górką, która nawet na mnie sprawiała całkiem miłe wrażenie.

Cała grupa miała razem wjechać na górę, w schronisku Piz zjeść podwieczorek, a potem zjechać na dół. Najpierw kawałek razem względnie łatwą, czerwoną trasą, a potem od przełęczy do Cheval Noir osobno. Zaawansowani mieli pojechać dalej inną - czarną, dość trudną trasą, a my, początkujący, mieliśmy dalej zjechać do doliny zieloną trasą.

Pogoda była ładna. Tylko u szczytu Cheval Noir pojawiło się kilka chmur. Wjazd na górę wyciągiem krzesłkowym był wesoły - pomijając skomplikowane wysiadanie. Na górze w schronisku Piz było bardzo dobre jedzenie.

Wczesnym popołudniem wyruszyliśmy do miejsca zjazdu. Słońce schowało się trochę za chmurą a od strony Cheval Noir zbliżała się delikatna ściana mgły.

- Dalej, zjeżdżamy! - popędzała nas pani Kempinski. - Zjazd we mgle to niekoniecznie jest to, co chciałabym tu przeżyć z początkującymi narciarzami.

Zdecydowanie ruszyliśmy z miejsca.

- Pojedziemy jeden za drugim - powiedziała pani Kempinski. - Jeśli trafimy na mgłę, uważajcie, jedźcie tak, żebyście nie stracili z oczu osoby przed wami.

Pokiwaliśmy głowami i wśród chichotu zaczęło się zjeżdżanie.

Widoczność była jeszcze całkiem niezła i po raz pierwszy miałam wrażenie, że naprawdę szybuję. Kilka razy próbowałam nawet jechać prawie równolegle. Nagle zniknął mój strach i postanowiłam, że naprawdę będę się rozkoszować tym jedynym wielkim zjazdem przed powrotem do domu. Przede mną jechała Milla. Ubrana w jasnoszarą kurtkę nie była specjalnie dobrze widoczna, ale ponieważ jechała w tym samym tempie co ja, nietrudno było się jej trzymać.

Nagle z boku przemknęła grupa snowboardzistów i wmieszali się w naszą formację. Niezłe dawali gazu. Śnieg wzbijał się spod ich desek tak wysoko, że nie było nic widać. Kiedy zniknęli, straciłam z oczu Millę.

Jadąc, rozglądałam się dookoła. Ach, tam z mojej prawej jechało coś szarego. To musiała być ona. Byliśmy niej więcej na wysokości przełęczy i kompletnie zanużyliśmy się w mgle. Teraz musiałam uważać i nie mogłam stracić jej z oczu. Gdzieś tu było odgałęzienie do zielonej trasy. Przykleiłam się więc ufnie do cienia Mili. Miała całkiem niezłe tempo.

Ponieważ widoczność stale się pogarszała, nie zwracałam już wcale uwagi na trasę, tylko na szarą kurtkę przede mną.

Jednak nagle zniknęła. O cholera! Ogarnęła mnie fala paniki, ale powiedziałam sobie, że zieloną trasą potrafię przejechać ten kawałeczek sama. Za przełęczą będzie już świecić słońce. Pocieszyłam się w ten sposób i jechałam dalej.

Nagle był lekki zjazd, a potem małe wzniesienie. Ze zgiętymi kolanami zjechałam z rozmachem. Potem serce mi stanęło i żeby zachamować, isntyktownie rzuciłam się w przepisowej pozycji na śnieg. Przede mną była wielka przepaść.

Z trudem stanęłam znowu na nogach i rozejrzałam się. Znajdowałam się na wąskiej grani, która opadała prawie pionowo w mglistą, pochmurną nicość. A zamiast wyrównanej zielonej trasy zobaczyłam przed sobą rozmyte pole z gigantycznymi garbami. Prerażona, stojąc na miękkich nogach, oparłam się o kijki.

Doodkoła nie było widać żywego człowieka. Dość daleko w dole dwie mgliste postacie profesjonalnie mknęły między garbami.

Jedna z nich miała na sobie szarą kurtkę. Chyba to ją uważałam za kurtkę Mili. Zrozpaczona spojrzałam na trasę. Wprawdzie pani Kempinski pozwoliła nam zjechać z kilku garbów, ale chyba nie tu! A do tego to urwisko! Gdzie ja w ogóle wylądowałam?

Rozejrzałam się i odkryłam strzałki oznaczające trasy Route Traverse i Cheval Noir. Jedna wskazywała kierunek, z którego przyjechałam, druga - trasę z garbami. Nagle Uświadomiłam sobie, co się stało. Zamiast odbić na zieloną trasę, we mgle wjechałam na przełęcz prowadzącą do Cheval Noir i stałam dokładnie przed czarnym zjazdem. Już po mnie, przemknęło mi przez głowę, a moje kolana opanowało niekontrolowane drżenie. W życiu nie zjadę na dół cała. A przed oczami przerażająco realistycznie stanęły mi dramatyczne sceny z transportu Vanessy helikopterem.

Tutaj pod Cheval Noir widoczność tym czasem się poprawiła, ale przełęcz była jeszcze pogrążona we mgle. Czy miałam zawrócić? Nie. Drugi raz tego nie zrobię. Ale przecież nie zjadę tą trasą z garbami. Na pierwszym garbie potrzebuję narty, na drugim połamię kości, a na trzecim wyzionę ducha.

Ale nic innego mi nie pozostawało. Żegnaj, piękny świecie, westchnęłam. Wtedy zadzwoniła moja komórka. ON! Teraz też nie mógł mi pomóc.

- Królowo Śniegu, gdzie jesteś?

- Nad przepaścią.

- Jak to nad przepaścią?

- Stoję na skraju niebezpiecznej trasy z garbami na najbardziej stromej górze w okolicy - mi nie ma ze mną nikogo, jest tylko mój strach! - prawie wykrzyczałam te słowa. - Teraz rzucę się w dół, wtedy przynajmniej to się skończy!

- Nie gadaj bzdur! - powiedział bardzo poważnie. - W ten sposób nie wolno zartować.

- Nie żartuję. Jestem zrozpaczona! Jak ja mam się stąd ruszyć?

- Nie możesz zawrócić? - spytał.

- Nigdy w życiu. Tam, skąd przyjechałam, jest strasznamgła. Jeśli już mam skończyć w zimnym grobie, to przynajmniej coś widząc!

Głos mi drżał, a łzy, które spływały mi po lodowatych policzkach, zadawały kłam mojej pokazowej krnąbrności. Byłam strasznie bezbronną kupką nieszczęścia, człowiekiem w przyrodzie, do której pod żadnym względem nie dorastałam.

Góry pokryte śniegiem były czymś więcej niż placem zabaw dla hord narciarzy. Były nieobliczalne i okazywały swoją wyższość i wartość, z zimną godnością przywołując do porządku.

Ojej, czułam się już jak mistrz narciarstwa, zjeżdżałam sobie oszołomiona świeżo nabytymi umiejętnościami. A tu stanęłam przed pierwszym rzeczywistym wyzwaniem i musiałam się poddać.

- Nie mogę - westchnęłam w rozpacz. - W życiu nie zjadę stąd cała. Tu jest za dużo garbów, jest za stromo i trasa jest oblodzona. Nie wyobrażasz sobie, jak niebezpiecznie wygląda ta trasa z góry!

- Wyobrażam sobie - powiedział ON.

- Nie jesteś w stanie! - wyłam w panice.

- A jednak. I wiem, co czujesz. Ale wiem też, że ci się uda!

- Nigdy!

- Właśnie że tak! A teraz wyjaśnię ci, jak masz to zrobić!

- Złamię sobie kark i będziesz już zawsze czekał na randkę ze mną. Dlaczego nie zostałeś wtedy na wieży kościelnej? Zostawiłeś po sobie głupie graffiti i przy okazji zniszczyłeś dobro kultury! Teraz jest już za późno, Romeo! Zobaczysz swoją Julię w cynkowej trumnie!

Ach, ale mi było siebie żal. JEMU chyba też, bo zaczął mówić do mnie z elokwencją górskiego kaznodziei.

- Jesteś przecież wysportowana - powiedział - i podczas biegu nocnego udowodniłaś, że masz dobrą kondycję. Teraz musisz tylko zachować zimną krew i nie panikować niepotrzebnie.

- Cha, cha, cha! Ale się uśmiełam! Wiesz właściwie, że cierpię na chroniczną wysokość? To MU odebrało mowę. Potem powiedział trochę przekornie:

- Wszystko jedno. Po prostu zastosuj w praktyce to, czego się dotąd nauczyłaś. - I natychmiast zaczął ze mną powtarzać najważniejsze reguły narciarskie.

- Obciążaj zawsze nartę od strony doliny, mocno naciskaj na brzegi, jedź równoległe do stoku, bardzo powoli pługiem, omijaj garby i potem znuwu równoległe, w ten sposób nie pojedziesz na krechę.

Słuchałam wszystkiego, ale wcale nie myślałam o tym, żeby wprowadzić to w czyn.

Wręcz przeciwnie! Słyszając o zjeździe na krechę, znowu zaczęłam panikować.

- Ja... ja... nie mogę... - jękałam się.

- Musisz się zrelaksować - powiedział. - Czy możesz gdzieś usiąść?

Pod kierunkowskazem stała ławka z wielkiego pniaka.

- Usiądź tam na chwilę. Zamknij oczy.

Jak teraz powie "Moc jest z tobą", to oszaleję, pomyślałam.

- Rozluźnij się!

W moim stanie żądał za wiele.

- Dalej, zamknij oczy!

- Nie!

- *Lovely!* Proszę, zamknij oczy! Zrób to dla mnie! Dla nas! - Jego głos miał miłe brzmienie, miałam wrażenie, że jest moim nauczycielem jogi.

- Powiedz mi przynajmniej, kim jesteś, zanim zakończę życie - zażądałam zrezygnowanym głosem.

- Zdradzę ci to, jak dotrzesz na dół. Umowa stoi?

Szybko otworzyłam szeroko oczy.

- To szantaż!

- Nie, taktyka!

- Ty wstręciuchu!

- *Lovely*, lubię twój temperament!

Ach, rozpałam się tylko na chwilę. Nawet perspektywa, że ON ujawni swoją tożsamość na końcu czarnej trasy w dolinie nie mogła mnie zachęcić do tego, żbym dotknęła chociaż jedną nartą tego śmiertelnie niebezpiecznego stoku.

ON obstawiał przy swoim.

- To tylko sprawa psychiki. Coś ci opowiem. Coś ładnego, miłego, co ci pokaże, dlaczego opłaca się ostrożnie zjechać tą trasą nie łamiąc sobie karku. Zamknij oczy, Królowo Śniegu!

Kiedy znależłam oczy, zaczął cichutko nucić śnieżnego walca, którego od czasu do czasu przed wyjazdem na narty grałam czasem też dla niego na pianinie.

Ten śnieżny, śnieżny walc, tańczmy razem, całkiem sami, ty i ja...

Byłam już tak bardzo wyczerpana psychicznie, że nie byłam już w stanie oprzeć się jego miłemu głosowi. Otworzyłam oczy na chwilę i zobaczyłam wynurzającego się z mgły

przełączy samotnego narciarza.

Taka sama zabłąkana dusza jak ja, pomyślałam, czerpiąc odrobinę nadziei, jednak zrezygnowana zamknęłam oczy, kiedy zniknął w zagłębieniu.

- Jesteś silna, *lovely* - powiedział właśnie. - Zjedziesz tą trasą, a ja ci w tym pomogę.

- A przepraszam, jak? - wrzasnęłam z zamkniętymi oczami. - Słowa mi nie pomogą! Potrzebuję kogoś, kto mnie weźmie za rękę i sprowadzi na dół! Potrzebuję kogoś, kto istnieje naprawdę! A nie takiego jak ty, który pięknie mówi, ale go tu nie ma, jak go naprawdę potrzebuję!

- Czy ty czasami nie myślisz o mnie źle?

Nagle miałam jednoznaczne wrażenie, że nie siedzę sama na ławce. Że ktoś usiadł obok.

- *Lovely*, otwórz oczy!

Otworzyłam oczy i zobaczyłam przed sobą... twarz Branka.

Trzymał przed ustami komórkę i mówił:

- Czy jestem wystarczająco realny?

Osoby wrażliwsze niż ja pewnie teraz by zemdlały. Rozładowałam napięcie, wybuchając głupkowatym śmiechem. To był najgłupszy atak śmiechu, jaki kiedykolwiek mi się przydarzył. Potem, dysząc, rzuciłam się na szyję mojemu wybawcy.

Przyjmował to wszystko bez słowa. Gładził mnie czule po lodowatych policzkach ze śladami lekko zamarzniętych łez.

- Jakie doskonale miejsce na pierwszą randkę - powiedział z widocznym zadowoleniem.

- I na pierwszy pocałunek - szepnęłam.

Nasze wargi delikatnie się dotknęły. Pocałunek, przyprawiony słonymi łzami, smakował bezkonkurencyjnie. Pozostawił uczucie szczęścia, mniej więcej takie, jak pierwsze lody na wiosnę.

A kiedy Branko ostrożnie pilotował mnie na dół tą straszną trasą, strach powoli mijał.

Potem wyjechaliśmy z niebezpiecznej strefy. Nogi mi już nie drżały, a zamiast lęku przestrzeni w mojej wyobraźni rozbrzmiewał dźwięk pianina grającego śnieżnego walca.

A kiedy Branko, trzymając mnie mocno, pokonywał zamaszystymi susami ostatni odcinek już łatwej trasy, było trochę tak, jakbyśmy tańczyli.

Ty i ja, całkiem sami...

Dotarliśmy do stacji w dolinie, kiedy zaczął się zmrok. Bez tchu patrzyłam w czułe, brązowe oczy i wiedziałam, że nie dotarłam tylko do końca trasy.

Kiedy siedzieliśmy obok siebie w ostatniej kolejce na górę, Branko nagle wyjął komórkę i zaczął pisać wiadomość.

Moja komórka zadzwieczała. Roześmiałam się. Na wyświetlaczu było napisane:

LOVE U.

Ponieważ tym razem nie ukrył swojego numeru, mogłam mu końcu odpowiedzieć. I szczęśliwa napisałam do niego mojego pierwszego SMS-a:

LOVE U 2!